

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy nareszcie zdjęto mi gips, a doktorzy opukali na wszystkie strony, pielęgniarki zaś pouczyły, jak mam się posługiwać rękami i nogami — przy czym wszyscy oni doprowadzali mnie do pasji, przemawiając jak do małego dziecka — doktor Marcus Kent oświadczył, że powinienem wyjechać na wieś.

— Świeże powietrze, spokój, wypoczynek, oto moja recepta dla pana — powiedział. — Pańska siostra będzie się panem opiekowała. Proszę dużo jeść, wysypiać się porządnie i starać się żyć, tak jak żyją rośliny.

Nie zapytałem, czy będę mógł jeszcze kiedykolwiek łątać. Są pewne pytania, których się nie zadaje z obawy przed odpowiedzią. Z tego samego powodu przez ostatnie trzy miesiące nie spytałem, czy będę musiał spędzić resztę życia jako inwalida. Bałem się, że usłyszę uspokajającą, pełną hipokryzji odpowiedź pielęgniarki:

— Cóż za pytanie...! Nie pozwalamy naszym chorym mówić podobnych rzeczy!

Dlatego też i teraz nie zapytałem doktora o nic.

I dobrze zrobiłem. Nie był mi bowiem sądzony los niedołążnego kaleki. Mogłem już poruszać nogami, mogłem stanąć, a nawet... przejść parę kroków. A jeżeli przypominałem trochę małe dziecko, uczące się dopiero chodzić, niepewny w kolanach, o nogach jak z waty, to były to tylko przejściowe objawy, spowodowane osłabieniem i odwyknięciem od chodzenia.

Marcus Kent, który jest doktorem z prawdziwego zdarzenia, sam odpowiedział na moje pytanie:

— Będzie pan zupełnie zdrow — orzekł. — Jeszcze do wtorku, kiedy to dokonaliśmy gruntownego przeglądu, nie byliśmy tego pewni. Będzie to jednak dłuższa sprawa... i że się tak wyrażę, mozolna... Przy leczeniu nerwów i mięśni mózg musi przyjść ciału z pomocą. Każde zniecierpliwienie, każde zdenerwowanie może spowodować nawrót choroby. A zatem: cokolwiek będzie pan robił, proszę pamiętać, żeby to nie było robione na siłę, bo tego rodzaju nastawienie może pana szybko sprowadzić do nas z powrotem. Tryb pańskiego życia musi być na razie powolny, łatwy, powiedzmy w tempie legato. Niech pan pamięta, że tu nie tylko ciało musi powrócić do zdrowia, ale i nerwy nadszarpnięte długotrwałym stosowaniem środków znieczulających. I dlatego właśnie zalecam wyjazd na wieś. Proszę wynająć tam domek, zająć się miejscową polityką, miejscowymi skandalikami i ploteczkami. W ogóle niech pan się jak najbardziej interesuje sąsiadami. Radziłbym wybrać taką okolicę, w której nie mają państwo żadnych znajomych.

Skinałem potakująco. Sam już myślałem o tym.

Trudno sobie bowiem wyobrazić coś bardziej denerwującego niż stykanie się ze znajomymi czy przyjaciółmi, którzy by wpadali do mnie z wyrazami współczucia, a w głębi duszy byłiby zajęci własnymi sprawami:

— O, Jerry! Doskonale wyglądasz! Można powiedzieć, że, nawet świetnie! Ale, kochanie, muszę ci opowiedzieć coś ciekawego. Zgadnij, co za nowy kawał wymyślił ostatnio Buster!

Nie! Za nic w świecie! O, psy to są prawdziwie mądre stworzenia! Chore, zaszywają się w kąt, liżąc swe rany i nie pokazując się nikomu, dopóki zupełnie nie wydobrzeją.

Tak więc, przerzuciwszy gorączkowo razem z Joanną niezliczone ogłoszenia i prospekty pośredników zachwalających gorąco najrozmaitsze miejscowości na Wyspach Brytyjskich, zatrzymaliśmy się na obiekcie zwanym „Jałowcowy Dworek” w Lymstock, jako nadającym się do bliższego obejrzenia, a to głównie dlatego, że nigdy nie byliśmy w Lymstock i nie mieliśmy w pobliżu żadnych znajomych.

Joanna pojechała na miejsce, obejrzała dom i od razu zdecydowała, że to właśnie jest to, czego nam potrzeba.

Położony o jakie pół mili od miasteczka, przy drodze wiodącej na wrzosowiska, niski, prosty biały dom z pochyłą werandą pomalowaną na wyblakły zielony kolor, z widokiem na pobliskie wzgórze porośnięte wrzosem, a w dole, na lewo, na wieżę kościółka w Lymstock, stanowił kiedyś własność kilku sióstr, starych panien Barton; pozostała z nich przy życiu już tylko jedna, najmłodsza, panna Emilia.

Panna Emilia Barton była czarującą, drobną starszą damą, przedziwnie dopasowaną do domu i całego otoczenia. Delikatnym, jakby usprawiedliwiającym się tonem wyjaśniła Joannie, że nigdy domu dotychczas nie wynajmowała i, oczywiście, nigdy by jej to nie przyszło do głowy. „Ale teraz, pani rozumie, dziś warunki tak się radykalnie zmieniły! No, naturalnie, podatki, a przy tym moje akcje i papiery, które zawsze uważałam za stuprocentowo pewne (niektóre z nich polecał mi sam dyrektor banku), nie przynoszą dzisiaj żadnego, ale to żadnego dochodu. Zagraniczne papiery, oczywiście! I to wszystko obcym osobom; myślę, że mnie pani dobrze zrozumie, kochanie, i nie weźmie mi za złe szczerości... pani jest taka miła! Coś jednak trzeba było postanowić. I naprawdę, od kiedy panią poznałam, jestem przekonana, że będzie mi bardzo miło wyobrazić sobie panią na tle mego domu. Wie pani, dobrze to robi domowi, kiedy tu zamieszka ktoś młody... Przyznam się, trochę przerażała mnie myśl, że mogą się tu wprowadzić jacyś mężczyźni...”

W tym miejscu Joanna zmuszona była wtrącić słówko o mojej osobie. Panna Emilia przyjęła to jednak nadspodziewanie pogodnie.

— Ależ, droga pani, rozumiem, doskonale rozumiem! Jakie to smutne... Katastrofa lotnicza, mówi pani? Jacyż to dzielni ci młodzieńcy...! Pani brat to właściwie inwalida, prawda?

Ta myśl zdawała się działać kojąco na miłą, drobna damę. Inwalida nie będzie się przypuszczalnie oddawał tym wulgarnym męskim rozrywkom, których panna Emilia tak się obawiała. Po chwili milczenia spytała, czy palę.

— O, jak komin! — odpowiedziała Joanna. — A zresztą, ja także.

— Oczywiście, oczywiście! Niemądre z mojej strony pytanie! Wie pani, mam wrażenie, że ja chyba nie idę z duchem czasu. Wszystkie moje siostry były ode mnie starsze, a nasza droga mama dożyła dziewięćdziesięciu siedmiu lat... Niech pani tylko sobie wyobrazi...! Zresztą była bardzo wymagająca. Tak... tak... dzisiaj wszyscy palą... Ale... ale widzę tu jeden kłopot! W całym domu nie ma ani jednej popielniczki!

Joanna uspokoiła ją, że przywieziemy z sobą mnóstwo popielniczek, po czym dodała z uśmiechem:

— Przrzekam pani, że nie będziemy sypali popiołu na meble i na podłogę ani wypalali dziur w dywanach, boja sama tego nie cierpię.

Tak więc sprawa została ostatecznie załatwiona, to znaczy wynajęliśmy Jałowcowy Dworek na sześć miesięcy, z prawem przedłużenia umowy na dalsze trzy miesiące. Panna Emilia uspokoiła Joannę, że urządzi się bardzo wygodnie w mieszkaniu swojej dawnej pokojówki („mojej wiernej Florentyny”), która po piętnastoletniej służbie w Jałowcowym Dworku wyszła za mąż i mieszka w Lymstock.

— To taka porządna dziewczyna — mówiła panna Emilia — jej mąż pracuje w budownictwie. Mają miłutki domek przy ulicy Głównej, z dwoma pięknymi pokojami na piętrze, gdzie się urządzi bardzo wygodnie, a Florentyna będzie uszczęśliwiona, mając mnie u siebie.

Wszystko więc układało się jak najpomyślniej, umowa została podpisana i niebawem oboje z Joanną zjechaliśmy do Jałowcowego Dworku i objęliśmy nowe mieszkanie. Skoro jeszcze udało się pannie Emilii nakłonić swą dawną gosposię, panią Partridge, do pozostania u nas, nie mieliśmy kłopotów z pomocą domową, tym bardziej że zdobyliśmy do cięższych robót domowych „dochodzącą”, Beatę, dziewczynę może niezbyt rozgarniętą, ale pogodną i uprzejmą.

Pani Partridge, niewiasta w średnim wieku, była znakomitą kucharką, i chociaż nie zachwycał jej nasz system późnego jadańia obiadu (panna Emilia spożywała tylko lekki posiłek składający się z jednego jajka), to z czasem nawet uznała, że obfitsze jedzenie jest konieczne dla mego zdrowia.

Gdy już zadomowiliśmy się na dobre i mieszkaliśmy tydzień w Jałowcowym Dworku, panna Emilia Barton złożyła nam ceremonialnie kartę wizytową. Za jej przykładem poszła pani Symmington, żona miejscowego adwokata, następnie siostra doktora, panna Griffith, żona pastora, pani Dane-Calthrop, oraz pan Pye z Przeorówki.

Joanna była tym wszystkim niesłychanie przejęta.

— Wiesz, nie wyobrażałam sobie nigdy — mówiła z ożywieniem — że ludzie jeszcze składają sobie wizyty i zostawiają tak ceremonialnie karty wizytowe!

— To dlatego, kochanie, że nie masz najmniejszego pojęcia o życiu na prowincji.

— Bujda, mój drogi! Tysiące weekendów spędziłam na wsi!

— To zupełnie co innego — odpowiedziałem.

Jestem starszy od Joanny o pięć lat. Pamiętam jeszcze z dzieciennych lat nasz duży, biały, odrapany i trochę zaniedbany dom, a za nim pola zbiegające w dół, ku rzeczce. Przypominam sobie, jak pełzałem na brzuchu pod siatką chroniącą truskawki, w strachu, że może mnie zdybać ogrodnik: czuję jeszcze woń białego pyłu na podwórzu za domem i widzę rudego kota krocącego dostojnie środkiem podwórza, a ze stajni słyszę stuk końskich kopyt... Gdy miałem lat siedem, a Joanna dwa, przenieśliśmy się na stałe do Londynu, do ciotki, i odtąd już wszystkie święta spędzaliśmy w mieście. Oglądaliśmy wtedy przeróżne pantomimy, przedstawienia teatralne i filmy, robiliśmy wycieczki do Ogrodów Kensingtonskich, żeby powiosłować po stawie, albo w zimie na ślizgawkę. Sierpień spędzaliśmy przeważnie w jakimś nadmorskim hotelu. Rozmyślając teraz o tym wszystkim, zdałem sobie równocześnie — sprawę, że stałem się w czasie mojej choroby samolubem i egocentrycznym inwalidą.

— Boję się, siostrzyczko, że będzie ci tutaj okropnie... Na pewno odczujesz wiele braków — powiedziałem do Joanny.

Joanna bowiem jest bardzo ładna i wesoła. Lubi dansingi i cocktaile, flirty i szybką jazdę dobrym samochodem. Ona jednak roześmiała się tylko i oświadczyła, że nic podobnego, ta perspektywa zupełnie jej nie przeraża.

— Jeżeli mam być szczerą — dodała — przyznam ci się, że nawet jestem zadowolona, że całe to miejskie życie pozostawiam za sobą. Miałam już dość tego ustawicznego gwaru i tłumu, i chociaż jestem przekonana, że nie potrafisz zdobyć się na współczucie, to przyznam ci się, że sprawa z Pawłem kosztowała mnie bardzo dużo. Trzeba będzie wiele, wiele czasu, abym mogła przejść nad nią do porządku dziennego...

Muszę powiedzieć, że do sprawy Pawła odnosiłem się raczej sceptycznie. Sercowe sprawy Joanny szły niezmiennie tym samym trybem. Zakochiwała się po uszy w jakimś kompletnie pozbawionym woli i charakteru młodzieńcu, którego uważała za geniusza, wysłuchiwała jego nie kończących się skarg i narzekań i za wszelką cenę starała się zdobyć dla niego rozgłos i uznanie. Potem, gdy okazywał się niewdzięcznikiem, Joanna była głęboko dotknięta i twierdziła, że ma złamane serce. Trwało to tak długo, dopóki nie zjawiał się na arenie jakiś nowy ponury młodzian, co zdarzało się zwykle mniej więcej po jakichś trzech tygodniach, i cała historia powtarzała się od początku. Nie brałem więc zbyt poważnie złamanego serca Joanny; spostrzegłem zresztą, że moja ładna siostra traktuje przeprowadzkę na wieś jako nową, dobrą rozrywkę.

— W każdym razie — rzekła — musisz przyznać, że wyglądam odpowiednio.

Przyglądałem się jej krytycznie przez dłuższą chwilę i doszedłem do wniosku, że nie mogę się zgodzić z jej opinią.

Joanna była ubrana przez firmę Mirotin „sportowo”, to znaczy miała spódnicę w ogromną,

wyzywającą kratę; górną połowę ciała obcisłał śmieszny sweterek z krótkimi rękawkami, jakby trochę w tyrolskim stylu. Do tego cieniutkie jedwabne pończoszki i nieskazitelnie nowe mokasyny.

— Niestety, Joanno, jesteś ubrana zupełnie, ale to zupełnie niestosownie. Powinnaś włożyć jakąś bardzo starą samodziałową spódnicę, najlepiej brudnozieloną albo spłowiało-brązową, spokojny, miękki sweter w tym samym kolorze i ewentualnie gruby wełniany płaszcz. I do tego, na przykład, filcowy kapelusik, a także grube pończochy do starych, zniszczonych półbucików. Wtedy dopiero wsiąkniesz w tło ulicy Głównej Lymstocku, a nie będziesz odbijała jak w tej chwili. Ale i twoja twarz jest zupełnie nie na miejscu — dodałem.

— Cooo? A to znowu dlaczego? Co masz jej do zarzucenia? Przecież zastosowałam szminkę numer dwa w odcieniu „wiejska opalenizna”.

— No, właśnie... Jeżeli masz mieszkać w Lymstock, powinnaś używać tylko tyle pudru, żeby ci się nos za bardzo nie świecił. Poza tym możesz leciutko i niezbyt starannie musnąć kredką wargi. A jeśli chodzi o brwi, to musisz je mieć szerokie, a nie wyskubane jak niteczki...

Joanna roześmiała się rozbawiona.

— Więc przypuszczasz, że będą mnie uważali za straszdyło?

— No, nieee... po prostu za dziwaczkę.

Joanna znowu zaczęła przeglądać karty wizytowe pozostawione przez odwiedzających. Jedna tylko żona pastora miała szczęście, a może raczej nieszczęście, zastać Joannę w domu. Po chwili Joanna podniosła na mnie oczy znad biletów i rzekła:

— Wiesz, to zupełnie jak w tej zabawie w „Szczęśliwą Rodzinę”. Żona adwokata nazywa się pani Prawnicka, córka doktora panna Dozowiczówna i tak dalej. Wiesz, Jerry, że tu jest uroczo! Tak jakoś miło, zabawnie i staroświecko... Po prostu trudno sobie wyobrazić, że mogłoby się tutaj stać coś złego, prawda?

Chociaż w głębi duszy wiedziałem, że uwaga Joanny nie jest oparta na niczym realnym, zgodziłem się z nią. W takiej miejscowości jak Lymstock nie może się zdarzyć nic złego.

I pomyśleć, że właśnie w tydzień później otrzymaliśmy pierwszy anonim!

Widzę, że od początku źle zacząłem. Zupełnie nie opisałem, jak wygląda Lymstock, a bez tego nie podobna zrozumieć całego opowiadania.

A więc muszę zacząć od tego, że Lymstock sięga tradycją daleko w przeszłość, gdzieś aż do okresu najazdu normandzkiego. Posiadało ono wówczas doniosłe znaczenie, głównie natury kościelnej. Było tam bowiem opactwo szczyjące się długim szeregiem potężnych przeorów. Okoliczni lordowie i baronowie, chcąc być w dobrych stosunkach z Bogiem, oddawali część swoich włości na rzecz opactwa. Tak więc Lymstock rosło w dobra i znaczenie, stanowiąc potęgę w ciągu długich stuleci. Jednakże za panowania Henryka VIII i Lymstock musiało podzielić los innych klasztorów i opactw. Odtąd bowiem zamek zapanował nad miastem. Miasto było jeszcze stosunkowo potężne, miało swoje

własne prawa i przywileje, bogaty skarbiec, ale potem, gdzieś w tysiąc siedemset którymś roku, fala postępu omijając Lymstock zepchnęła je do roli prowincjonalnego miasteczka. Zamek legł w gruzach. Żadna linia kolejowa, żadna ważniejsza arteria komunikacyjna nie otarła się nawet o Lymstock. Dzisiaj było to małe, prowincjonalne miasteczko bez większego znaczenia, raczej zapomniane, o pagórkowatym, porośniętym wrzosem zapleczu, wśród otaczających je pierścieniem spokojnych pól i folwarków.

Raz w tygodniu odbywał się tutaj targ i wtedy ze wszystkich stron drogami i ścieżkami pędzono tu różnego rodzaju bydło. Dwa razy do roku organizowano wyścigi zakrojone na niewielką skalę, w których brały udział jakieś zupełnie nieznane konie. Poza tym miasteczko posiadało uroczą ulicę Główną; po obu jej stronach stały nieco w głębi od ulicy pełne dostojności domy, trochę tu jakby nie na miejscu, ze swymi oknami na parterze, w których rozłożone były: fasolka, warzywa i owoce. Był tu długi, ciemny sklep tekstylny, spory i okazały magazyn z żelastwem, pretensjonalny urząd pocztowy i cały szereg bliżej nieokreślonych sklepów, dwa konkurujące z sobą sklepy rzeźnicze i Międzynarodowy Magazyn. W miasteczku mieszkał lekarz, poza tym istniało biuro prawne pod firmą Galbraith, Galbraith i Symmington. Obrazu dopełniał piękny i nieoczekiwanie duży zabytkowy kościół z roku 1420. Wreszcie była tu nowa, obrzydliwa szkoła i dwie gospody.

Takie oto było Lymstock i, za przykładem panny Emilii Barton, każdy, kto był tutaj „kimś”, składał nam wizytę. Niebawem też Joanna, kupiwszy nowe rękawiczki i ustroiwszy głowę w aksamitny berecik, rozpoczęła rewizyty.

Wszystko było dla nas nowe i zajmujące. Znajdowaliśmy się tutaj tylko przelotem — było to jak gdyby jakieś intermezzo w naszym życiu. Postanowiłem więc pójść za radą doktora i zacząć się interesować sąsiadami oraz miejscowymi skandalikami. Nie miałem, oczywiście, wówczas pojęcia, w jakiej formie owe skandaliki dojdą do mej świadomości.

Dziwna rzecz: kiedy przyszedł pierwszy anonim, rozbawił nas raczej, niż oburzył. Pamiętam, że otrzymaliśmy go w czasie śniadania. Obracałem go leniwie w palcach, jak ktoś, komu czas płynie powoli, a każde wydarzenie rozciąga się w nieskończoność. Stwierdziłem najpierw, że list jest miejscowy, a adres wystukany na maszynie. Odpieczętowałem go przed dwoma innymi; jednym z nich był rachunek, a drugi pochodził od jakiegoś kuzyna–nudziarza. Koperta zawierała kartkę, a na niej ponaklejane drukowane litery tworzyły słowa i zdania. Wpatrywałem się przez chwilę w list, nie rozumiejąc, o co chodzi. Dopiero po chwili aż podskoczyłem z wrażenia.

Joanna, siedząca ze zmarszczonymi brwiami nad jakimś rachunkiem, podniosła na mnie oczy.

— Co się stało? Wyglądasz, jakbyś był czymś mocno poruszony.

Autor anonimu, używając najbardziej drastycznych zwrotów, wyrażał wątpliwość, czy ja i Joanna jesteśmy rodzeństwem.

— To jakiś wyjątkowo ohydny anonim — odpowiedziałem niechętnie.

Nie zdołałem jeszcze opanować w pełni wrażenia, jakie na mnie wywarł list. Bądź co bądź trudno się było spodziewać czegoś podobnego w tej spokojnej, prowincjonalnej dziurze. Joanna od razu się

ożywiła.

— A o co tam chodzi?

Pamiętam, że w powieściach nie pokazuje się kobietom żadnych plugawych anonimów, aby nie urazić ich delikatnych uczuć. Muszę jednak z przykrością wyznać, że nie przyszło mi nawet do głowy ukrywać przed Joanną treści anonimu. Bez słowa podałem jej więc kartkę.

Joanna usprawiedliwiła moją wiarę w jej zrównoważenie i nie okazała na razie większego zdenerwowania, traktując wszystko na wesoło.

— Co za ohyda! Słyszałam dużo o anonimach, ale nigdy się jakoś z nimi nie zetknęłam bezpośrednio... Czy to zawsze tak samo wygląda?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałem — bo i dla mnie jest to pierwsze doświadczenie na tym polu.

Joanna znowu się roześmiała.

— Miałeś rację, mówiąc o mojej szmince, Jerry!

Przypuszczam, że w oczach tutejszych mieszkańców muszę wyglądać na kobietę upadłą!

— Dodaj jeszcze do tego, że nasz ojciec był wysokim brunetem o szerokich szczękach, a matka drobną blondynką z niebieskimi oczami i że ja jestem podobny do ojca, a ty do matki...

Joanna w zamyśleniu skinęła głową.

— Rzeczywiście, nie jesteśmy ani trochę do siebie podobni. Trudno nas wziąć za rodzeństwo.

— W każdym razie znalazł się tu ktoś, kto nas za brata i siostrę nie uważa — rzekłem nieco poruszony.

Joanna dodała jeszcze raz, że to wszystko razem wydaje się jej bardzo zabawne. Chwilę trzymała list w palcach, kołyszając nim lekko tam i z powrotem, po czym zapytała, co moim zdaniem powinniśmy z tym dalej zrobić.

— Najstosowniejszym wydawałoby się wrzucić ten świstek czym prędzej w ogień, wydając okrzyk niesmaku — odpowiedziałem. Słowa moje poparłem czynem, czemu Joanna żwawo przyklasnęła.

— Prześlicznie to zrobiłeś, Jerry, zupełnie jakbyś całe lata spędzał na scenie... Jak to się szczęśliwie złożyło, że w kominku mamy jeszcze ogień, prawda?

— Oczywiście, przy użyciu kosza do śmieci wypadłoby to znacznie mniej efektownie — zgodziłem się. — Mógłbym, co prawda, jeszcze przyłożyć zapalną do kartki i powoli przyglądać się, jak płonie... albo może raczej lepiej powiedzieć: przyglądać się, jak powoli płonie... — rzekłem z patosem.

— Kiedy zawsze jak potrzeba, to wtedy nic się nie chce palić — zauważyła Joanna. — Po prostu od razu gaśnie. Musiałbyś prawdopodobnie zużyć ze sto zapalek, jedną po drugiej...

Po chwili wstała od stołu i podeszła do okna. Potem, odwracając się w moją stronę, spytała:

— Bardzo jestem ciekawa, kto to mógł napisać.

— Tego się pewno nigdy nie dowiemy — odrzekłem.

— Tak... i mnie się tak zdaje... Po chwili milczenia dodała:

— Gdy się tak dłużej nad tym zastanawiam, to już mi się to wydaje mniej zabawne... Wiesz? Myślałam, że oni... że oni tutaj nas raczej polubili...

— I tak też jest z pewnością — odparłem gorąco. — To, po prostu, jakiś niespełna rozum...

— Chyba że tak... Uff...! Jakież to brudy...!

Po wyjściu Joanny z pokoju do ogródka, na słońce, zapaliłem mego pierwszego po śniadaniu papierosa i pomyślałem, że Joanna trafnie to określiła. To było coś istotnie bardzo brudnego. Ktoś najwidoczniej był niezadowolony z naszego przyjazdu, komuś nie podobała się młoda, nowoczesna uroda Joanny, ktoś chciał ją dotknąć, nas dotknąć. Może najwłaściwiej byłoby przejść nad całą sprawą do porządku dziennego ze śmiechem. Bo w gruncie rzeczy to zupełnie nie było zabawne.

Tego samego przedpołudnia odwiedził nas doktor Griffith? Umówiłem się z nim przedtem, że będzie wpadał raz na tydzień, by dokonać przeglądu mego stanu zdrowia. Doktor Owen Griffith bardzo mi się podobał. Niezgrabny, o niezręcznych ruchach i zwinnych, bardzo delikatnych rękach, mówił jakby urywkami i w ogóle robił wrażenie człowieka nieśmiałego. Stwierdził, że ogólnie poprawiłem się wyraźnie, ale na koniec dodał:

— Nie czuje się pan chyba dzisiaj trochę gorzej? Czy może zaszło coś, co pana zdenerwowało? Wygląda pan na trochę zgaszonego.

— Nie, właściwie nic mi nie jest — odrzekłem. — Po prostu otrzymałem ordynarny anonim podczas śniadania i to zapewne pozostawiło na mnie nieprzyjemne wrażenie.

Torba lekarska wysunęła się z rąk doktora i upadła na ziemię, a na jego szczupłej twarzy zjawił się wyraz podniecenia.

— Więc i pan otrzymał jeden z tych anonimów? Słowa doktora bardzo mnie zaskoczyły.

— Czyżby one w większej liczbie krążyły po okolicy?

— Owszem, i to już od dłuższego czasu.

— Ach, więc to tak... Bo ja odniosłem wrażenie, że to specjalnie nasza obecność jest tutaj niepożądana...

— Ależ nic podobnego! To nie ma nic do rzeczy! To po prostu... — przerwał i spytał po krótkiej chwili milczenia: — A o czym była mowa w tym liście?

Potem mocno się zaczerwienił i dokończył zakłopotany:

— Właściwie może to niedelikatnie z mojej strony, że pytam...

— Ależ bardzo chętnie panu powiem, doktorze — rzekłem. — Po prostu autor listu twierdzi, że ta „wysztafirowana dziewczka”, którą tutaj z sobą przywiozłem, wcale nie jest moją siostrą, nawet nie przyrodnią... To byłaby mniej więcej treść listu, i to w wydaniu dla młodych panienek!

Na ciemną twarz doktora wystąpił rumieniec oburzenia.

— Co za bezczelność! Mam nadzieję, że pańska siostra nie była... to jest chciałem powiedzieć, że nie jest tym zbyt przygnębiona?

— Joanna — odpowiedziałem — pozornie wygląda na aniołka umieszczonego na czubku choinki, ale w gruncie rzeczy jest na wskroś nowoczesną i trzeźwą dziewczyną. Wszystko to uznała raczej za zabawne. Nie zetknęła się dotychczas z niczym podobnym.

— No, jestem tego najzupełniej pewien — przytaknął doktor.

— W każdym razie sędzę, że to najlepsze podejście do tego rodzaju rzeczy. Traktować to po prostu jako coś zabawnego...

— Tak — zgodził się doktor Griffith — tylko... — tu przerwał, ja zaś wpadłem szybko w jego słowa:

— Otóż właśnie... „tylko”...

— Cała bieda w tym — kończył doktor — że skoro raz taka historia się zacznie, to potem rośnie, rośnie, rośnie...

— Zupełnie się z panem zgadzam, doktorze.

— Oczywiście, że podłoże całej sprawy jest czysto patologiczne...

— A czy pan się nie domyśla, doktorze, kto może tkwić za tym listem? — spytałem.

— Niestety nie, chociaż bardzo bym chciał. Widzi pan, mania pisania listów anonimowych ma zwykle dwa podłoża: albo to jest przypadek szczególny, skierowany przeciwko jednej określonej osobie, względnie grupie osób, czyli, inaczej mówiąc, jest niejako objawem wytłumaczalnym: ktoś żywi urazę do jednej, określonej osoby bądź wmawia sobie, że taką urazę żywi, i wybiera ten właśnie brudny, nikczemny sposób jej ujawnienia. To niesmaczne i niskie, ale niekoniecznie chorobliwe. I w takich wypadkach autora na ogół łatwo można wykryć: wydalony służący, zazdrosna kobieta, czy coś podobnego. Ale gdy to zatacza szersze kręgi, kiedy nie jest skierowane w stronę kogoś określonego, wówczas sprawa wygląda poważniej. Anonimy wysyłane są na chybił trafił i

mają na celu spowodowanie jakiegoś odprężenia, wyładowania w umyśle piszącego. Jak już powiedziałem, jest to bezwzględnie objaw patologiczny. I z biegiem czasu ta choroba wzrasta. Oczywiście, że dany osobnik wreszcie zostaje wykryty i najczęściej okazuje się, że jest to osoba najmniej podejrzana. Oto, na przykład, w zeszłym roku podobna rzecz zdarzyła się w moich rodzinnych stronach. Autorką anonimów okazała się kierowniczką działu kapeluszy w wielkim magazynie towarowym. Spokojna, kulturalna kobieta, długoletnia pracowniczka firmy. Pamiętam także jeszcze inny przypadek z mojej praktyki na północy kraju, ale okazało się, że to już były czysto osobiste porachunki. Podkreślałam, że na tego rodzaju rzeczy natknąłem się kilkakrotnie w mojej praktyce, i muszę otwarcie powiedzieć: po prostu lękam się ich...

— Czy to się już ciągnie od dawna?

— Chyba nie. Trudno zresztą powiedzieć coś pewnego, ponieważ ci, którzy otrzymują anonimy, przeważnie się do tego nie przyznają; wrzucają po prostu listy do kosza.

Doktor milczał dłuższą chwilę.

— Ja sam także otrzymałem anonim — powiedział — a oprócz mnie adwokat Symmington i kilku z moich pacjentów.

— I treść była mniej więcej zawsze jednakowa?

— Tak. Podłoże zawsze seksualne, to jest cechą zasadniczą. — Uśmiechnął się, po czym ciągnął dalej: — Na przykład Symmingtona oskarżono o utrzymywanie nielegalnego stosunku z jego sekretarką, biedną, starą panną Ginch, która ma co najmniej czterdzieści lat, nosi binokle i ma zęby jak królik. Symmington po otrzymaniu anonimów poszedł natychmiast na policję. Mnie zaś oskarżono o nieprzestrzeganie etyki lekarskiej w stosunku do pacjentek, i to z podkreśleniem szczegółów... Ogólnie biorąc, wszystkie te listy są absurdalne i trochę śmieszne, a zarazem niesłychanie jadowite... Ale mimo wszystko zaczynam się bać... Te rzeczy mogą się stać niebezpieczne...

— Przyznaję panu zupełną słuszność, doktorze!

— Bo, widzi pan... chociaż to taka dziecinna, grubymi nićmi szyta robota, wcześniej czy później któryś z tych listów trafi w sedno. A wtedy... jeden Bóg wie, co się może stać. Poza tym boję się wpływu, jaki te listy wywrą na słabsze, mało krytyczne umysły. Są ludzie, którzy widząc coś na piśmie, święcie wierzą, że to musi być prawda. A stąd może wyniknąć wiele komplikacji.

— List, który ja otrzymałem, był pisany przez kogoś mało inteligentnego — rzekłem zamyślony — powiedziałbym, że przez kogoś niewykształconego...

— Czyżby? — zdziwił się doktor Griffith.

Kiedy myślałem później o tej rozmowie, doszedłem do przekonania, że owo „czyżby” było raczej niepokojące.

Nie będę udawał, że anonim nie pozostawił po sobie jakiegoś przykrego posmaku. Jednakże zapomniałem o całej sprawie dość szybko, nie biorąc jej zbyt poważnie. Po prostu tłumaczyłem sobie, że przypadki tego rodzaju zdarzają się prawdopodobnie dość często w różnych zapadłych dziurach. Z pewnością źródła można by się doszukać w mentalności jakiejś histeryczki, która dramatyzuje i przesadza swoje osobiste sprawy. W każdym razie, jeżeli wszystkie inne listy były tak dziecinnie głupie jak nasz, to nie mogły sprawić wiele zła.

Następny incydent, jeżeli tak to można nazwać, miał miejsce mniej więcej w tydzień potem, kiedy to pani Partridge, zaciskając mocno usta, zawiadomiła mnie, że nasza dochodząca, Beata, nie przyjdzie tego dnia do pracy.

— Dowiedziałam się właśnie, proszę pana — rzekła pani Partridge — że Beata czuje się niedobrze...

Nie bardzo orientowałem się, co pani Partridge miała na myśli, postawiłem jednak diagnozę, jak się potem okazało fałszywą, że chodzi tu o jakieś zaburzenia żołądkowe, na których bliższe określenie nie pozwoliła gospodyni wrodzona skromność. Odpowiedziałem więc, że bardzo współczuję Beacie, ale mani nadzieję, że to nic poważnego i że niebawem powróci do zdrowia.

— Dziewczyna jest zupełnie zdrowa, proszę pana — rzekła pani Partridge — tylko że w duszy czuje się niedobrze...

— Och — bąknąłem niewyraźnie, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi.

— To przez ten list, który dostała w ostatnich dniach — ciągnęła pani Partridge. — Że tak powiem list z pewnymi podejrzeniami...

Ponury wzrok pani Partridge w połączeniu z wyraźnym wielkim „P” w słowie „podejrzeniami” wzbudził we mnie obawę, czy czasem owe podejrzenia nie wiążą się z moją osobą. I chociaż jestem przekonany, że nie poznałbym owej Beaty na ulicy Lymstock — gdyż tak mało interesowała mnie jej osoba — odczułem zrozumiałe niezadowolenie. Trudno wziąć inwalidę, kuśtykającego o dwu laskach, za uwodziciela wiejskich dziewcząt. Powiedziałem więc trochę zirytowany:

— Cóż to znowu za nonsensy pani opowiada!

— Te same słowa, proszę pana, powiedziałam matce Beaty. Bo tam, gdzie ja prowadzę gospodarstwo, proszę pana, nigdy nie było i nie będzie żadnych bałamuctw. Tak jej powiedziałam, proszę pana! A jeżeli idzie o Beatę, powiedziałam, to dzisiejsza młodzież bardzo się zmieniła i jeżeli chodzi o jakieś bałamucenie poza domem, to ja już tu nie mam nic do powiedzenia, proszę pana. Sprawa wygląda, proszę pana, tak, że ten chłopiec Beaty, z którym ona teraz chodzi, ten z garażu, dostał anonim i bardzo głupio się zachował...

— Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się słyszeć większych bzdur — rzekłem poirytowany.

— Tak jak mnie się zdaje, proszę pana — ciągnęła pani Partridge — to nie mamy już co liczyć na

Beatę. Bo ja powiadam, proszę pana, że ona nie byłaby się tym aż tak przejęła, gdyby nie miała czegoś do ukrywania.

Nie przypuszczałem nawet, że kiedyś w przyszłości to ostatnie zdanie, wygłoszone przez panią Partridge, będzie mnie tak dręczyć.

Owego ranka, ot tak po prostu dla przygody, postanowiłem pójść do wioski piechotą (oboje z Joanną nazywaliśmy Lymstock wioską, chociaż w gruncie rzeczy niesłusznie i tutejsi ludzie byłiby na nas oburzeni).

Słońce świeciło pięknie, powietrze było chłodne i rześkie, z jakąś domieszką wiosennej słodyczy. Wziąłem więc obie laski i ruszyłem w drogę, stanowczo odrzucając towarzystwo i pomoc Joanny.

— Nie! — rzekłem kategorycznie. — Nie chcę, żeby się przy mnie pętał jakiś anioł stróż i szczebiotał w razie czego wyrazy zachęty. Pamiętaj, że ten podróżuje szybciej, kto idzie sam. Poza tym mam mnóstwo spraw do załatwienia w Lymstock. Zajrzę do radców prawnych (Galbraith, Galbraith i Synimington), żeby załatwić przelew akcji, wstąpię do piekarza z reklamacją co do chleba rodzynekowego i na ostatku zwrócę książkę w wypożyczalni. Aha, jeszcze muszę wpaść do banku! Nie dręcz więc mnie, kobieto! Sama widzisz, że na załatwienie tego wszystkiego nie starczy mi chyba całego przedpołudnia.

Wreszcie umówiliśmy się, że jak już będzie pora na lunch, Joanna przyjedzie samochodem, żeby: mnie podwieźć pod górę.

— Chyba wystarczy ci czasu na pogawędkę z każdym mieszkańcem Lymstock osobno — oświadczyła.

— W każdym razie na pewno zobaczę w ciągu tego przedpołudnia każdego, kto jest w Lymstock „kimś” — odrzekłem.

Bo ulica Główna w Lymstock w godzinach przedpołudniowych jest miejscem spotkań wszystkich mieszkańców miasteczka i okolicy, a przy tej sposobności wymienia się najnowsze nowinki i ploteczki.

Okazało się jednak, że nie było mi sędzone dobrnąć do Lymstock samotnie. Ledwie bowiem uszedłem ze dwieście metrów, usłyszałem za sobą dzwonek roweru, a potem przeraźliwy zgrzyt hamulca i już po chwili Megan Hunter leżała razem z rowerem u moich stóp.

— Halo! — zawołała zdyszana, szybko zrywając się z ziemi i otrzepując z kurzu.

Muszę powiedzieć, że raczej lubiłem Megan i miałem w stosunku do niej jakieś dziwne uczucie żalu i litości. Była pasierbicą adwokata Symmingtona, to znaczy córką pani Symmington z pierwszego małżeństwa. O panu, względnie „kapitanie” Hunterze niewiele się na ogół mówiło i zdawało mi się, że najchętniej by o nim w ogóle zapomniano. Podobno bardzo źle traktował swą żonę. Po roku czy dwu małżeństwa pani Symmington rozwiodła się z nim, a będąc niezależna finansowo, osiadła z małą córeczką w Lymstock, „aby zapomnieć”. Wkrótce poślubiła jedyne miejscowe epuzera, jakim

był Ryszard Symmington. Z drugiego małżeństwa mieli państwo Symmington dwóch synów, których bardzo kochali. Miałem wrażenie, że Megan często czuła się w tej rodzinie intruzem. Była zdecydowanie niepodobna do matki, drobnej, anemicznej kobietki o spłowiałej nieco urodzie, która słabym, melancholijnym głosem prowadziła rozmowy przeważnie na temat trudności ze służbą lub skarżyła się na zdrowie.

Megan była wysoką dziewczyną o niezręcznych ruchach i chociaż miała już dwadzieścia lat, wyglądała na szesnastoletnią pensjonarkę. Nad jej czołem piętrzyła się chmura złotawobrazowych, przeważnie potarganych włosów, oczy miała orzechowe, szczupłą, kościstą twarz i nieoczekiwane uroczy uśmiech, przy którym podnosił się tylko jeden kącik ust. Ubrana zawsze nietwarzowo i niedbale, pończochy nosiła bawełniane, przeważnie dziurawe. Tego dnia Megan wydała mi się jeszcze bardziej podobna do konia aniżeli do istoty ludzkiej. Pomyślałem, że przy jako takim „oporządzeniu” mogłaby być bardzo przyjemnym konikiem.

Jak zwykle, zaczęła mówić bardzo szybkim, zdyszczonym głosem:

— Wie pan, wracam właśnie z farmy Lasherów. Chciałam wy dębić od nich trochę kaczycy jaj. Lasherowie mają całą moc strasznie śmiesznych prosiąt... Boskie po prostu! Lubi pan prosięta? Bo ja przepadam! Uwielbiam nawet ich zapach...

— Dobrze utrzymane prosięta nie powinny mieć żadnego zapachu — zauważyłem.

— Tak, ale tutaj w okolicy wszystkie prosięta pachną. Czy pan idzie do miasteczka? Zobaczyłam z daleka, że pan idzie sam, i pomyślałam, że się zatrzymam i pójdziemy razem. Tylko jakoś mi się tak za gwałtownie zatrzymało...

— I rozdarłam sobie pończochę — dokończyłem za nią.

Megan smętnie spojrzała przez ramię na swoją prawą nogę.

— Rzeczywiście... Ale i tak miała dwie dziury, więc właściwie to już wszystko jedno, prawda?

— Czy pani nigdy nie ceruje swoich pończoch?

— Owszem, czasami... przeważnie jak mnie mama przyłapie. Ale mama nie zwraca specjalnej uwagi na to, co robię. To nawet dość szczęśliwie, prawda?

— Pani zdaje się nie zauważyła wcale, że jest już osobą dorosłą — wtrąciłem.

— To co? Czy dlatego powinnam wyglądać tak jak pańska siostra? Taka wymuskana laleczka?

Nie bardzo mi się podobało takie określenie Joanny.

— Moja siostra wygląda zawsze czysto, porządnie, tak że miło jest na nią popatrzeć — odpowiedziałem chłodno.

— Jest strasznie ładna — zapewniła gorąco Megan — ale ani krzty do pana niepodobna... dlaczego?

— Bracia i siostry niekoniecznie muszą być do siebie podobni.

— Święta prawda! Bo, na przykład, ja nie jestem podobna ani do Briana, ani do Colina, a znowu Brian i Colin także nie są do siebie podobni. — Chwilę milczała, po czym dodała w zamyśleniu: — To w ogóle jakieś dziwaczne...

— Mianowicie co pani uważa za takie dziwaczne?

— No, rodziny — odrzekła krótko.

— Może i racja — odpowiedziałem z wolna. Zastanawiałem się, co właściwie Megan miała na myśli. Jakiś czas szliśmy obok siebie w milczeniu, po czym dziewczyna odezwała się trochę jakby niepewnie:

— Pan jest lotnikiem, prawda?

— Owszem...

— I to dlatego jest pan taki połamany?

— Tak... rozbiłem się samolotem.

Megan powiedziała po chwili:

— Tutaj nikt nie lata.

— Zdaje się, że raczej nie — odrzekłem. — A czy pani chciałaby latać?

— Jaaa? — spytała Megan ze zdziwieniem. — Broń Panie Boże! Na pewno bym zaraz poleciała do Rygi... Mnie już wystarczy jazda pociągiem, żeby...

Przerwała, a po chwili milczenia zapytała z tą bezpośredniością, jaka cechuje tylko dzieci:

— Czy pan kiedyś wyzdrowieje zupełnie i będzie znowu mógł latać, czy już na zawsze zostanie pan kaleką?

— Lekarz zapewnia mnie, że wyzdrowieję.

— No dobrze, ale czy to taki typek, co nie buja?

— Nie przypuszczam — odpowiedziałem — a raczej jestem pewien, że nie blaguje. Ufam mu.

— No to w porządku! Bo wie pan, wielu ludzi buja! Przyjąłem w milczeniu ową niewątpliwie słuszną uwagę. Po chwili Megan powiedziała niedbale, jakby nieco urzędowym tonem:

— No to się bardzo cieszę. Bo już się bałam, czy pan nie dlatego jest zawsze taki wściekły, że ma pan zostać na całe życie kaleką. Ale jeżeli to u pana jest naturalne, to w porządku.

— Wcale nie jestem wściekły — zauważyłem chłodno.

— No, dobrze, dobrze! Powiedzmy wobec tego, że pan się łatwo złości...

— Może dlatego się złościę, widzi pani, że jak się chce najprędzej powrócić do normalnego stanu, a to nie idzie tak prędko, jakby się chciało, to człowieka złości.

— Niepotrzebnie tyle kramu o to! Musiałem się roześmiać.

— Moje drogie dziecko — rzekłem — a czy pani nigdy nie zależy tak bardzo, ale to bardzo na czymś? Nigdy pani nie pragnie, aby to było już, już jak najprędzej.

Megan zastanawiała się nad moim pytaniem.

— Nie! Bo i po co? Nie ma się w ogóle o co rozbijać. Tu się nigdy nic nie dzieje!

Uderzył mnie smutek w jej głosie. Powiedziałem więc łagodnie:

— Co pani tutaj robi po całych dniach? Megan w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

— A co tu w ogóle można robić?

— Nie ma pani jakichś ulubionych zajęć? Może jakiś sport? Nie ma pani przyjaciół?

— Jeżeli chodzi o sporty, to jestem skończony tuman. Zresztą nie przepadam za tym. A przyjaciół...? Tu w okolicy niewiele jest młodzieży, a te moje rówieśniczki, które są, to raczej trzymam się z daleka od nich. Uważają, że jestem okropna...

— Ee, plecie pani! Dlaczego miałyby panią uważać za okropną?

— Potrząsnęła w milczeniu głową.

— A czy chodziła pani do jakiejś szkoły?

— Pewnie, że chodziłam...! Dopiero od roku jestem w domu.

— I lubiła pani szkołę?

— Chyba tak... tam było nie najgorzej. Chociaż uczyli człowieka idiotycznie.

— Jak to?

— No, po prostu tak jakoś urywkami, siekaninką. Ciągłe przeskakowali z jednego na drugie. To była bardzo tania szkoła, wie pan, i profesorowie nie byli tacy znowu nadzwyczajni." Nigdy nie potrafili porządnie odpowiedzieć na pytanie.

— Bardzo niewielu jest profesorów, którzy by to potrafili.

— No i dlaczego? Przecież ich się po to trzyma. Przyznałem jej rację.

— Oczywiście, że ja jestem bardzo głupia — ciągnęła dalej — ale jest cała masa takich rzeczy, które mi się wydają straszną bujdą! O, weźmy chociażby historię! Zupełnie co innego piszą w jednej książce, a co innego w drugiej...

— W tym właśnie leży cały urok historii — odpowiedziałem.

— Albo taka gramatyka — mówiła dalej Megan — i te idiotyczne wypracowania. Albo znowu te rozwlekłe bujania Shelleya o skowronkach... No a Woodsworth też nie lepszy, rozpływa się nad jakimiś głupimi żonkilami... A Szekspir...?

— Ciekaw jestem, co pani zawinił biedny Szekspir? — spytałem rozbawiony i zaciekawiony.

— Chociażby to, że przymusza się do mówienia najzwyczajniejszych rzeczy w taki zawiły sposób, żeby absolutnie nikt nie mógł zrozumieć. Chociaż, muszę przyznać, niektóre kawałki u niego nawet lubię...

— Jestem przekonany, że Szekspir byłby pani bardzo wdzięczny, gdyby się o tym dowiedział.

Megan wcale nie zauważyła ironii w moich słowach i mówiła dalej z rozjaśnioną twarzą:

— O, na przykład, lubię Goneril i Regan...

— Dlaczego właśnie te dwie...?

— Czy ja wiem? Jakoś mi najbardziej odpowiadają. A jak się panu zdaje, dlaczego one się zrobiły takie?

— Jakie się zrobiły?

— No, takie jakie były. Przecież coś musiało je tak zmienić.

Muszę wyznać, że po raz pierwszy zastanowiłem się nad tym problemem, dotychczas bowiem uważałem obie starsze córki króla Leara po prostu za dwa wstrętne babska, i na tym koniec. Ale uwaga Megan o przyczynie takiego a nie innego ukształtowania się ich charakterów bardzo mnie zaskoczyła.

— Muszę nad tym poważnie pomyśleć — powiedziałem.

— O, właściwie to głupstwo... po prostu byłam ciekawa! Ostatecznie przecież to tylko angielska literatura, nie?

— Oczywiście, oczywiście! A czy nie było w szkole żadnego przedmiotu, który by pani specjalnie odpowiadał?

— Tylko matematyka.

— Matematyka? — spytałem ze zdumieniem. Twarz Megan rozjaśniła się jeszcze bardziej.

— Uwielbiam matematykę! Ale tego też nie uczyli specjalnie dobrze. Bardzo bym chciała, żeby mnie ktoś tak naprawdę porządnie uczył, bo przecież matematyka jest po prostu boska! Czy pan nie uważa, że w samych cyfrach jest coś zupełnie boskiego?!

— Jakoś nigdy tego nie odczuwałem — wyznałem szczerze.

Tak gawędząc, doszliśmy na ulicę Główną. Wtem Megan powiedziała ostro:

— O, idzie ten ohydny babsztyl, panna Griffith!

— Tak jej pani nie lubi?

— Nie cierpię! Stale mnie męczy i zadrecza, żebym się zapisała do tego jej głupiego zastępu. Nienawidzę tego całego zastępu! Po co ubierać się jakieś specjalne mundury, łązić całą bandą z opaską na rękawie nie wiadomo z jakiego powodu i robić coś, o czym się nie ma najmniejszego pojęcia. Moim zdaniem to wszystko jest do chrzanu!

Na ogół dzieliłem opinię Megan. Ale nim zdążyłem coś powiedzieć, panna Griffith już na nas wpadła. Siostra doktora, ochrzczona szczególnie dla niej nieodpowiednim imieniem Aimée, miała w dużym stopniu ową pewność siebie, której tak brakowało bratu. Była to przystojna, opalona niewiasta o męskim nieco wyglądzie i głębokim, niskim głosie.

— Halo, moi drodzy! — wołała już z daleka. — Wspaniały mamy dziś dzień, prawda? Megan, właśnie marzyłam, żeby się z tobą spotkać! Jesteś mi koniecznie potrzebna do adresowania kopert dla Klubu Konserwatystów.

Megan mruknęła coś niewyraźnie, oparła rower o krawężnik i dała nura w otwarte drzwi Międzynarodowego Magazynu.

— Dziwne dziecko — rzekła panna Griffith, śledząc wzrokiem znikającą postać Megan. — Leniwa do szpiku kości. Cały czas spędza tylko na wałęsaniu się z kąta w kąt. Ciężki to los dla pani Symmington. Wiem, że starała się kilkakrotnie zachęcić Megan do nauki bądź to stenografii, bądź pisania na maszynie czy wreszcie gotowania, szycia lub hodowli angorskich królików. Megan musi mieć jakieś zainteresowania...!

Pomyślałem, że wszystko, co mówi panna Griffith, jest bezsprzecznie rozsądne i słuszne, ale ja sam, będąc na miejscu Megan, oparłbym się stanowczo każdej jej propozycji, po prostu dlatego, że agresywność panny Griffith wywołałaby odruchowy sprzeciw.

— Nie znoszę i nie toleruję lenistwa — ciągnęła panna Griffith — a już specjalnie u młodzieży. Przecież Megan nie jest ani ładna, ani pociągająca. Czasem mi się zdaje, że jest trochę nedorozwinięta. Tak, to wielki zawód dla jej biednej matki. Jeżeli chodzi o jej ojca — tu zniżyła głos — to był on zdecydowanie nieudany. Boję się, że dziecko poszło w jego ślady. Przykre to, bardzo przykre dla matki. Ale trudno, zawsze mówię, że świat składa się z najróżniejszych typów ludzi.

— Na szczęście — wtrąciłem.

Aimée Griffith roześmiała się jowialnie.

— Oczywiście! Źle byłoby, gdybyśmy byli wszyscy jednakowi! Nie lubię jednak patrzeć na kogoś, kto nie bierze z życia wszystkiego, co się da! Ja sama bardzo kocham życie i pragnęłabym, aby i inni jak najwięcej z niego mieli. Moi znajomi dziwią się, że mogę wytrzymać cały rok w tej prowincjonalnej dziurze, a ja tymczasem nigdy się nie nudzę, zawsze jestem czymś zajęta, zawsze czuję się szczęśliwa. Na wsi bezustannie coś się dzieje... Przynajmniej to moje dziewczęta absorbują mnie, poza tym najróżniejsze instytucje i komitety, nie mówiąc już o opiece nad Owenem...

Wtem panna Griffith dostrzegła w oddali kogoś znajomego i z okrzykiem powitalnym dała susa w poprzek ulicy, pozostawiając mnie własnemu losowi. Ruszyłem więc dalej w stronę banku.

Panna Griffith zawsze działała na mnie przytłaczająco, choć z drugiej strony podziwiałem jej żywotność i energię. Miło było patrzeć na promieniujące z niej zadowolenie i radość życia, co stanowiło przyjemny kontrast z cichymi, zrezygnowanymi skargami tak wielu innych kobiet.

Załatwiwszy pomyślnie sprawy bankowe, udałem się do biura panów Galbraith, Galbraith i Symmington. Nie miałem pojęcia, czy żyje jeszcze któryś z panów Galbraithów, przynajmniej jak dotąd na żadnego z nich nigdy się nie natknąłem.

Wprowadzono mnie natychmiast do gabinetu Ryszarda Symmingtona. Panowała tu przyjemna atmosfera, właściwa solidnej, starej firmie prawniczej. Pokażna liczba segregatorów z napisami „sprawy spadkowe”: lady Hope, sir Everard Carr, William Yatesby Hoares i tak dalej, podkreślała jeszcze ten charakter zamożno–ziemiańskiej klienteli.

Przyjrząwszy się pochylonemu nad stołem z aktami panu Symmingtonowi, doszedłem do wniosku, że jeżeli pani Symmington nie powiodło się w pierwszym małżeństwie, to za drugim razem postawiła już na pewnego konia. Symmington był bowiem uosobieniem spokojnej godności, człowiekiem z gatunku tych, których żona nie zazna nigdy niepokoju. Miał bardzo długą szyję z mocno wydatnym jabłkiem Adama, twarz o lekko trupim zabarwieniu i długi, cienki nos. Człowiek niewątpliwie dobry, wzorowy mąż i ojciec, ale bynajmniej nie ktoś, na czyj widok puls uderza przyspieszonym tętnem. Po chwili pan Symmington zaczął do mnie mówić. Mówił wyraźnie, dobitnie i wolno, wykazując wiele zdrowego rozsądku i przenikliwości zawodowej. Sprawę załatwiliśmy szybko, a gdy już zbierałem się do odejścia, rzekłem:

— Szliśmy dzisiaj do miasteczka razem z pańską pasierbicą.

Zdawało się przez chwilę, że pan Symmington nie wie, o kim mowa. Potem jednak uśmiechnął się pobłażliwie:

— Ach, tak, oczywiście... z Megan. Niedawno hm... hm... wróciła ze szkoły. Zastanawiamy się z żoną nad znalezieniem dla niej jakiegoś odpowiedniego zajęcia, tak... hm... jakiegoś zajęcia. Ale

Megan jest oczywiście jeszcze bardzo młoda i, jak powiadają, nieco cofnięta w rozwoju jak na swój wiek. Tak, tak ludzie mówią...

Po wyjściu z jego gabinetu zauważyłem w pierwszym pokoju jakiegoś starszego jegomościa wpisującego coś starannie i powoli do wielkiej księgi, drobnego, mizernego chłopca i kobietę w średnim wieku, z drobno ondulowanymi loczkami, w binoklach, która pisała coś biegle na maszynie.

Jeżeli to miała być panna Ginch, to zgadzałem się z doktorem Griffithem, że trudno było sobie wyobrazić jakieś bardziej zażyłe stosunki między nią a jej chlebowcą.

Następnie udałem się do piekarza, któremu otwarcie powiedziałem, co myślę o jego rodzynkowym chlebie. Opinia moja przyjęta została okrzykami niedowierzania, jakiego zresztą wymagała sytuacja, po czym w zamian za zwrócony, wręczono mi świeży bochenek, „w tej chwili dopiero wyjęty z pieca”, o czym zresztą niewątpliwie świadczyła jego temperatura, gdy przycisnąłem bochenek do piersi.

Wyszędłszy z piekarni rozejrzałem się w prawo i w lewo, czy przypadkiem nie zobaczę gdzieś samochodu Joanny. Spacer zmęczył mnie porządnie i trudno mi było iść o dwu laskach, niosąc do tego jeszcze pokaźny bochenek chleba. Jednakże Joanny ani śladu.

Nagle oczy moje spoczęły na wspaniałym i niewiarygodnym zjawisku... Oto chodnikiem, zmierzając wprost na mnie, płynęła... bogini! Tak, trudno bowiem innym słowem określić to, co ujrzałem! Doskonałość rysów, wijące się wokół twarzy złociste włosy, wysoka, posągowa figura. I szła jak bóstwo... lekko, bez najmniejszego wysiłku... płynęła raczej, niż szła. Coraz bliżej i bliżej... Wspaniała, zapierająca dech w piersiach dziewczyna...!

W stanie niezwykłego podniecenia, w jakim się znalazłem, coś bezwzględnie musiało upaść na ziemię. I rzeczywiście, tym czymś był bochenek chleba. Wymknął mi się niespodziewanie z rąk, a gdy się schyliłem, aby go podnieść, wypuściłem z rąk laskę, która upadła z hałasem na chodnik, ja sam zaś potknąłem się tak, że o mało nie zaryłem nosem w ziemię. Silne ramię „bogini” podtrzymało mnie; zdołałem tylko wyjąkać:

— Bardzo pani dziękuję! Ssstraszenie mi przykro! Podniosła bochenek i wręczyła mi go razem z laską, potem uśmiechnęła się miło i powiedziała:

— Ależ nic nie szkodzi, zapewniam pana, że niesie nie stało.

I nagle... cały czar prysł wobec jej płaskiego, rzeczowego tonu. Ot, przyjemna, zdrowa, dobrze zbudowana dziewczyna i nic więcej. Stałem chwilę, zastanawiając się nad tym, co by było, gdyby bogowie obdarzyli Helenę Trojańską takim właśnie głosem. I że jaka to dziwna rzecz...! Jakaś dziewczyna może wstrząsnąć swą urodą do głębi, ale gdy tylko otworzy usta i przemówi, cały urok pryska. Widziałem co prawda i przypadki odwrotne. Poznałem niegdyś drobną kobietkę o twarzy smutnej małpki, na którą nikt by nie spojrział po raz drugi... A potem, kiedy przemówiła, rozkwitł i powiał dziwny czar, jakby nagle pojawiła się Kleopatra, na nowo rzucająca swe uroki.

Pogrążony w myślach nie zauważyłem, jak Joanna podjechała do chodnika i zatrzymała samochód tuż

przy mnie. Spytała zaniepokojona, co mi się stało.

— Nic się nie stało — odpowiedziałem, opanowując się z wysiłkiem. — Rozmyślałem sobie o Helenie Trojańskiej i innych związanych z tym rzeczach.

— Co za dziwne miejsce obrałeś sobie do tego — rzekła Joanna. — Wyglądałeś zupełnie niesamowicie, stojąc tak na brzegu trotuaru z otwartymi ustami i z całej siły przyciskając do piersi bochenek chleba rodzynekowego...!

— Doznałem wstrząsu — powiedziałem. — Przeniosłem się w jednej chwili do Troi i z powrotem. Czy nie wiesz przypadkiem, kto to taki? Wskazałem na plecy znikającej w oddali, jakby odpływającej postaci.

Rzuciwszy okiem we wskazanym kierunku Joanna odpowiedziała, że to guwernantka dzieci państwa Symmington.

— Czy to ona tak cię wytrąciła z równowagi, kochanie? — spytała mnie siostra. — Jest bardzo piękna, ale jakaś taka... mokra ryba.

— Tak, właśnie... — odpowiedziałem. — Po prostu miła, uprzejma dziewczyna. A mnie wydała się Afrodytą.

Joanna otworzyła drzwiczki samochodu i pomogła mi wsiąść.

— Czy nie uważasz, że to dziwne? — spytała. — Są ludzie skończenie piękni, ale absolutnie pozbawieni seksapilu. Na przykład ta dziewczyna... A wielka szkoda...

Odburknąłem, że skoro jest wychowawczynią dzieci, i tak nie ma to prawdopodobnie żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po południu poszliśmy z Joanną na herbatę do pana Pye.

Pan Pye był okrągłutki, niewielkiego wzrostu, zdecydowanie podobny do kobiety; rozmiłowany w swoich krzeselkach petit point, drezdzeńskich pasterkach i całej kolekcji najróżnorodniejszych bibelotów. Mieszkał w Przeorówce, na której terenie znajdowały się ruiny starego opactwa:

Przeorówka była niewątpliwie uroczym domostwem i pod troskliwą i czułą opieką pana Pye prezentowała się ze swej najlepszej strony. Każdy mebel pięknie wypolerowany i ustawiony w najodpowiedniejszym miejscu, zasłony i poduszki z kosztownego jedwabiu, prześliczne w tonie i kolorach.

Zdawało się niepojęte, że w tym domu mieszka samotny mężczyzna i pierwszym moim wrażeniem było, że mieszkać tu, to jakby zajmować w muzeum salkę, przeznaczoną na taką czy inną epokę. Największą przyjemnością pana Pye było oprowadzanie gości po swym królestwie. Nie uniknęli tego

nawet ludzie najzupełniej obojętni na swe otoczenie. Jeśli ktoś był takim materialistą, że za jedynie istotne w życiu uważał radio, szafkę z podręcznym barem, kąpiel i łóżko, to pan Pye także nie upadał na duchu i wodził go po swoim królestwie.

Jego pulchne, małe rączki drżały z lubości, gdy opisywał swe skarby, a przy opowiadaniu niezwykle podniecających okoliczności, w jakich udało mu się zdobyć i przewieźć z Werony stylowe łóżko, głos zmienił mu się niemal w piskliwy falset.

Ponieważ oboje z Joanną byliśmy amatorami stylowych mebli i wszelkich antyków, od razu zdobyliśmy uznanie gospodarza.

— Muszę przyznać, że taki nabytek, jak państwo, to prawdziwa przyjemność dla naszego małego kółeczka. Poczciwy i zacni są tutejsi ludzie, ale to tacy prowincjusze, żeby nie użyć wyrażenia wieśniacy. Absolutnie na niczym sienie znają. Dosłownie na niczym... Ot, wandale i nic więcej! A zajrzeć do ich mieszkań...! Zalałaby się pani łzami, droga pani! Może już zresztą tak było, co?

Joanna zapewniła go, że nie doszło jeszcze do tego.

— Pani rozumie, o co mi chodzi, prawda? Tak niemożliwie wszystko mieszają...! Widziałem na własne oczy uroczy, prześliczny okaz Sheratona, delikatny, no, wprost doskonały, muzealny! a tuż obok... stół z epoki królowej Wiktorii albo nawet zwyczajne dębowe półki na książki! Tak, nawet dębowe półki, proszę pani!

Zatrząsał się cały ze zgrozy i szepnął żałośnie:

— Dlaczego ludzie są tacy ślepi? Zgodzi się pani przecież ze mną, że jedyna rzecz, dla której warto żyć to piękno?

Zahipnotyzowana jego zapalem Joanna skwapliwie przytaknęła, że, oczywiście, ma rację.

— Więc dlaczego — spytał pan Pye — ludzie tak często otaczają się brzydotą?

Joanna przyznała, że to rzeczywiście bardzo dziwne.

— Dziwne? To zbrodnia! Tak bym to nazywał, zbrodnia...! I jak głupio się tłumaczą! Po prostu powiadają, że coś jest wygodne. Albo że oryginalne! Oryginalne! Słyszała pani? Co za ohydne słowo! Dom, który państwo wynajęli — ciągnął dalej pan Pye — należy do panny Emilii Barton. Trzeba przyznać, że jest czarujący i panna Emilia ma kilka zupełnie przyjemnych sztuk. Zupełnie przyjemnych. Ze dwie albo nawet trzy sztuki można by nawet nazwać naprawdę pierwszorzędnymi. I ma gust, chociaż teraz nie jestem tego tak pewien, jak dawniej. Obawam się, że w pewnych wypadkach kieruje się raczej sentymentem. Lubi, żeby wszystko było tak, jak dawniej, nie dla harmonii, ale po prostu dlatego, że tak było za życia jej matki!

Po chwili skierował uwagę na mnie i równocześnie zmienił głos. Z tonu artysty-entuzjasty przyszedł na gawędziarski ton plotkarza.

— Nie znali państwo tej rodziny? Tak, przypominam sobie, ten dom został wynajęty przez

pośrednika. Ach, jaka szkoda, że państwo ich nie znali dawniej. Gdy ja się tutaj osiedliłem, żyła jeszcze stara pani Barton. Niewiarygodna, zupełnie niewiarygodna osoba! Potwór! Nie wiem, czy mnie państwo rozumieją, dlaczego ją tak określam. Przeżytek, wiktoriański potwór pożerający swe małe! Tak by to trzeba było nazwać... To była monumentalna postać. Ważyła chyba ze sto kilo, a cała piątka córek kręciła się dookoła niej jak nakręcona. Mówiła o nich zawsze „dziewczęta!”
Dziewczęta! Dobre sobie! Najstarsza z nich miała już wtedy dobrze po sześćdziesiątce. „Te głupie dziewczęta!” — Tak się o nich wyrażała. Po prostu czarne niewolnice, wiecznie coś przynoszące albo odnoszące i zawsze przytakujące matce. O dziesiątej musiały się kłaść spać i nie wolno było palić w ich pokojach. A o tym, żeby mogły zaprosić swoich gości czy przyjaciółki, to szkoda mówić! Matka zdawała się w głębi duszy gardzić córkami, że nie powychodziły za mąż, z drugiej jednak strony tak kierowała ich życiem, że wprost nie miały możliwości poznać jakiegoś ewentualnego epuzera. Pamiętam nawet, że Emilia (a może to była Agnieszka) zakochała się w jakimś pastorze. Ale rodzina młodzieńca nie była dość dobra dla mamy, która wobec tego szybko położyła kres całej sprawie.

— To brzmi zupełnie jak powieść — rzekła Joanna.

— O, droga pani! Bo to było naprawdę jak z powieści. A potem nareszcie ta okropna staruszka umarła. Ale wtedy, oczywiście, było już za późno. Żyły sobie dalej, mówiąc przyciszonymi głosami o tym, czego by sobie mamusia życzyła, a czego by nie lubiła. Uważały, że nawet zmiana tapety w sypialni nieboszczki byłaby świętokradztwem. A mimo wszystko przyjemnie im się żyło w naszej cichej parafii. Żadna z nich jednak nie odznaczała się specjalnym zdrowiem i wkrótce poumierały jedna po drugiej. Edyta na influencę, Mina nie przeżyła operacji, a biedna Mabel miała atak apoplektyczny. Panna Emilia opiekowała się sparaliżowaną siostrą / całym poświęceniem. Można powiedzieć, że przez ostatnie dziesięć lat ta biedna kobieta nie miała innego życia poza opiekowaniem się chorą. Czy pani nie uważa, że to czarująca osoba? Zupełnie figurka z saskiej porcelany. Jakie to smutne, że wpadła teraz w takie kłopoty finansowe... Ale co robić, wszystkie walory dzisiaj się mocno zdewaluowały.

— Czujemy się trochę nieswojo w jej domu — zauważyła Joanna.

— Ależ dlaczego, dlaczego? Nie powinna pani w ten sposób tego ujmować! Ta „droga, zacna Florentyna” jest jej bezgranicznie oddana i panna Emilia sama mi mówiła, jaka jest szczęśliwa, że natrafiła na tak miłych lokatorów. — W tym miejscu pan Pye skłonił się lekko w naszą stronę. — Powiedziała, że miała naprawdę niezwykle szczęście.

— Atmosfera domu panny Emilii jest jakaś niezmiernie kojąca — powiedziałem.

Pan Pye spojrział na mnie szybko.

— Doprawdy? Dobrze się pan tam czuje? To bardzo interesujące. Bo... trochę się dziwiłem, przyznaję, że się dziwiłem...

— Co pan ma na myśli? — zapytała Joanna.

Pan Pye uczynił okrągły ruch pulchnymi rączkami.

— Nie, nic takiego. Po prostu „dziwiono się”, to wszystko. Ja osobiście wierzę w atmosferę, proszę państwa. Myśli i uczucia ludzi odbijają się niewątpliwie w murach ich mieszkań, w meblach...

Chwilę milczałem. Rozglądałem się wokoło, zastanawiając się, jakbym też określił atmosferę Przeorówki, i doszedłem do przekonania, że nie czułem tu w ogóle żadnej atmosfery. Tak długo zastanawiałem się nad tą bądź co bądź dziwną rzeczą, że nie słyszałem rozmowy naszego gospodarza z Joanną. Ocknąłem się dopiero w chwili, kiedy Joanna żegnała się z panem Pye. Wyrwany z marzeń, dodałem od siebie kilka słów uprzejmości.

Wyszliśmy razem do holu. Gdy podchodziliśmy do drzwi wejściowych, upadł na ziemię list wrzucony z zewnątrz do skrzynki.

— Popołudniowa poczta — mruknął pan Pye, podnosząc list.

— Ale, drodzy państwo, wpadnijcie znowu kiedy, dobrze? Tak miło spotkać ludzi o szerszych horyzontach, rozumiejących sztukę. Czy wiecie, moi drodzy, że ci tutejsi poczciwcy, jeżeli usłyszą „balet”, to natychmiast przychodzą im na myśl piruety, spódniczki i inne wspomnienia starszych panów, u— zbrojonych w olbrzymie lornetki... wszystko gdzieś z frywolnych lat dziewięćdziesiątych. Łagodnie mówiąc, to wszyscy tylko tutaj są cofnięci co najmniej o pięćdziesiąt lat. Cudowny kraj, ta nasza Anglia! Posiada coś, jak gdyby kieszenie, a jedną z nich jest właśnie Lymstock. To bardzo interesujące z punktu widzenia zbieracza. Zawsze mi się zdaje, że mój pobyt tutaj, to jakby dobrowolne schowanie się pod szklanym kloszem. Spokojny partykularz, gdzie nic sienie dzieje...

Jeszcze raz, uściskawszy nam ręce z przesadną troskliwością pomagał mi przy wsiadaniu do samochodu. Joanna ujęła kierownicę, ostrożnie okrążyła klomb podjazdu, potem zaś wyjechawszy na prostą drogę, uniosła dłoń gestem pożegnalnym ku stojącemu na progu panu Pye. Ja też pochyliłem się naprzód w ukłonie. Ale pan Pye już tego nie zauważył, bo właśnie otwierał swą pocztę. Stał na schodach, wpatrując się nieruchomo w kartkę.

Joanna określiła go kiedyś jako „pulchnego, różowego cherubinka”. W tej chwili też był pulchny, ale bynajmniej nie wyglądał na cherubinka; jego twarz, wykrzywiona wyrazem wściekłości i zdumienia, była jedną purpurową plamą. W tej chwili uprzytomniłem sobie, że koperta, którą trzyma pan Pye, budzi we mnie jakieś wspomnienia. Było to jednak zupełnie odruchowe i nie zdawałem sobie sprawy, skąd ją znam.

— Na litość boską, popatrz! — rzekła Joanna. — Co też mogło ukąsić tego biedaka?

— Przypuszczam, że to znowu „Tajemnicza Ręka” — odpowiedziałem.

Joanna obejrzała się na mnie zdumiona, a tymczasem samochód zarzucił w bok.

— Uważaj, kochanie, na wóz — zwróciłem jej uwagę. Joanna skupiła znów uwagę na szosie. Zmarszczyła brwi.

— Czy podejrzewasz, że to taki sam list, jak do nas?

— Owszem, właśnie to miałem na myśli.

— Cóż to za przedziwna okolica — zauważyła Joanna. — Na pozór wygląda na senny, cichy kawałek Anglii... najniewinniejszy, jaki sobie można wyobrazić.

— Gdzie, według słów pana Pye, nigdy nic się nie dzieje — dokończyłem. — Zły moment wybrał sobie do wygłaszania tej opinii, bo niewątpliwie coś się stało...

— Ale kto to wszystko pisze, Jerry? Wzruszyłem ramionami.

— Moje drogie dziecko, a czy ja wiem? Jakiś tutejszy idiota, któremu przypuszczalnie brak piątej klepki.

— Ale po co to robi? To wszystko przecież takie idiotyczne!

— Żeby lepiej zrozumieć, powinnaś trochę poczytać Freuda i Junga. Albo po prostu spytaj doktora Owena.

Joanna potrząsnęła głową.

— Doktor Owen mnie nie lubi.

— Przecież widział cię zaledwie kilka razy.

— To nic, ale widocznie mu to wystarczyło, bo przechodzi na drugą stronę ulicy, gdy mnie spotka w mieście.

— Dziwny sposób reagowania na twój widok — rzekłem ze współczuciem — a w dodatku taki, do jakiego raczej nie jesteś przyzwyczajona.

Joanna patrzyła na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie, ale mówmy poważnie, Jerry! Dlaczego ludzie pisują anonimy?

— Powiedziałem ci już, że z powodu braku piątej klepki. Zaspokaja to, przypuszczalnie, jakąś ich wewnętrzną potrzebę. Bo widzisz, jeżeli ktoś się czuje pokrzywdzony, ignorowany, rozczarowany, a jego życie jest puste i monotonne, to gdy mu się uda zadać komuś szczęśliwemu i cieszącemu się życiem cios w plecy, daje mu to poczucie siły. Joanna wstrząsnęła się.

— To nie bardzo ładne...

— Masz rację, że to nieładne. Mam wrażenie, że tutejsi ludzie mają skłonność do zawierania związków małżeńskich między sobą i stąd zapewne wielka liczba dziwaków.

— Przypuszczam, że w tym wypadku chodzi o kogoś zupełnie niewykształconego i niedorozwiniętego. Przy lepszej edukacji...

Jaonna nie dokończyła zdania, ja zaś nie podtrzymałem rozmowy. Nigdy nie uważałem, żeby wykształcenie było lekarstwem na wszystkie choroby.

Jadąc przez ulice miasteczka, przyglądałem się ciekawie różnym osobom spotykanym na ulicy Głównej. A może któraś z tych krępych kobiet, kryjąca pod pozornie spokojnym czołem ładunek złości i zawiści, nosi się właśnie z zamiarem wylania na papier nowego zapasu nagromadzonej złości?

Ciągle jeszcze nie brałem sprawy na serio.

Dwa dni później byliśmy na brydżu u państwa Symmingtonów.

Było to sobotnie popołudnie. Symmingtonowie zawsze urządzali brydża w sobotę po południu, ponieważ wówczas biuro pana Symmingtona było nieczynne.

Grano przy dwu stolikach. Oprócz nas grali jeszcze oboje gospodarze, panna Griffith, pan Pye, panna Barton i pułkownik Appleton, którego dotychczas nie znaliśmy, ponieważ mieszkał w Combeacre, wiosce odległej od Lymstock o jakieś siedem mil. Pułkownik, człowiek mniej więcej sześćdziesięcioletni, typowy okaz wojskowego starej daty, lubił grę „odważną” (co w wyniku dawało ogromne zapisy na górze u przeciwników) i był tak zafascynowany widokiem Joanny, że prawie cały wieczór nie spuszczał z niej wzroku.

Musiałem bezstronnie przyznać, że siostra moja była najbardziej atrakcyjnym obiektem, jaki zdarzyło się widzieć mieszkańcom Lymstock od dłuższego czasu.

Gdy nadjechaliśmy, Elsie Holland, guwernantka dzieci, zajęta była przeszukiwaniem szuflad ozdobnego biurka, by znaleźć bloczki do zapisów brydżowych. Trzymając bloczki w ręku płynęła po posadzce z tą samą nieziemską gracją, jaką zaobserwowałem za pierwszym razem, nie udało się jej jednak rzucić na mnie czaru po raz drugi. Jaka szkoda! Przy tak skończeniu pięknej figurze i twarzy! Teraz jednak może zbyt jasno widziałem wyjątkowo duże, białe zęby, przypominające płyty nagrobkowe, i śmiech odsłaniający za bardzo dziąsła. A niestety, była jedną z tych dziewcząt—szczebiotek...

— Czy to te, proszę pani? — spytała panią Symmington. — Rzeczywiście, że to bardzo głupio z mojej strony tak zapomnieć, gdzie je schowaliśmy po ostatnim brydżu. I boję się, że to też była moja wina. Trzymałam w ręce. A tymczasem Brian zawołał, że jego lokomotywa się zepsuła, i w tym całym pośpiechu musiałam je wsunąć w najnieodpowiedniejsze miejsce. Te, które znalazłam, są inne, widzę teraz, że mają trochę pożółkłe brzegi. Czy mam zapowiedzieć Agnieszce, żeby podała herbatę o piątej? Zabiorę chłopców do Long Barrow, tak że będą państwo mieli spokój.

Miła, rozsądna dziewczyna! Spostrzegłem, że Joanna patrzy na mnie i się śmieje. Do diabła! Ona zawsze odgaduje moje myśli! Toteż popatrzyłem na nią chłodno.

Zasiedliśmy do brydża. Bardzo szybko zorientowałem się w brydżowych możliwościach obecnych. Pani Symmington była doskonałą brydżystką i niezwykle rozmówaną w tej grze. Jak się często zdarza u kobiet bez intelektu, nie była głupia i posiadała wiele wrodzonego sprytu. Jej małżonek grał

dobrze, może trochę za ostrożnie. Grę pana Pye nazwałbym po prostu olśniewającą. Posiadał jakieś niezwykle wyczucie przy licytacji. Ponieważ brydż został zorganizowany na naszą cześć, więc oboje z Joanną graliśmy przy jednym stoliku, mając za partnerów panią Symmington i pana Pye. Przy drugim stoliku pan Symmington wykazywał wiele taktu przy uspokajaniu zwaśnionych partnerów. Jak już wspomniałem, pułkownik Appleton był zwolennikiem odważnej gry. Mała panna Barton była bez wątpienia najgorszą brydżystką, jaką zdarzyło mi się spotkać, przy czym widać było, że gra sprawia jej ogromną przyjemność. Jako tako jeszcze śledziła licytację, miała jednak najdziksze pomysły, kiedy chodziło

o rozgrywki. Nigdy nie wiedziała, jakie są zapisy, kilkakrotnie wychodziła wtedy, kiedy była nie jej kolej, absolutnie nie mogła doliczyć się atutów, a często zapominała w ogóle, co jest atu. Grę panny Griffith można by scharakteryzować jej własnymi słowami: „Lubię dobrą partię brydża, ale bez żadnych nonsensów i nie uznaję tych waszych konwencji. Mówię to, co mam rzeczywiście w karcie i basta. Żadnych dyskusji po grze! Bądź co bądź to tylko zabawa”.

Jak z tego wszystkiego widać, pan domu nie miał łatwego zadania. Niemniej gra szła zupełnie harmonijnie, tylko od czasu do czasu zakłócona jakimś błędem ze strony pułkownika Appletona, gdy zbyt szybko zapatrzył się na Joannę.

Podwieczorek podano w jadalni, na okrągłym stole. Gdy już kończyliśmy herbatę, wpadło do pokoju dwóch rozgorączkowanych, podnieconych chłopców, których pani Symmington, pełna macierzyńskiej dumy, podobnie zresztą, jak i ojciec, przedstawiła nam jako Briana i Colina. W chwilę potem jakiś cień padł na mój talerz: odwróciwszy głowę zobaczyłem, że to Megan stoi w drzwiach balkonowych.

— A oto i Megan — powiedziała jej matka.

Głos jej zdradzał lekkie zdziwienie, jak gdyby w ogóle zapomniała, że ktoś taki istnieje.

Megan podeszła bliżej, podając każdemu z gości rękę, przy czym robiła to niezręcznie i bez wdzięku.

— Boję się, że zapomniałam o podwieczorku dla ciebie, kochanie — rzekła pani Symmington. — Panna Holland i chłopcy wzięli prowiant na spacer, tak, że nie będziecie dzisiaj mieli podwieczorku w dzieciennym pokoju. Zupełnie zapomniałam, że nie poszłaś z dziećmi... Megan skinęła głową i powiedziała:

— Nic nie szkodzi, wypiję w kuchni. — Wyszła z pokoju. Zauważyłem, że była ubrana równie nieporządnie, jak zawsze, a na obydwu obcasach widać było ślady rozdeptanych kartofli.

Pani Symmington uśmiechając się rzekła, jak gdyby z prośbą o wybaczenie:

— Moja biedna Megan! Przechodzi właśnie ten najniewdzięczniejszy okres. Dziewczęta w okresie między wyjściem ze szkoły a dorośnięciem są zawsze nieśmiałe i niezgrabne.

Zauważyłem, że Joanna odrzuciła głowę w tył, co u niej było zawsze gestem wojowniczym, więc powiedziałem szybko:

— Ależ, o ile wiem, Megan ma już dwadzieścia lat!

— No, tak, tak... Ma tyle! Ale na swoje lata wygląda bardzo młodo, zupełnie jak dziecko. Uważam, że to tak miło, kiedy dzieci nie dorastają zbyt szybko. — Znowu się zaśmiała. — Jestem pewna, że wszystkie matki chciałyby, by ich dzieci zostały na zawsze niemowlętami...

— Nie bardzo się z tym zgadzam — zauważyła Joanna. — Byłoby chyba nieprzyjemnie mieć dziecko o umyśle sześciolatka, a fizycznie wyglądające jak człowiek dorosły.

— Ach, niech pani nie bierze moich słów zbyt dosłownie — odpowiedziała pani Symmington.

W tej chwili uprzytomniłem sobie, że nie przepadam za panią Symmington. Ta anemiczna, zwiędła, mdła uroda ukrywała, moim zdaniem, charakter egoistyczny i apodyktyczny. Potem dodała jeszcze parę słów, po których poczułem, że lubię ją jeszcze mniej.

— Moja biedna Megan! Boję się, że to raczej trudne do prowadzenia dziecko. Staralam się coś dla niej znaleźć, wiem, że można różnych rzeczy nauczyć się korespondencyjnie. Rysunków, krawiectwa... ostatecznie mogłaby się nauczyć stenografii i pisania na maszynie...

Purpurowy ognek nie zgasł jeszcze w oczach Joanny i gdy znowu zasiedliśmy do brydza, powiedziała:

— Przypuszczam, że teraz Megan trochę zacznie bywać? Czy nie ma pani zamiaru wydać dla niej zabawy z tańcami?

— Zabawy z tańcami? — Pani Symmington była zdziwiona i jakby ubawiona. — O, nie! W tych stronach nie robimy takich rzeczy.

— Więc pewnie tylko turnieje tenisowe i tego rodzaju rzeczy!

— Na naszym korcie nikt nie grał w tenisa już od wielu lat. Ani ja, ani Ryszard nie grywamy. Może kiedyś, potem, jak chłopcy dorosną. O, ale Megan znajdzie sobie mnóstwo różnych zajęć. Chociaż ona najlepiej się czuje, kiedy może się wałęsać swobodnie. Ale przepraszam... czy to ja rozdawałam? Dwa bez atuu...!

Gdy ruszaliśmy z powrotem, Joanna z taką pasją nacisnęła gaz, że samochód skoczył raptownie naprzód.

— Strasznie mi żal tej dziewczyny — powiedziała.

— Megan?

— Tak. Matka jej nie lubi.

— No, no, Joanno! Nie przesadzajmy! Nie jest chyba aż tak źle.

— Owszem, jest. Dużo matek nie lubi swych dzieci. Mogę sobie wyobrazić, że taka osoba, jak Megan, nie jest najłatwiejszym elementem w domu. Zakłóca system. Syrnmingtonowski system. Bez

niej byłby on całkowicie doskonały. Dla tak wrażliwej istoty jak Megan, to bardzo przykre uczucie... bo Megan jest bardzo wrażliwa.

— Masz rację — rzekłem — i mnie się tak zdaje. Chwilę jechaliśmy w milczeniu.

Raptem Joanna roześmiała się trochę złośliwie.

— Ale miałeś pecha z tą guwernantką!

— Nie rozumiem, o czym mówisz — odpowiedziałem z godnością.

— No, no, nie udawaj! Ile razy na nią spojrzełeś, tyle razy na twojej twarzy widniała rozpacz. Ale zgadzam się z tobą... Wszystkie twoje zachwyty były na darmo...

— Powtarzam, że nie rozumiem, o czym mówisz.

— Ale wszystko jedno, i tak jestem zachwycona. Bo widzisz, to pierwsza oznaka, że wracasz do normalnego stanu. Gdy przebywałeś w lecznicy, przyznam, że byłam czasem wprost zrozpaczona... nie spojrzełeś nawet na swoją ładną pielęgniarkę, wyjątkowo uroczą buzię, prawdziwy dar niebios dla pacjenta!

— Joanno, sprowadzasz rozmowę na bardzo niski poziom — zauważyłem chłodno.

Moja siostra mówiła jednak dalej, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi:

— Po prostu spadł mi kamień z serca, gdy się przekonałam, że jednak jesteś wrażliwy na ładną buzię. Bo ona naprawdę jest prześliczna. Szkoda tylko, że tak absolutnie wyprana z seksapilu. To naprawdę bardzo dziwne. Co to jest, że jedne kobiety posiadają ten wabik w nadmiarze, a inne są zupełnie go pozbawione? Jak to nazwać, że jedna kobieta, chociażby nawet powiedziała „pogoda dzisiaj jest pod psem”, jest przy tym tak uroczą, że każdy mężczyzna znajdujący się w jej pobliżu chciałby przy sięść się do niej i godzinami rozmawiać o pogodzie? Zdaje mi się, że Opatrzność, rozsyłając na ziemię paczki, popełnia niekiedy omyłki. Idzie, na przykład, jedna paczka zawierająca twarz i kształty Afrodyty, i temperament tej bogini. Tymczasem coś się pokręci w drodze i temperament Afrodyty dostaje się jakiejś okropnej brzyduli... Wtedy wszystkie inne kobiety po prostu szaleją ze złości i mówią: „Zupełnie nie rozumiem, co ci mężczyźni w niej widzą...? Przecież nawet nie można powiedzieć, że jest niebrzydka”.

— Czy już skończyłaś, Joanno?

— No, co? Zgadzasz się ze mną czy nie? Odpowiadaj! Parsknęłam śmiechem.

— Zgadzam się co do tego, że rzeczywiście się rozczarowałam.

— Ale najgorsze, że nie widzę tutaj dla ciebie żadnego innego obiektu...! Chyba będziesz musiał zadowolić się Aimée Griffit...?!

— Broń mnie Panie Boże! — wykrzyknęłam przerażony.

— Musisz jednak przyznać, że jest bardzo przystojna!

— Jak na mój gust, zbytnia „amazonka”.

— Aimée wyciąga z życia wszystko, co się da — rzekła Joanna. — Jest po prostu niesmacznie żywotna... prawda? Nie zdziwiłaby mnie wiadomość, że kąpie się codziennie w zimnej wodzie...

— No, a jeżeli idzie o ciebie, to o kim byś myślała?

— Ja?!

— No tak, ty! Jak cię znam, musisz przecież znaleźć sobie jakiś obiekt do flirtu.

— I kto teraz sprowadza rozmowę na niski poziom? A zresztą, zapominasz o Pawle...

W tym miejscu pierś Joanny uniosła się nie bardzo przekonywającym westchnieniem.

— Z nas dwojga ty sama zapomnisz o nim szybciej, zobaczysz! Za jakieś dziesięć dni na pewno powiesz: Paweł? Jaki Paweł? Nigdy nie znałam żadnego Pawła!

— Jak widzę, uważasz mnie za bardzo niestałą — nadąsała się Joanna.

— Jeżeli chodzi o ludzi tego pokroju co Paweł, to bardzo bym się cieszył, gdybyś była niestała.

— Eee, bo ty go nigdy nie lubiłeś... A ja cię zapewniam, że w nim było coś zupełnie genialnego...

— Może... chociaż osobiście w to wątpię... W każdym razie ze wszystkiego, co o nim słyszę, geniusze należą do typu ludzi, których się serdecznie nie cierpi.

O jednym mogę cię zapewnić, a mianowicie, że w tych stronach na pewno nie natkniesz się na geniusza!

Joanna zamyśliła się przechyliwszy trochę na bok głowę.

— Boję się, że masz rację — rzekła w końcu z westchnieniem.

— Będziesz chyba musiała zadowolić się Owenem Griffithem. To jedyne wolne mężczyzna na tutejszym terenie. Jeżeli oczywiście, nie liczyć pułkownika Appletona... a widziałem, jak cię pożerał wzrokiem przez cały czas u Symmingtonów.

Joanna roześmiała się.

— Zauważyłeś? Muszę powiedzieć, że to było nawet dość krępujące.

— No, no, nie udawaj! Tego rodzaju rzeczy nigdy cię nie krępują.

Joanna prowadziła dalej wóz w milczeniu. Po niedługim czasie wjechała w bramę i zakręciła przed garaż. Wreszcie rzekła:

— Wiesz, myślę, że ten twój pomysł może być niezły.

— Jaki mój pomysł?

— Bo nie wiem, dlaczego jakiś mężczyzna ma na mój widok przechodzić na drugą stronę ulicy. Pomijając już wszystko inne, to jest bardzo niegrzecznie!

— Acha, rozumiem! Masz zamiar zapolować na tego biedaka z całą zimną krwią!

— No, bo przyznaję, że nie lubię, jak mnie ktoś unika!

Powoli i ostrożnie wygramoliłem się z wozu, balansując laskami, potem zaś udzieliłem Joannie następującej rady:

— Pozwól siostrzyczko, że coś ci powiem. Owen Griffith to nie jest jeden z tych skomlących młodych artystów. Jeżeli nie będziesz ostrożna, napytasz sobie biedy. Ten człowiek może być niebezpieczny...

— Uuuu! Tak myślisz? — spytała Joanna, a w głosie jej zabrzmiało przyjemne zainteresowanie taką możliwością.

— Zostaw go lepiej w spokoju — rzekłem ponuro.

— Jak śmie na mój widok przechodzić na drugą stronę ulicy?

— E, bo wy baby wszystkie jesteście jednakowe! Zawsze to samo w kółko! Ale wracając do Owena, to ostrzegam cię, że możesz na domiar wszystkiego narazić się bardzo Aimée Griffith...!

— Aimée już i teraz mnie nie lubi — rzekła Joanna. Powiedziała to w zamyśleniu, ale z nutką wyraźnego zadowolenia.

— Przyjechaliśmy tutaj po spokój i odpoczynek — ciągnąłem ponuro — i mam zamiar tego przestrzegać.

Ale spokój i wypoczynek były to ostatnie rzeczy, jakie nam sądzono w Lymstock.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zdaje się, że coś w tydzień potem nasza pani Partridge zakomunikowała mi, że pani Baker chciałaby ze mną porozmawiać, jeżeli nie mam nic przeciwko temu.

Nazwisko Baker nic mi nie mówiło.

— Kto jest ta pani Baker? — spytałem zdziwiony. — Czy nie mogłaby załatwić swej sprawy z moją siostrą?

Okazało się jednak, że koniecznie ze mną musi się zobaczyć. Dowiedziałem się ponadto, że pani Baker jest matką Beaty. Zupełnie zapomniałem o Beacie. Już od jakichś dwu tygodni widywałem u nas często to na schodach, to w łazience kobietę w średnim wieku, z pasmami siwych włosów, przeważnie cofającą się jak krab na mój widok. Byłem jednak przekonany, że to nasza nowa sprzątaczką. Poza tym nigdy nie myślałem o tej komplikacji z Beatą.

Niezręcznie mi było odmówić zobaczenia się z matką Beaty, tym bardziej że — jak się dowiedziałem — Joanna podobno gdzieś wyszła i nie wiadomo było kiedy wróci. Ale przyznaję, że czułem się trochę nieswojo. Miałem nadzieję, że nie będę oskarżony o granie z uczuciami dziewczęcia. Przeklinając więc w duchu wszystkich autorów anonimowych listów, poleciłem pani Partridge, by wprowadziła matkę Beaty.

Pani Baker była to wysoka, barczysta, opalona kobieta, a słowa płynęły z jej ust obficie i szybko jak potok. Kamień mi spadł z serca, skoro nie dostrzegłem ani w jej słowach, ani w zachowaniu gniewu czy oskarżenia.

— Spodziewam się, proszę pana — rzekła natychmiast, gdy tylko zamknęły się drzwi za panią Partridge — że nie weźmie mi pan za złe mojej śmiałości. Zdawało mi się jednak, proszę pana, że to właśnie do pana powinnam się zwrócić i prosić o radę, co powinnam w tym wypadku zrobić. Ja nie lubię, proszę pana, w takich razach zwlekać albo narzekać i jęczeć, tylko, jak to nasz wikary powiedział w zeszłym tygodniu na kazaniu: „Wstań i działaj!”, proszę pana!

Czułem się tą przemową zaskoczony i zdawało mi się, że tu brakuje czegoś zasadniczego.

— Oczywiście, oczywiście — rzekłem. — Ale może pani zechce usiąść.... ehm... będzie mi bardzo miło, ehm... pomóc pani, jeżeli tylko będę mógł, ehm...

Zawiesiłem głos w oczekiwaniu, że mnie sama naprowadzi.

— Bardzo panu dziękuję, proszę pana... — Pani Baker usiadła na brzeżku krzesła. — Pan jest bardzo łaskawy, dziękuję. I bardzo się cieszę, że przyszłam do pana, powiadam do Beaty, proszę pana, ryczącej i płaczącej na łóżku: „Pan Burton, powiadam, będzie najlepiej wiedział, co zrobić, bo to przecie człowiek, który przyjechał, powiadam, z Londynu”. Trzeba koniecznie coś zrobić, bo ci młodzi chłopcy dzisiaj, proszę pana, to tylko gorączka w głowie, bez żadnego zastanowienia, nie słuchają, co dziewczyna ma do powiedzenia. Jakbym ja była na jej miejscu, tobym mu oddała pięknym za nadobne, proszę pana! Byłem coraz bardziej zdziwiony.

— Bardzo panią przepraszam, ale niezupełnie dobrze rozumiem, o co chodzi. Co się właściwie stało?

— To te listy, proszę pana! Te przekłete listy...! Bezwstydne, jeszcze do tego wszystkiego, z takimi różnymi wyrazami i w ogóle, proszę pana! Gorsze nawet niż pisze w naszej Biblii!

Pomijając milczeniem tę interesującą dygresję, rzekłem zrozpaczony:

— Czyżby córka pani dostała jeszcze więcej anonimów?

— Ona to nie, proszę pana, ona tylko jeden, ten po którym musiała stąd odejść.

— Nie miała najmniejszego powodu... — zacząłem, ale pani Baker stanowczym, aczkolwiek nie pozbawiony szacunku głosem przerwała mi:

— Nie potrzebuje mi pan mówić, proszę pana, że wszystko, co tam pisano, to tylko kupa paskudnych kłamstw. Sama pani Partridge mnie o tym zapewniała, ale i tak byłabym w to wszystko nie uwierzyła. Pan nie wygląda na takiego, proszę pana, wcale nie, a jeszcze do tego kaleka i w ogóle! To było paskudne, brudne kłamstwo. Ale powiedziałam do Beaty, że lepiej, żeby stąd odeszła, bo pan sam wie, proszę pana, jak to jest, to ludzkie gadanie. Zawsze powiedzą, że nie ma dymu bez ognia, proszę pana. A dziewczyna musi być bardzo ostrożna, bardzo! A oprócz tego Beata po tym wszystkim strasznie się zgryzła, więc ja jej powiedziałam: „Dobrze robisz”, jak mi powiedziała, że chce podziękować i już się więcej tutaj na oczy nie pokaże. Chociaż obydwie bardzo żałowaliśmy, bo państwo mają tyle niewygody przez to... przez te, te...

Nie mogąc wybrnąć z tego zdania, pani Baker zaczerpnęła tchu i ciągnęła szybko dalej:

— W ten sposób myślałam, że skończą się te plotki. Teraz ten chłopak z garażu, co to Beata z nim chodzi, to znowu on dostał list. Są tam okropne rzeczy o naszej Beacie i że chodzi z Tomem Ledbetterów, a ja powiadam, proszę pana, że ona ledwie że do niego gębę otwierała, ot, tak czasem tylko się witali...

W głowie mi się zakręciło od tej nowej komplikacji z Tomem Ledbetterem.

— Niech pani pozwoli — rzekłem. — Czy dobrze zrozumiałem? Więc Beaty... hm... hm, tego... chłopiec dostał anonim, w którym jest oskarżenie dotyczące jej i innego młodego człowieka?

— O to, to! Właśnie! I jak to okropnie tam jest napisane w tym liście... takie ordynarne wyrazy! George zupełnie zwariował ze złości, jak to przeczytał. Przyleciał do Beaty, proszę pana, i krzyczał, że wyprasza sobie takie rzeczy i że nie pozwoli, żeby ona za jego plecami szwendała się z innymi facetami, a ona powiedziała, że to wszystko łgarstwo i nieprawda, a on powiedział, że nie ma dymu bez ognia, i zaraz wyleciał jak oparzony, a biedna Beata w płacz...! Wtedy ja łaps za kapelusz i powiadam, że lecę wprost do pana, proszę pana...

Tu Pani Baker na chwilę przerwała, patrząc na mnie wyczekująco jak pies, który czeka, że go pochwalą po wykonaniu jakiejś bardzo zawilej sztuki.

— Ale dlaczego właśnie do mnie? — zapytałem.

— Bo wiedziałam, proszę pana, że i pan dostał jeden z tych parszywych listów, proszę pana, a ponieważ pan przecież jest z Londynu, to pan będzie najlepiej wiedział, co robić...

— Ja na pani miejscu poszedłbym niezwłocznie na policję — rzekłem. — Powinno się raz położyć kres temu wszystkiemu!

Pani Baker była niesłychanie zgorzowana moją radą.

— Ooo! Co to, to nie, proszę pana...! Już ja na policję nie pójde!

— A to dlaczego?

— Chwała Bogu, nigdy nie miałam nic do czynienia z policją, proszę pana... ani ja, ani nikt z mojej rodziny!

— Bardzo możliwe, ale mnie się zdaje, że tu tylko policja ma coś do powiedzenia. To ich sprawa.

— I ja mam iść do Berta Rundle?

Wiedziałem, że Bert Rundle jest policjantem.

— Na pewno na posterunku policji jest teraz jakiś sierżant albo inspektor...

— Ja...? Ja mam iść na posterunek policji?

W tonie pani Baker czuć było wyrzut i niedowierzenie, że ją można by o coś podobnego posądzić. Wszystko to razem zaczęło mnie już trochę irytować.

— To jedyna rada, jaką mogę pani służyć...

Pani Baker milczała, najwidoczniej mało przekonana. Wreszcie powiedziała poważnie i w zamyśleniu:

— Z tymi listami to trzeba raz skończyć, proszę pana... trzeba raz skończyć... inaczej wcześniej czy później może z tego wyniknąć nieszczęście.

— Mnie się zdaje, że już i teraz nie jest całkiem dobrze — rzekłem.

— Ale ja myślę, że może wyniknąć jakaś tragedia, proszę pana... Ci młodzi chłopcy są bardzo gwałtowni, a i starsi też nie lepsi...

— Czy dużo takich listów krąży po okolicy? — spytałem.

Pani Baker skinęła głową.

— Jest coraz gorzej i gorzej, proszę pana. Państwo Bedale spod „Niebieskiego Dzika” zawsze żyli z sobą bardzo szczęśliwie, a teraz przychodzą te listy i jemu zaczyna coś chodzić po głowie, proszę pana... takie różne rzeczy, o których tam jest napisane, a które wcale nie są prawdziwe!

Pochyliłem się ku niej i spytałem:

— Proszę pani, czy pani nie domyśla się, kto może pisać te obrzydliwości?

Ku memu wielkiemu zdziwieniu pani Baker od razu kiwnęła głową potakująco.

— Owszem, domyślamy się... Wszyscy się domyślają.

— Więc kto?

Spodziewałem się, że będzie się wzdragała z wymienieniem jakiegoś nazwiska. Tymczasem pani Baker odpowiedziała bez wahania:

— Pani Cleat, proszę pana. Wszyscy ją podejrzewają. To na pewno pani Cleat.

Słyszałem już dzisiaj tyle nazwisk, że byłem zupełnie zdezorientowany.

— Któż to jest ta pani Cleat?

Jak się okazało, pani Cleat była żoną niemłodego miejscowego ogrodnika. Mieszkała w domku przy drodze wiodącej do młyna. Na moje następne pytanie nie otrzymałem odpowiedzi. Zapytana, dlaczego pani Cleat miałaby pisywać te listy, pani Baker powiedziała tylko ogólnikowo, że „to bardzo na nią wygląda”.

W końcu, gdy już miała wychodzić, powtórzyłem jeszcze raz moją radę, aby natychmiast udała się na policję, z góry jednak byłem przekonany, że nie posłucha. Odniosłem wrażenie, że bardzo rozczarowałem panią Baker.

Zamyśliłem się głęboko nad jej słowami. Chociaż nie miałem żadnych dowodów, doszedłem do przekonania, że skoro całe miasteczko uważa panią Cleat za autorkę listów to najprawdopodobniej tak jest istotnie. Postanowiłem wreszcie udać się po radę do doktora Griffitha. Na pewno zna panią Cleat, jeżeli uzna za stosowne, to wówczas on sam albo ja będziemy mogli podsunąć policji naszą sugestię, że! źródła całej tej przykrej sprawy listów anonimowych należy szukać u pani Cleat. Tak sobie obliczyłem, żeby przyjść do doktora po zakończeniu jego godzin przyjęć. Po wyjściu ostatniego pacjenta wszedłem do gabinetu.

— Ach, to pan Burton! Witam pana!

— Tak, to ja. Chciałbym z panem pomówić chwilkę doktorze.

Opowiedziałem mu pokrótce rozmowę, którą miałem z panią Baker, podkreślając, że autorką listów jest jakoby pani Cleat. Odczułem rozczarowanie, gdy Griffith potrząsnął tylko głową na moje wywody.

— To nie takie proste, jakby się zdawało — powiedział.

— Więc pana zdaniem pani Cleat nie jest autorką anonimów?

— Może nawet i jest. Ale wydaje mi się to raczej mało prawdopodobne.

— Dlaczego wobec tego wszyscy ją o to posądzają?

Uśmiechnął się.

— No... bo pan rozumie, pani Cleat to miejscowa czarownica!

— Święty Boże! — wykrzyknął zaskoczony.

— Tak jest... to w dzisiejszych czasach brzmi trochę paradoksalnie, a jednak wszystko się do tego sprowadza. Istnieje przesąd, że są pewni ludzie lub nawet całe rodziny, których niebezpiecznie jest obrazić. Pani Cleat pochodzi z rodziny kobiet „wiedzących” i obawiam się, że sama przyczyniła się w dużym stopniu do wyrobienia i podtrzymania tej opinii. To dziwaczka, z trochę zgryźliwym, gorzkim poczuciem humoru. Jeżeli jakieś dziecko skaleczy sobie palec albo upadnie i potłucze się, albo zachoruje na świnkę, łatwo jest pokiwać nad nim głową i powiedzieć: „tak, tak... to dlatego, żeś mi ukradł jabłka z ogrodu w zeszłym tygodniu” czy: „a po coś ciągnął mojego kota za ogon?”. W rezultacie matki odciągają swoje dzieci z sąsiedztwa z panią Cleat, inne kobiety zaś przynoszą jej miód czy ciasto przez siebie upieczone, żeby zdobyć jej względy i nie narazić się na „złe oko”. Oczywiście, to głupie przesady, ale tak, niestety, jest. Wobec tego wszyscy teraz są przekonani, że to ona.

— Ale w rzeczywistości nie?

— Naturalnie, że nie. To leży w jej charakterze. Ale, jak już powiedziałem, wszystko razem nie jest takie proste.

— A co pan o tym sądzi, doktorce? — spytałem, patrząc na niego z zaciekawieniem.

Potrząsnął głową, z oczyma wpatrzonymi gdzieś w dal.

— Nic. Doprawdy nic. Nie mam w ogóle pojęcia. Ale to wszystko nie bardzo mi się podoba... Oby z tego nie wynika coś złego...

Po powrocie do domu zastałem Megan siedzącą na schodkach werandy z brodą opartą na kolanach. Powitała mnie ze swą zwykłą bezceremonialnością.

— Halo! — zawołała. — Jak pan myśli? Czy będę mogła zostać u was na lunchu?

— Oczywiście, że będzie pani mogła.

— Jeżeli macie siekane kotlety albo coś innego, trudnego do podzielenia, to powiedzcie od razu?! — wołała za mną Megan, gdy szedłem do kuchni zawiadomić panią Partridge, że będziemy mieli gościa na lunchu. Zdawało mi się, że pani Partridge pociągnęła niechętnie nosem. W każdym razie potrafiła doskonale wyrazić bez słów swą opinię, że panna Megan to dla niej znowu nie żadna taka osobistość... Wróciłem na werandę.

— No i co? W porządku? — zapytała niespokojnie Megan. ‘

— Ależ oczywiście...! — odpowiedziałem. — Mamy dziś właśnie duszoną baraninę.

— No, trudno — westchnęła Megan. — Co pruć to trochę taka psia potrawa. Bo przeważnie tylko kartofle... no i ten zapach...

— Rzeczywiście — potwierdziłem.

Wyjąłem papierośnicę i poczęstowałem Megan, która się mocno zarumieniła.

— To bardzo miło z pana strony...

— Nie weźmie pani?

— Nie, chyba nie... Ale wszystko jedno, to i tak: było ładnie z pana strony, że mnie pan poczęstował. Zupełnie, jakbym była „prawdziwą osobą”.

— A czyż pani nie jest „prawdziwą osobą”? — spytałem rozbawiony.

Megan potrząsnęła tylko głową, po czym, aby zmienić temat, wyciągnęła długą, zakurzoną nogę i podsunęła mi ją przed oczy.

— Widzi pan? Zacerowałam pończochy — rzekła z dumą.

Nie jestem wyrocznią, jeżeli chodzi o cerowanie, ale wydawało mi się, że ten splot najdziwaczniej dobranych kolorów nie był może najszcześniejszym pomysłem.

— Muszę jednak przyznać, że to sto razy mniej wygodne niż dziura — powiedziała Megan.

— Sądząc z wyglądu, to rzeczywiście musi być mniej wygodne — zgodziłem się, patrząc na grubą, nieforemną cerę.

— A czy pana siostra umie ładnie cerować?

Zastanowiłem się chwilę, czy zdarzyło mi się widzieć kiedykolwiek Joannę nad cerowaniem.

— Przyznam się pani, że nie mam pojęcia.

— No, dobrze, a co robi, jeżeli zrobi się jej dziura w pończosze?

— Przypuszczam — odpowiedziałem z namysłem — że po prostu dziurawe pończochy wyrzuca i kupuje nowe.

— To bardzo praktyczne — powiedziała Megan z głębokim przekonaniem. — Aleja, niestety, nie mogę sobie na to pozwolić. Na moje osobiste wydatki dostaję zaledwie czterdzieści funtów rocznie... Niewiele można z tym zwojować...

Przyznałem jej rację.

— Gdybym mogła zawsze nosić czarne pończochy, to zasmarowałabym dziury atramentem — rzekła smutnym głosem. — Tak zawsze robiłam w szkole. Opiekunka internatu, pani Sowa, która pilnowała, żeby wszystko było pocerowane, była rzeczywiście wcieleniem swego nazwiska... ślepa jak sowa... To było szalenie wygodne.

— Tak, to musiało być rzeczywiście wygodne — przytaknąłem.

Przez chwilę trwała cisza, tylko ja pykałem fajkę.

W milczeniu naszym nie było jednak nic, co by nas dzieliło.

Megan przerwała je nagle, wybuchając z całą gwałtownością.

— Założę się, że i pan, tak jak wszyscy tutaj, uważa mnie za okropną!

Ten wybuch tak mnie zaskoczył, że fajka wypadła mi z ust. Była z pianki morskiej, bardzo ładnie barwionej i upadłszy, potłukła się na drobne kawałki. Zły zwróciłem się do Megan z wyrzutem:

— Niech pani spojrzy, co pani zrobiła!

A to najbardziej nieobliczalne z dzieci, zamiast się obrazić, tylko się roześmiało.

— Wie pan? Bardzo pana lubię! — oświadczyła. To była miła uwaga. Takiej właśnie można by się spodziewać (może niesłusznie) od własnego psa, gdyby potrafił mówić. Pomyślałem, że chociaż Megan przypomina raczej konika, z charakteru podobna jest do psa. W każdym razie niewiele w niej jest ludzkiego.

— Co to pani mówiła przed tą katastrofą? — spytałem, zbierając starannie kawałki mojej ukochanej fajki.

— Powiedziała, że pan mnie na pewno uważa za okropną — powtórzyła Megan, ale już zupełnie innym tonem.

— A to dlaczego?

— Bo jestem okropna!

— Niech no pani nie plecie głupstw! — odpowiedziałem ostro.

Megan potrząsnęła głową.

— Widzi pan, to jest tak: w gruncie rzeczy ja nie jestem głupia, chociaż ludzie mnie za taką uważają. Nie mają pojęcia, że w głębi duszy doskonale wiem, co oni są warci, i że przez cały czas właściwie ich nienawidzę.

— Nienawidzi pani?

— Tak — rzekła cicho Megan.

Jej oczy, pełne melancholii, niedziecinne oczy patrzyły prosto w moje bez zmrużenia powiek. Było to smutne, długie spojrzenie.

— Jeżeli by pan był taki jak ja, to też by pan nienawidził ludzi — powiedziała. — Gdyby pan był taki... zupełnie niepotrzebny.

— Czy nie wpada pani w przesadnie ponury ton? — spytałem.

— Owszem — rzekła Megan. — Każdy tak mówi, kiedy usłyszy prawdę. A to jest prawda. Jestem niepotrzebna, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Mamie na mnie wcale nie zależy. Zdaje mi się, że jej przypominam ojca, który z tego, co słyszę, musiał być dla niej okrutnym i w ogóle niemożliwym człowiekiem. Tylko że matki nie mogą powiedzieć, że nie chcą swych dzieci i odejść sobie. Albo zjeść te dzieci. Koty, na przykład, zjadają swoje małe, jeśli ich nie lubią. Moim zdaniem, to bardzo rozsądne. Bez kłopotu i zwracania głowy. Ale u ludzi matki muszą trzymać dzieci przy sobie, czy chcą, czy nie chcą, i opiekować się nimi. Jeszcze dopóki byłam w szkole, to nie było najgorzej, ale teraz... Wie pan, kiedy moja mama czułaby się najszcześniejsza? Żeby była tylko z ojczymem i chłopcami.

Powiedziałem powoli:

— A ja dalej twierdzę, że pani bierze wszystko zbyt tragicznie. Nawet jeżeli przyjmiemy, że w tym, co pani mówi, jest trochę racji, to dlaczego pani nie wyjedzie stąd i nie urządzi sobie życia inaczej?

Uśmiech, jakim mnie obdarzyła, nie miał w sobie nic dziecinnego.

— Myśli pan, że powinnam mieć jakiś zawód, zarabiać na życie?

— Tak.

— A to w jaki sposób?

— Czyja wiem? Mogłaby się pani wyszkolić w jakimś kierunku: stenografia, pisanie na maszynie, księgowość.,.

— Bardzo wątpię, czy potrafiłabym, nie mam do tych rzeczy najmniejszych zdolności. A zresztą...

— No?

Na chwilę odwróciła głowę w inną stronę, teraz zaś znowu popatrzyła na mnie. Twarz miała purpurową, a w oczach błyszczały łzy. Gdy zaczęła mówić, cała dziecinność znowu zabrzmiała w jej głosie.

— Dlaczego miałabym właściwie wyjechać? Albo dać się zmusić do wyjazdu? Nie chcą mnie, a ja jednak pozostanę! Zostanę i wszyscy pożałują! Już ja tak zrobię, że pożałują! Wstrętne świnie! Nienawidzę wszystkich tutaj, w tym Lymstock! Wszyscy mnie uważają za głupią i brzydką, ale ja im pokażę! Już ja im pokażę... ja im... — mówiła z jakąś dziecinną, patetyczną wściekłością.

Na żwirze, za rogiem domu, rozległy się czyjeś kroki.

— Proszę wstać, prędko! — zawołałem gwałtownie. — Niech pani wejdzie do domu, tędy, przez salonik. I niech pani pójdzie na górę do łazienki. W końcu korytarza. Proszę umyć twarz... tylko prędko!

Zerwała się niezręcznie i znikła za drzwiami werandy w tej samej chwili, kiedy Joanna ukazała się z za rogu domu.

— Uff, jak gorąco! — wołała już od drzwi. Usiadła koło mnie, wachlując twarz kolorowym szalem.

— Ależ dałam dobrą szkołę tym pantoflom! Zrobiłam chyba z kilkanaście kilometrów... Przekonałam się, że to nonsens te modne dziurki, które robią teraz w bucikach, bo przedostaje się przez nie żwir i piasek... Wiesz co, Jeny? Musimy sobie zafundować psa!

— Zgadza się — rzekłam. — Ale, ale! Megan będzie u nas dzisiaj na lunchu.

— Tak? To doskonale!

— Lubisz ją?

— Uważam, że Megan jest „odmieńcem”. Takim zamienionym dzieckiem, zostawionym na progu, wiesz, po tym, jak wróżki zabrały to prawdziwe... Uff! Muszę wstać i wziąć prysznic...

— Zaczekaj chwilę, Megan jest teraz w łazience.

— Ooo! Czy i ona też tyle się dzisiaj nachodziła? Joanna wyjęła lusterko i długo, starannie badała swą twarz.

— Nie podoba mi się kolor tej pomadki — powiedziała wreszcie.

W tym momencie weszła Megan. Była już spokojna, umiarkowanie czysta i bez śladu niedawnego wzburzenia na twarzy. Spojrzała niepewnym wzrokiem na Joannę.

— Jak się masz! — zawołała Joanna, ciągle jeszcze zajęta swą twarzą. — Bardzo się cieszę, że zostaniesz u nas na lunchu! Boże święty! Pieg mi wyskoczył na nosie! Muszę zaraz coś z tym zrobić... Piegi są takie okropnie szkockie, i w dodatku tak dodają powagi!

W tej chwili zjawiała się pani Partridge i zawiadomiła chłodno, że podano do stołu.

— Chodźcie — powiedziała Joanna wstając. — Po prostu umieram z głodu!

Wsunęła rękę pod ramię Megan i razem weszły do jadalni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Widzę, że w moim opowiadaniu zapomniałem o czymś, dotychczas bowiem zupełnie nie wspominałem o pani Dane–Calthrop i, oczywiście, o wielebnym Kalebie Dane–Calthrop.

Tymczasem oboje, to znaczy pastor i jego małżonka, byli w Lymstock bardzo wybitnymi osobistościami. Pastor to może najbardziej niezyciowy człowiek, jakiego znałem. Całe jego zainteresowanie skupiało się na książkach i doskonałej znajomości historii Kościoła. Natomiast pani

Dane–Calthrop była wprost przerażająco rzeczowa. Może umyślnie odłożyłem na później wzmiankę o niej, ponieważ od pierwszej chwili trochę się jej bałem. To kobieta o silnym charakterze i niemal nadludzkiej przenikliwości. Nie stanowiła bynajmniej typowej żony pastora... Ale cóż ja mogę wiedzieć o żonach pastorów? Jedyna, którą sobie przypominam, spokojna, niepozorna kobiecina — całkowicie oddana dużemu, silnemu mężowi, kaznodziei o magnetycznej sile — zupełnie nie miała daru prowadzenia rozmowy, tak że każde spotkanie z nią stanowiło niesłychanie trudny problem konwersacyjny. Poza tym podzielałem ogólną opinię o żonach pastorów jako o karykaturach kobiet wtykających wszędzie nos i klepiących wytarte banały. Zupełnie możliwe, że takich typów nie ma.

Pani Dane–Calthrop nie wtykała wprawdzie nosa nigdzie, ale w jakiś wprost niesamowity sposób zawsze wszystko wiedziała. Później stwierdziłem, że prawie wszyscy w okolicy trochę się jej bali. Nigdy nie udzielała rad, nigdy się do nikogo nie wtrącała, niemniej każdy, kto posiadał trochę nieczyste sumienie, uważał ją za wszechwiedzące bóstwo. Nigdy nie spotkałem osoby bardziej obojętnej na otoczenie. W skwarne, upalne dni można ją było widzieć ubraną w ciepłe tweedy, w deszcz zaś, a nawet grad, biegała roztargniona po uliczkach miasteczka w lekkiej bawełnianej sukni w wielkie maki. Miała długą, szczupłą twarz rasowego charta i przerażającą szczerłość w rozmowie.

Następnego dnia po wizycie Megan pani Dane–Calthrop zatrzymała mnie na ulicy Głównej. Pierwszym moim odruchem było zdumienie, ponieważ pastorowa raczej biegała, niż chodziła, a wzrok miała zawsze skierowany przed siebie, gdzieś w daleki horyzont, tak iż miało się wrażenie, że jej prawdziwe zainteresowanie leży gdzieś w zaświatach.

— Ooo! — zawołała. — Toż to pan Burton!

Powiedziała to tak triumfalnym tonem, jak ktoś, komu udało się rozwiązać bardzo zawiły problem.

Przyznałem, że istotnie jestem panem Burtonem, a wzrok pani Dane–Calthrop starał się oderwać od horyzontu i skoncentrować na mojej osobie.

— Zaraz, zaraz... — rzekła. — Dlaczego to ja chciałam koniecznie pana spotkać...?

Niestety, nie mogłem jej w tym dopomóc. Stała przede mną, marszcząc brwi, jakby głęboko czymś zafrasowana.

— W związku z czymś, zdaje się, bardzo nieprzyjemnym — mówiła dalej.

— O, to bardzo przykre! — rzekłem.

— Aha, już wiem! — wykrzyknęła pani Dane–Calthrop. — Anonimy! Co to za zwyczaje, które pan tutaj zaprowadził z tymi listami anonimowymi?

— Wcale nie ja zaprowadziłem — odrzekłem urażony — bo one już się tutaj zjawiły przede mną.

— A jednak nikt nie otrzymywał anonimów, zanim pan się tu nie sprowadził — rzuciła tonem oskarżenia.

— Ależ przeciwnie, proszę pani! Już krążyły w najlepsze!

— O, Boże! — rzekła. — To mi się wcale, a wcale nie podoba.

Stała zapatrzona gdzieś przed siebie, znowu jakby nieobecna. Po chwili powiedziała:

— Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to wszystko jest nie tak, jak być powinno. My tutaj jednak nie jesteśmy tacy. Zazdrość, owszem, i złośliwość także się zdarza, i tym podobne małe grzeszki, ale nie to. Naprawdę nie to! I to mnie bardzo martwi, bo widzi pan, ja powinnam o tym wiedzieć!

Jej piękne oczy przestały spoglądać na horyzont i zwróciły się na mnie. Miały jakiś zafrasowany wyraz i wyrażały szczere zdziwienie dziecka.

— Jakim sposobem miałaby pani wiedzieć? — zapytałem.

— Zazwyczaj wiem, bo mi się zdaje, że to mój obowiązek. Kaleb głosi uczciwe, zdrowe zasady i udziela sakramentów. To jego obowiązek jako kapłana, ale jeżeli już w ogóle godzimy się na małżeństwa kapłanów to, moim zdaniem, obowiązkiem żony pastora jest poznać uczucia i myśli parafian, nawet jeżeli nie może osobiście na nie oddziaływać. Tymczasem ja nie mam najmniejszego pojęcia, w czym umyśle... — przerwała dodając w roztargnieniu: — A jeszcze w dodatku te listy są takie strasznie głupie!

— A czy pani sama... hm... także dostała jakiś anonim?

Byłem trochę zmieszany przy tym pytaniu, ale pani Dane-Calthrop odpowiedziała zupełnie naturalnie, otwierając tylko nieco szerzej oczy:

— O tak, dwa... nie, nawet trzy! Nie pamiętam dokładnie, o co w nich chodziło. Zdaje się, że coś bardzo głupiego na temat Kaleba i nauczycielki. Zupełnie bez sensu, bo Kaleb nie zdradza najmniejszych skłonności do cudzołóstwa, nigdy ich zresztą nie miał. Przy jego zawodzie to się nawet szczęśliwie składa...

— Oczywiście — rzekłem — oczywiście!

— Kaleb mógłby być świętym — mówiła dalej pani Dane-Calthrop — gdyby nie to, że jest za wielkim intelektualistą.

Nie czułem się upoważniony do odpowiedzi na tę uwagę, a zresztą pastorowa mówiła dalej, przeskakując w zdumiewający sposób z męża na anonimy.

— Tyle rzeczy można by poruszyć w takich listach — ciągnęła — a jednak autor tego nie robi. I to jest właśnie najdziwniejsze.

— Wcale bym nie powiedział, że one są takie bardzo niewinne — rzekłem z goryczą.

— Ale autor zdaje się nic nie wiedzieć o pewnych rzeczach. O prawdziwych rzeczach...

— Co pani ma na myśli?

Piękne oczy znowu spotkały się z moimi.

— Widzi pan, sporo tu się zdarza wiarołomstwa i różnych innych grzechów... mnóstwo drastycznych sekretów. Dlaczegoż więc autor nie wykorzystuje tych właśnie tematów. — Po małej pauzie spytała krótko: — A co było w pańskim anonimie?

— Podawano w wątpliwość, czy moja siostra jest rzeczywiście moją siostrą.

— A jest?

Pani Calthrop rzuciła to pytanie naturalnym tonem przyjacielskiego zainteresowania.

— Oczywiście, że Joanna jest moją najprawdziwszą siostrą!

Pani Dane-Calthrop skinęła głową.

— Ma pan więc potwierdzenie tego, co powiedziałam. Znalazłyby się przecież inne rzeczy...

Jej jasne, obojętne oczy patrzyły na mnie w zamyśleniu i nagle zrozumiałem, dlaczego całe miasteczko boi się pani Dane-Calthrop. W życiu każdego człowieka istnieją pewne tajemnice, które chciałby na zawsze ukryć, a czułem, że pastorowa te tajemnice zna. Toteż po raz pierwszy w życiu ze szczerą radością usłyszałem głos Aimée Griffith, która wołała ku nam serdecznie:

— Halo, Maud! Bardzo się cieszę, że cię złapałam. Chciałam ci zaproponować przesunięcie terminu kiermaszu. Dzień dobry panu! Muszę wskoczyć na chwilę do sklepu kolonialnego i zostawić im zamówienie, a potem pójdę z tobą do Instytutu, jeżeli nie będziesz miała nic przeciwko temu.

— Tak, tak, doskonale! — rzekła pani Calthrop.

Aimée Griffith weszła do Międzynarodowego Magazynu, a pastorowa rzekła do mnie:

— Biedactwo...!

Byłem zdumiony. Chyba nie potrzebowała litować się nad Aimée? Ona jednak ciągnęła dalej:

— Wie pan co? Trochę się boję...

— Ma pani na myśli sprawę anonimów?

— Tak, bo wie pan... to by znaczyło... to musi znaczyć... — przerwała, pogrążając się w myślach i mrużąc oczy. Potem powiedziała wolno, jak ktoś zaabsorbowany rozwiązywaniem jakiegoś trudnego problemu: — Ślepa nienawiść... tak! Ślepa nienawiść! Ale nawet człowiek ślepy może przez przypadek trafić kogoś w samo serce. A co się wtedy stanie, proszę pana?

Mieliśmy się o tym przekonać jeszcze przed upływem jednej doby.

O całej tragedii dowiedzieliśmy się od pani Partridge. Pani Partridge uwielbia zamieszanie

wszelkiego rodzaju. Gdy ma zakomunikować jakąś złą nowinę, jej nos zawsze drży z zachwyty.

Weszła do pokoju Joanny z nosem bardziej drżącym niż zwykle w takich wypadkach, z rozjaśnionymi oczami i ustami złożonymi w przesadny i nieszczerzy wyraz smutku.

— Okropna rzecz się stała, proszę pani — zaczęła ściągając w górę rolety. Zgodnie z londyńskim zwyczajem Joanna przebudziwszy się rano potrzebuje zawsze kilku minut, ażeby całkowicie oprzytomnieć.

— Ooo...! Aaach...! — mruknęła, przewracając się na drugi bok, wciąż jeszcze bez większego zainteresowania.

Pani Partridge postawiła tacę z herbatą przy łóżku i spróbowała na nowo:

— To wprost okropne! Wstrząsające! Kiedy mi o tym powiedziano, nie chciałam wierzyć...!

— Co jest takie okropne? — spytała Joanna, walcząc ze snem.

— Biedna pani Symmington... — tu zrobiła dramatyczną pauzę — nie żyje!

— Nie żyje?! — zawołała Joanna, kompletnie już rozbudzona, siadając gwałtownie na łóżku.

— Tak jest, proszę pani, wczoraj po obiedzie... a co gorsza... sama odebrała sobie życie!

— Co też pani mówi, pani Partridge?!

Joanna czuła się naprawdę do głębi wstrząśnięta. Pani Symmington nie była osobą, którą można by łączyć z jakąś tragedią.

— Tak, proszę pani, to szczerza prawda! Umyślnie się zabiła. Ale została do tego popchnięta!

— Popchnięta...? — Joannie zaczęła świtać prawda. — Czyżby...?

Oczy jej wpatrywały się w panią Partridge z niemym pytaniem, na które ta ostatnia skinęła potakująco głową.

— Tak, proszę pani! Jeden z tych okropnych anonimów...!

— Co w nim było?

Tego, niestety, pani Partridge ku swemu ubolewaniu nie zdołała się dowiedzieć.

— To potworne rzeczy — rzekła Joanna — ale nie widzę, dlaczego by miały popchnąć kogoś do samobójstwa?!

— Z wyjątkiem, jeżeli pisze się w nich prawdę, proszę pani!

— Och! — wykrzyknęła Joanna.

Po wyjściu pani Partridge Joanna wypła szybko herbatę, narzuciła szlafrok i zbiegła do mnie podzielić się wiadomościami. Przypomniały mi się słowa doktora Griffitha. Wcześniej czy później strzała, wymierzona na oślepa, trafi do celu. Tak się właśnie stało z panią Symmington. Tę kobietę najmniej można by podejrzewać o ukrywanie jakiejś tajemnicy. Potem przyszło mi na myśl, że mimo sporej dozy sprytu, pani Symmington nie posiadała wiele energii życiowej. Był to typ anemicznej kobiety—bluszczu, która się łatwo załamuje.

Joanna trąciła mnie lekko łokciem, by mnie wyrwać z zamyślenia, i zapytała, o czym myślę. Powtórzyłem jej słowa Owena.

— Naturalnie — rzekła zirytowana — on się najlepiej na tym zna! Jemu się zdaje, że zjadł wszystkie rozumy!

— Bo Griffith jest naprawdę bardzo inteligentny.

— Chciałeś powiedzieć zarozumiały... Wstrętne zarozumiały! — Po chwili wróciła do zasadniczego tematu: — Jakie to straszne dla jej męża, no i dla dzieci. Co sądzisz, jak Megan to przyjmie?

Przyznałem się Joannie, że doprawdy nie mam najmniejszego pojęcia. Ciekawe, że nigdy nie można było przewidzieć, co w danej chwili Megan pomyśli albo zrobi.

Joanna skinęła potakująco i dodała:

— Rzeczywiście, nigdy nie wiadomo, co z takich „zamienionych dzieci” wyskoczy.

— Jak myślisz, czy może... przyszło mi do głowy, czy Megan nie zgodziłaby się pobyć u nas kilka dni? Dla dziewczyny w jej wieku to przecież straszne przeżycie...

— Możemy pójść do nich i zaproponować — rzekłem z gotowością.

— Bo jeśli chodzi o dzieci — mówiła Joanna — to one mają tę guwernantkę, ale mam wrażenie, że właśnie taka osoba jak guwernantka może doprowadzić Megan do szału.

Pomyślałem, że to bardzo prawdopodobne. Wyobraziłem sobie, jak Elsie wygłasza jeden banał po drugim i proponuje niezliczone ilości „dobrej, gorącej herbaty”. Bardzo miłe stworzenie, ale nie sądzę, aby to było odpowiednie towarzystwo dla wrażliwego dziewczęcia.

Sam już myślałem, by zabrać Megan, i cieszyłem się, że na taką samą myśl wpadła i Joanna bez żadnej z mojej strony sugestii.

Po śniadaniu poszliśmy do Symmingtonów.

Obydwoje byliśmy mocno zdenerwowani. Nasza wizyta mogła być uważana za zwykłą, ordynarną ciekawość i żądę sensacji. Na szczęście natknęliśmy się w bramie na wychodzącego doktora Griffitha. Był zmartwiony i bardzo zaabsorbowany. Niemniej powitał mnie dość ciepło.

— O, jak się pan ma, panie Burton! Cieszę się, że pana widzę! Stało się to, czego się najbardziej obawiałem. Co za przekłeta historia!

— Dzień dobry panu, doktorze — rzekła Joanna takim głosem, jakiego używała wobec jednej z naszych najgłupszych ciotek.

Doktor Griffith drgnął i zaczerwienił się jak rak.

— Och, przepraszam! Dzień dobry pani...

— Sądziłam, że może mnie pan nie zauważył — ciągnęła Joanna.

Gdyby to było możliwe, Owen zaczerwieniłby się jeszcze bardziej. Nieśmiałość oblała go całego jak fala.

— Przepraszam, jestem bbbardzo zajęty... ja nie...

Joanna mówiła dalej nielitościwie:

— Bądź co bądź jestem osobą naturalnej wielkości...!

— Raczej może tylko „do kolan” — powiedziałem zły, stojąc obok niej i ciągnąłem dalej: — Zastanawialiśmy się właśnie z siostrą, doktorze, czy nie byłoby dobrze, żeby Megan pobyła u nas parę dni? Jak pan uważa? Nie chcę się wtrącać, ale chyba to bardzo ciężkie przeżycie dla biednego dziecka. Jak pan myśli, co na to powie pan Symmington? Griffith myślał chwilę, po czym powiedział:

— Moim zdaniem to doskonała myśl. Megan jest bardzo nerwowa i byłoby wskazane odsunąć ją trochę od tego wszystkiego. Panna Holland dokonuje cudów, nosi głowę nie od parady, ale ma dość zajęcia z obydwojma chłopcami i samym Symmingtonem. On jest zupełnie załamany, przerażony...

— Czy to było — tu zawahałem się chwilę — samobójstwo?

— O tak! Z pewnością! Nie ma mowy o wypadku. Zostawiła kartkę ze słowami: „Już dłużej nie mogę”. Anonim nadszedł prawdopodobnie wczorajszą popołudniową pocztą. Koperta leżała na ziemi przy krześle, a sam list zmięty w kulkę wrzucony był do kominka.

— A co...

Zatrzymałem się trochę przerażony tym, co chciałem powiedzieć. Griffith uśmiechnął się trochę smutno.

— Niech się pan nie krępuje i śmiało pyta. I tak list trzeba będzie odczytać na rozprawie. Tego się nie da uniknąć. Jak zwykle, był pisany w tym samym mniej więcej nikczemnym stylu. Głównym punktem była insynuacja, że młodszy chłopiec, Colin, nie jest synem Symmingtona.

— Przypuszcza pan, że to prawda?! — wykrzyknąłem niedowierzająco.

Griffith wzruszył ramionami.

— Nie mam żadnych podstaw do wyrażania jakiejkolwiek opinii. Jestem tu dopiero od pięciu lat. Odkąd pamiętam, Symmingtonowie zawsze byli spokojnym, szczęśliwym małżeństwem, zawsze oddani sobie i dzieciom. Prawda, że chłopiec nie jest podobny do żadnego z rodziców, chociażby te rude włosy... Często jednak bywa, że dziecko jest podobne do dziadka czy babki.

— Prawdopodobnie właśnie ten brak podobieństwa był podstawą oskarżenia. Nikczemne i podłe uderzenie na oślep.

— Bardzo możliwe. Tak, to nawet prawdopodobne. „Zatrute Pióro” mało podaje prawdziwych informacji, głównie zaś wylewa żółć i jad...

— Tak się jednak zdarzyło, że strzał trafił w sedno — rzekła Joanna — w przeciwnym bowiem razie nie byłaby się przecież zabiła.

Griffith odpowiedział powątpiewająco:

— Wcale nie jestem tego pewien. Już od dłuższego czasu pani Symmington uskarżała się na zdrowie, była zdenerwowana, histeryzująca. Leczyłem jej nerwy. Sądzę, że szok spowodowany listem z tego rodzaju insynuacją mógł wywołać taki stan załamania i rozprężenia nerwowego, że doprowadził do samobójstwa. Mogła wmówić w siebie, że mąż nie uwierzy jej zaprzeczeniom, a ogólne uczucie hańby i niesmaku mogło oddziaływać na nią tak silnie, że nawet chwilowo zachwiało jej duchową równowagę.

— Samobójstwo w stanie niepoczytalnym — wtrąciła Joanna.

— O, właśnie... Przypuszczam, że z czystym sumieniem będę mógł stanąć na tym stanowisku na rozprawie u koronera.

— Naturalnie — potwierdziła Joanna.

Było w jej głosie coś, co spowodowało, że Owen dodał poirytowany:

— Z zupełnie czystym sumieniem. Zgodzi się pani chyba z tym, panno Joanno?

— Oczywiście — rzekła Joanna. — Na pańskim miejscu postąpiłabym tak samo.

Owen popatrzył na nią niepewnie, po czym ruszył wolno ulicą w dół. Weszliśmy z Joanną do domu.

Drzwi stały otworem, wydało się nam więc właściwsze wejść bez dzwonienia, zwłaszcza że już ze środka doleciał nas głos Elsie Holland. Mówiła coś do pana Symmingtona, który siedział bezładnie w fotelu, zupełnie załamany.

— ...naprawdę, proszę pana, koniecznie powinien pan coś zjeść. Od wczoraj nie miał pan absolutnie nic w ustach, nie jadł pan śniadania, bo to przecież trudno nazwać śniadaniem, co pan zjadł. Przy tym wstrząsie, jaki pan przeżył, jeszcze się pan rozchoruje, a przecież teraz potrzebne są panu siły. To

samo powiedział doktor, nim wyszedł.

Symmington odpowiedział bezbarwnym głosem:

— Pani jest naprawdę bardzo dobra, panno Elsie, ale...

— Koniecznie trzeba się napić dobrej, gorącej herbatki — nalegała Elsie Holland, podsuwając mu zdecydowanym ruchem szklankę.

Jeżeli chodzi o mnie, to byłbym raczej poczęstował biedaka porządną szklaneczką mocnej whisky z wodą sodową. Wyglądał, jakby mu tego było bardzo potrzeba. Przyjął jednak herbatę z rąk Elsie i popatrzył na dziewczynę z wdzięcznością.

— Nie wiem, jak mam pani dziękować za wszystko, co pani zrobiła i co pani robi...

Panna Holland zarumieniła się, widocznie słowa pana Symmingtona sprawiły jej przyjemność.

— Bardzo dziękuję za te słowa. Ale musi mi pan pozwolić robić wszystko, co będę uważała za potrzebne. Niech się pan nie martwi o dzieci. Zajmę się nimi, uspokoję także służbę. I w ogóle jeżeli byłoby coś do zrobienia, jakieś pisanie listów, telefony czy coś podobnego, to proszę od razu bez wahania zwracać się do mnie.

— Pani jest bardzo dobra, serdecznie dziękuję — powtórzył pan Symmington.

W tej chwili Elsie odwróciła się i zobaczyła nas w holu. Szybko podeszła ku nam.

— Czy to nie okropne — szepnęła. Spojrzawszy na nią, pomyślałem, że jest naprawdę niezmiernie miłą dziewczyną. Dobra, praktyczna i nie tracąca głowy w nieszczęściu. Jej prześliczne niebieskie oczy okrążone były lekko czerwoną obwódką. Świadczyło to o wrażliwości jej serca, skoro potrafiła wylewać łzy z powodu śmierci swej chlebodawczyni.

— Czy moglibyśmy chwileczkę z panią pomówić? — spytała Joanna. — Nie chcemy narzucać się panu Symmingtonowi.

Elsie Holland skinęła głową i przeprowadziła nas do jadalni znajdującej się po drugiej stronie holu.

— To było dla niego straszne! — rzekła. — Taki wstrząs! Komu by przyszło do głowy, że coś takiego może się zdarzyć? Ale rzeczywiście, kiedy się teraz nad tym zastanawiam, widzę, że pani Symmington już od pewnego czasu zachowywała się dość dziwnie. Ciągłe była strasznie zdenerwowana i skłonna o byle co do płaczu. Przypuszczam, że to w związku z jej stanem zdrowia, chociaż doktor Griffith stale twierdził, że tak konkretnie to właściwie nic jej nie dolega. Ale była podrażniona i łatwo się unosiła. Czasem człowiek nie wiedział, jak do niej podejść.

— Przyszliśmy — zaczęła Joanna — aby się dowiedzieć, czy moglibyśmy zabrać do siebie Megan na kilka dni. A właściwie, czy ona zechciałaby do nas przyjść...

— Megan? — spytała Elsie Holland z powątpiewaniem. — Nie mam pojęcia. Z państwa strony to

bardzo ładnie, ale to taka dziwaczka! Nigdy nie można przewidzieć, co powie albo jak zareaguje.

Joanna powiedziała ogólnikowo:

— Myśleliśmy, że może będziemy mogli w ten sposób pomóc.

— O, to by była duża ulga! Bo ja muszę zająć się chłopcami, w tej chwili są pod opieką kucharki, Róży, i panem Symmingtonem, który tyle samo potrzebuje opieki, co i chłopcy. I tak dużo mam do zrobienia, do przypilnowania, że doprawdy nie byłabym w stanie poświęcić jej wiele czasu. Zdaje się, że ona jest w tej chwili na górze, w dawnym pokoju dzieciennym, jakby chciała uciec przed wszystkimi. Nie wiem, czy...

Joanna rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie, wysunąłem się więc szybko z pokoju i poszedłem na górę.

Dawny pokój dziecienny znajdował się na poddaszu. Otworzyłem drzwi i wszedłem. Okna pokoju na dole, w którym byliśmy przed chwilą, wychodziły na ogród i żaluzje były podniesione. Tutaj natomiast okna wychodzące na ulicę były szczelnie zakryte roletami. Poprzez szary, gęsty mrok dojrzałem Megan. Siedziała skurczona na przysuniętej do ściany kanapie, podobna do przestraszonego, zaszczutego zwierzątka. Wyglądało, jak gdyby się czegoś bała.

— Megan — powiedziałem cicho.

Podszedłem do niej kilka kroków, przyjmując mimo woli ton, jakim się przemawia do przestraszonego zwierzątka. Dziwiłem się nawet, że nie miałem w ręku marchewki albo cukru. Patrzyła na mnie, nie poruszając się. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

— Megan — powtórzyłem — przyszliśmy tu, żeby się spytać, czy nie zechciałaby pani pobyć parę dni u nas.

Z ciemnego mroku usłyszałem głuchy głos Megan:

— Pobyć u was? W waszym domu?

— Tak jest.

— Chce pan powiedzieć, że zabierze mnie pan stąd?

— Właśnie, moje dziecko.

Zaczęła się nagle trząść jak liść. Był to okropny i wstrząsający widok.

— Och, proszę mnie zabrać! Proszę! Tutaj tak jest strasznie i taka się czuję... podła.

Podszedłem bliżej. Ręce Megan pochwyciły rękaw mojej marynarki.

— Jestem okropny tchórz! Nie miałam pojęcia, że mogę być takim tchórzem!

— Dobrze, już dobrze, głuptasku! — rzekłem. — Takie rzeczy mogą każdego człowieka wyprowadzić z równowagi. Chodźmy!

— Czy możemy iść zarazi Nie zwlekając?

— Przypuszczam, że będzie pani chciała zabrać z sobą trochę rzeczy?

— Jakich rzeczy? Po co?

— Moje drogie dziecko — odrzekłem. — Możemy dać do pani dyspozycji łóżko, kąpiel i tym podobne rzeczy... ale za nic w świecie nie podzielę się z panią moją szczoteczką do zębów!

Megan roześmiała się, ale bardzo słabiutko i cicho.

— Ach! Zdaje mi się, że jestem dzisiaj wyjątkowo głupia, ale niech pan nie zwraca na to uwagi... Zaraz zapakuję trochę drobiazgów. Ale pan nie odejdzie? Będzie pan na mnie czekał?

— Tak. Będę na panią czekał na dole.

— Dziękuję, bardzo panu dziękuję... Przepraszam, że jestem taka głupia. Ale, widzi pan, kiedy człowiekowi umrze matka, to jest przecież okropne...

— Wiem — odrzekłem krótko.

Poklepałem ją przyjacielsko po plecach, ona zaś, rzuciwszy mi pełne wdzięczności spojrzenie, wyszła z pokoju. Wróciłem na dół.

— Odnalazłem Megan — powiedziałem. — Idzie z nami.

— Ach, świetnie! — zawołała Elsie Holland. — To trochę odwróci jej myśli od tych spraw. Megan jest nerwową, trudną dziewczyną. Dla mnie to też wielka ulga, że nie będę musiała się o nią troszczyć. Bardzo to ładnie z państwa strony i mam nadzieję, że nie będziecie mieli z nią wielkiego kłopotu. O, przepraszam, dzwoni telefon! Muszę go odebrać, bo pan Symmington nie jest w stanie...

Wybiegła szybko z pokoju, Joanna zaś powiedziała:

— Prawdziwy anioł opiekuńczy!

— Powiedziałaś to trochę złośliwie — zauważyłem.

— A przecież to naprawdę miła, dobra dziewczyna i widać, jaka zaradna!

— Niezmiernie! I wie o tym.

— To naprawdę niegodne ciebie, Joanno!

— Chciałaś może powiedzieć: dlaczego nie miałyby robić tego, co do niej należy.

— Właśnie...!

— Zawsze irytują mnie ludzie zadowoleni z siebie

— rzekła Joanna. — To budzi moje najgorsze instynkty. Jak się czuje Megan?

— Siedziała skurczona w ciemnym pokoju i przypominała wystraszoną gazelę.

— Biedactwo...! I zgodziła się pójść z nami?

— Była zachwycona naszym pomysłem.

Z holu doszedł nas odgłos kroków — to Megan schodziła ze schodów z małą walizeczką. Wyszedłem do holu i zabrałem walizkę z jej rąk. Joanna, która szła tuż za mną powiedziała nagłaco:

— Chodźmy. Przed chwilą ledwie mi się udało po raz drugi wymówić od drugiej szklanki „doskonałej, gorącej herbaty”.

Podeszliśmy do samochodu. Było mi głupio, że Joanna musiała wnieść walizkę do auta, chociaż potrafiłem już sobie radzić tylko jedną laską. Nie mogłem jednak puszczać się na żadne atletyczne wyczyny.

— Niech pani wejdzie — rzekłem do Megan. Wsiadła, a ja tuż za nią. Joanna zapuściła motor i ruszyliśmy.

Po przyjeździe do Jałowcowego Dworku weszliśmy razem do saloniku i tu Megan nagle upadła na krzesło i wybuchnęła płaczem. Płakała głośno i serdecznie jak dziecko. Można by użyć tu słowa: ryczała. Wyszedłem z pokoju, żeby poszukać jakichś kropli. Joanna stała przy niej bezradna. Po chwili Megan szepnęła zduszonym od płaczu głosem:

— Strasznie przepraszam... To idiotyczne! Joanna powiedziała łagodnie:

— Ależ nic nie szkodzi... Proszę, ma pani jeszcze jedną chusteczkę...

Zdaje się, że wręczyła Megan ten potrzebny przedmiot. Wróciłem do pokoju, podając naszemu gościowi pełną szklankę.

— Co to jest?

— Cocktail — odpowiedziałem.

— Naprawdę? Cocktail, prawdziwy? — Łzy Megan momentalnie obeschły. — Nigdy jeszcze nie piłam cocktailu.

— Wszystko trzeba zrobić kiedyś po raz pierwszy — zauważyłem.

Megan spróbowała ostrożnie, po czym uśmiech okraślił jej twarzyczkę. Odchyliła głowę w tył i

wypiła duszkiem całą szklanę.

— Pycha! — rzekła. — Można jeszcze?

— Nie — odpowiedziałem kategorycznie.

— Dlaczego?

— Za jakieś mniej więcej dziesięć minut przekona się pani dlaczego.

— Och! — zawołała z powątpiewaniem. Uwaga Megan zwróciła się ku Joannie.

— Doprawdy, okropnie mi przykro, że sprawiłam państwu tyle kłopotu moim rykiem! Zupełnie nie rozumiem, co mnie napadło. Wygląda to tym bardziej głupio, że tak się cieszę waszym zaproszeniem!

— Wszystko w porządku — odpowiedziała Joanna — i my bardzo się cieszymy, że mamy panią w domu.

— Jakoś nie mogę w to uwierzyć! Pani tak tylko mówi z dobroci serca. Aleja naprawdę jestem strasznie, strasznie wdzięczna!

— Zupełnie niepotrzebnie — powiedziała Joanna — bo to by mnie tylko krępowało. Powiedziałam szczerze i otwarcie, że będziemy bardzo radzi mieć panią u siebie. Oboje z Jerrym wyczerpaliśmy już wszelkie możliwe tematy rozmowy. Nie możemy już wymyślić nic nowego.

— Ale za to teraz — wtrąciłem — będziemy mogli prowadzić nie kończące się dyskusje. Na przykład o Goneril i Regan, i innych podobnych osobistościach. Twarz Megan rozjaśniła się.

— Wie pan, zastanawiałam się nad tym i zdaje się, że wpadłam na odpowiedź. Bo ten ich okropny stary ojciec miał zwyczaj wszystko z nich wyduszać, wymagał długich i uroczystych zapewnień, że one go okropnie kochają, i wtedy za to obiecywał im jakiś ziemie, zamki i przywileje. Jeżeli się musi ciągle za wszystko dziękować i mówić, jaka to dobroć i wszystkie takie inne bujdy, to człowiek robi się w środku jakiś zepsuty i dziwny, po prostu marzy, żeby się dla odmiany stać bestią! A jak się już tą bestią stanie, to wtedy prawdopodobnie orientuje się, że poszedł za daleko. Stary Lear był okropny, prawda? I uważam, że słusznie dostał prztyczka w nos od Kordełii!

— Widzę, że będziemy prowadzić mnóstwo ciekawych dyskusji o Szekspirze — odezwałem się.

— Już przeczuwam, że te dyskusje będą ogromnie intelektualne — powiedziała Joanna. — Ja ze swej strony powiem tylko, że zawsze uważałam Szekspira za straszliwego nudziarza. Te długie sceny, gdzie wszyscy są pijani... I to ma być zabawne!

— Jeżeli już mówimy o picciu — rzekłem, zwracając się do Megan — to jak się pani czuje?

— Zupełnie dobrze, dziękuję!

— Nie kręci się pani w głowie? Nie widzi pani, na przykład, że są tu dwie Joanny albo coś w tym

rodzaju?

— Nie. Czuję tylko, że chce mi się mówić i mówić...

— No, to wspaniale — powiedziałem. — Najwidoczniej jest pani najprzyjemniejszym typem pijaka. To znaczy, jeżeli to był naprawdę pierwszy cocktail a. w pani życiu.

— Oczywiście, że pierwszy!

— Mocna głowa to wielka zaleta — rzekłem.

Potem Joanna zabrała Megan na górę, żeby jej pomóc się rozpakować.

Pani Partridge weszła z kwaśną miną, oświadczając, że przygotowała na lunch tylko dwie filiżanki kremu — więc co teraz będzie?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trzy dni potem odbyła się rozprawa u koronera. Wszystko zaaranżowane było możliwe najprzyzwoiciej. Zjawilo się sporo publiczność i Joanna zauważyła, że ustrojone w pióra kapelusze chwieją się wciąż to w jedną, to w drugą stronę.

Zgon pani Symmington ustalono na godzinę między trzecią a czwartą. Znajdowała się w domu sama, ponieważ jej mąż był w kancelarii, obie służące miały wychodne, Elsie Holland wybrała się z chłopcami na spacer, a Megan pojechała gdzieś na rowerze.

List musiał przyjść popołudniową pocztą. Pani Symmington zapewne wyjęła go ze skrzynki, przeczytała i potem, w stanie najwyższego podniecenia, poszła do apteczki w łazience, przyniosła cyjanek przeznaczony do tępienia szerszeni, rozpuściła go w wodzie i wypła po napisaniu owych znamienych słów: „Już dłużej nie mogę”.

Owen Griffith wydał orzeczenie, powtarzając swą poprzednią opinię o złym stanie nerwów i braku energii życiowej pani Symmington. Koroner był uprzejmy i dyskretny. Potępił tych, którzy pisują nikczemne anonimy. „Ktokolwiek napisał ten kłamliwy, podły paszkwil, moralnie winien jest morderstwa” — powiedział. Wyraził nadzieję, że wcześniej czy później policja wykryje sprawcę i przykładowie go ukarze. Tego rodzaju podstępne i złośliwe wybryki zasługują na najsurowszą karę. Pod wpływem jego mowy przysięgli orzekli: „Samobójstwo w stanie chwilowego zamroczenia”.

Koroner robił, co mógł, podobnie zresztą jak doktor Griffith, ale potem przy wyjściu w tłumie podnieconych kobiet usłyszałem znowu ten niesamowity szept, który już tak dobrze znałem: „Zawsze mówię, że nie ma dymu bez ognia... coś w tym musiało być, bo inaczej nie ważyłaby się przecież na to...” — Przez chwilę nienawidziłem Lymstock, jego prowincjonalizmu i tych rozplotkowanych kobiet.

Trudno mi przypomnieć sobie wszystko w chronologicznym porządku. Zdaje się, że następnym wydarzeniem była wizyta inspektora Nasha. Przed tym jednak, jak mi się zdaje, odwiedziło nas wiele

osób, z których każda w ciekawy sposób rzucała światło na charakter i osobowość zamieszanych w tragedię osób. Aimée Griffith przyszła do nas zaraz na drugi dzień po rozprawie u koronera. Wyglądała jak zwykle promieniejąca zdrowiem i wigorem i jak zwykle na jej widok zjeżył mi się grzbiet niczym u rozgniewanego kota. Ponieważ Joanny i Megan nie było, mnie przypadło w udziale robienie honorów pana domu.

— Dzień dobry! — rzekła panna Griffith. — Słyszałam, że Megan jest u państwa?

— Owszem, jest.

— To pięknie z waszej strony. Przypuszczam, że to musi być dla was bardzo przykre. Przyszedłam zaproponować, że jeżeli zechcecie, Megan może pobyć trochę u nas. Znajdę dla niej jakieś zajęcie w domu...

Spojrzałem na Aimée Griffith z niesmakiem.

— Jak to pięknie z pani strony — rzekłem. — Ale jest nam z nią bardzo dobrze, a przypuszczam, że i ona nie czuje się z nami źle. Kręci się po domu ku swemu i naszemu zadowoleniu.

— Ja myślę...! To dziecko właśnie za bardzo lubi się kręcić. No, ale to nie jej wina, bo wiadomo, że jest trochę cofnięta w rozwoju.

— A mnie się zdaje, że to bardzo inteligentna dziewczyna.

Aimée spojrzała na mnie ostro.

— Pierwszy raz słyszę podobne zdanie o Megan. Przecież jak się do niej mówi, to patrzy na człowieka bezmyślnie, jakby nie rozumiała, o co chodzi.

— Bo pewnie jej to nie interesuje.

— Jeżeli tak, to bardzo niegrzeczne z jej strony.

— Z tym się zgodzę, ale nie, że jest niedorozwinięta!

— W najlepszym razie nazwałabym to roztargnieniem. Tej dziewczynie potrzebna jest jakaś praca, coś, co by ją zainteresowało życiem. Nie może pan sobie wyobrazić, co to znaczy dla młodej dziewczyny. Znam się doskonale na dziewczętach. Zdziwiłby się pan, jak bardzo się zmieniają, gdy wstąpią do drużyny harcerskiej. Megan jest już za duża na to, aby się wałęsać i nic nie robić.

— Jak dotąd raczej było jej trudno czymś się zajmować — powiedziałem. — Pani Symmington tak ją traktowała, jak gdyby Megan miała dwanaście lat.

Panna Griffith parsknęła jak kot.

— Wiem! To racja! Nie miała już do niej cierpliwości. Oczywiście, że nie należy mówić źle o nieboszczykach, ale pani Symmington była typowym okazem tego, co nazywamy nieinteligentną

kwoką domową. Brydź, plotki i dzieci... Zresztą, jeżeli idzie o dzieci, to wszystko robiła raczej ta panna Holland. Muszę przyznać, że nigdy nie zachwyciałam się panią Symmington, chociaż, oczywiście, nigdy nie domyślałam się prawdy...

— Jakiej prawdy? — spytałem ostro. Panna Griffith zarumieniła się.

— Okropnie mi było żal Dicka Symmingtona, kiedy to wszystko wylazło na rozprawie — rzekła. — To musiało być dla niego okropnie przykre.

— Na pewno musiała pani słyszeć z jego własnych ust, że w liście nie było słowa prawdy i że on sarn jest przekonany, iż to brudny paszkwil.

— Oczywiście, że musiał tak mówić. I słusznie. Mąż musi bronić żony. Tak sarno właśnie postąpił i Dick. — Po chwili milczenia dodała: — Pewnie pan nie wie, że znam Dicka Symmingtona od bardzo dawna.

Byłem trochę zdziwiony.

— Doprawdy? — spytałem. — Ze słów pani brata zrozumiałem, że osiedlił się tutaj dopiero przed paru laty.

— Tak, to prawda! Ale Dick Symmington przyjeżdżał do nas w odwiedziny, gdy jeszcze mieszkaliśmy na północy. Znam go od bardzo dawna.

Kobiety bardziej są skłonne do wysnuwania wniosków niż mężczyźni, niemniej głos Aimée, wyraźnie znacznie miększy, nasunął mi — jakby się wyraziła nasza stara niania — pewne „idee”. Spojrzałem na nią z ciekawością. Mówiła dalej, ciągle tym samym dziwnie miękkim głosem:

— Znam Dicka doskonale... Jest bardzo dumny i opanowany. Ale to człowiek niesłychanie zazdrosny.

— To było tłumaczyło fakt — rzekłem z naciskiem — dlaczego pani Symmington bała się pokazać mu list, a nawet wspomnieć o nim. Przypuszczała, że jako człowiek zazdrosny może nie uwierzyć jej zapewnieniom.

Panna Griffith spojrzała na mnie gniewnie, z6 wzdardą.

— Na litość boską — rzekła — nie przypuszcza pan chyba, że znalazłaby się jakaś kobieta, która by łyknęła tyle cyjanku potasu z powodu jakiegoś niesłusznego oskarżenia?

— A jednak koroner uważał to za możliwe. I brak pani także.

Aimée przerwała mi:

— Wszyscy mężczyźni są jednakowi. Chodzi im o zachowanie pozorów. Ale chyba pan nie chce, żebym ja w to uwierzyła? Jeżeli niewinna kobieta dostanie jakiś plugawy anonim, to roześmieje się tylko i wyrzuci go do kosza. Tak, jak ja... — przerwała nagle, po czym dodała: — bym zrobiła...

Pauza ta jednak nie uszła mojej uwagi. Byłem przekonany, że chciała powiedzieć: „Tak, jak ja zrobiłam”.

Teraz ja z kolei postanowiłem przejść do ataku.

— Rozumiem — powiedziałem. — Więc i pani otrzymała anonim!

Aimée Griffith należała do kobiet, które gardziły kłamstwem. Chwilę milczała, zaczerwieniła się, po czym odparła:

— No, cóż, dostałam. Ale się nim wcale nie przejęłam.

— Bardzo plugawy? — spytałem ze współczuciem jako współofiara.

— Oczywiście. Jak zwykle tego rodzaju listy. Brednie wariata. Przeczytałam kilka słów, zorientowałam się, o co chodzi, i natychmiast wrzuciłam do kosza!

— Nie przyszło pani do głowy, żeby się udać na policję?

— Wtedy nie. Im mniej o tym mówi, tym lepiej... tak mi się przynajmniej zdawało.

Całą siłą powstrzymywałem się od powiedzenia: „Nie ma dymu bez ognia”. Żeby uniknąć pokusy, powróciłem do Megan.

— Czy pani się orientuje w sytuacji finansowej Megan? — zacząłem. — Nie pytam ze zwykłej ciekawości, chodzi mi po prostu o to, czy będzie musiała zarabiać na swe utrzymanie.

— Nie przypuszczam, aby to było konieczne. Zdaje mi się, że babka, matka ojca, pozostawiła jej jakiś niewielki spadek. W każdym razie Dick Symmington zawsze się nią zaopiekuje, nawet jeżeli matka nic jej nie zostawiła. Nie, tu chodzi po prostu o zasadę.

— O jaką zasadę?

— Że powinna pracować, proszę pana. Zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn nie ma nic lepszego niż praca! Jedynym, niewybaczalnym grzechem jest próżniactwo!

— Sir Edward Grey — powiedziałem — nasz późniejszy minister spraw zagranicznych, został wydalony z Oxfordu za niepoprawne lenistwo. Księżę Wellington, jak słyszałem, był zawsze nieuważny i nudziły go książki. A czy nie przyszło pani nigdy do głowy, że prawdopodobnie nie jeździlibyśmy dziś dobrym ekspresem do Londynu, gdyby mały George Stephenson, zamiast iść na zbiórkę młodzieży, nie kręcił się, znudzony, po kuchni matki, dopóki dziwne zachowanie pokrywki garnka nie zaciekawilo jego rozleniwionego umysłu...

Aimée tylko parsknęła ze złości.

— Jestem zwolennikiem teorii — mówiłem dalej, rozgrzewając się własnymi słowami — że większość naszych wielkich wynalazków i genialnych osiągnięć zawdzięczamy lenistwu, czy to

narzuconemu, czy dobrowolnemu. Umysł nasz lubi być karmiony, jak łyżeczką, pomysłami innych ludzi, jeżeli się go jednak pozbawi tej pożywki, zaczyna, zrazu niechętnie, myśleć samodzielnie, a tego rodzaju myślenie, proszę pamiętać, jest myśleniem oryginalnym i może przynieść bardzo cenne rezultaty. Oprócz, tego — ciągnąłem dalej, nie dopuszczając Aimée do głosu — niech pani pomyśli o stronie artystycznej...

Wstałem i wziąłem z biurka fotografię mojego ulubionego chińskiego obrazu. Przedstawia on staruszka siedzącego pod drzewem i bawiącego się układaniem magicznych sztuk ze sznurka oplatanego dokoła palców nóg i rąk.

— Odkryłem to na wystawie sztuki chińskiej i zafascynowało mnie w niezwykły sposób. Pani pozwoli przedstawić go sobie. Tytuł obrazu brzmi: Starzec rozkoszujący się urokami lenistwa.

Mój piękny obraz nie wywarł oczekiwanego wrażenia na Aimée. Powiedziała tylko:

— Eeech...! Wszyscy doskonale wiemy, jacy są Chińczycy!

— I nie przemawia to do pani wyobraźni? — spytałem.

— Szczerze mówiąc, nie! Przyznam, że mało interesuję się sztuką. Pana stanowisko, drogi panie, jest typowe dla większości mężczyzn. Nie podoba się wam idea kobiet pracujących, rywalizacji z nimi...

Byłem zaskoczony. Stałem, jak się okazuje, oko w oko z feministką! Aimée rozkręciła się zupełnie i rozprawiała z pałającymi policzkami:

— Trudno wam uwierzyć, że kobieta może dążyć do kariery. Moi rodzice też nie mogli tego pojąć... Bardzo pragnęłam studiować medycynę. Nie chcieli jednak słyszeć o łożeniu na moje studia, ale z całą gotowością płacili za Owena. A jednak jestem pewna, że byłby ze mnie lepszy doktor aniżeli z mego brata.

— Serdecznie pani współczuję — rzekłem — to musiało być dla pani bardzo ciężkie. Jeżeli czegoś bardzo się pragnie...

— Och, przebolełam to już — mówiła szybko Aimée. — Mam dużo silnej woli. Moje życie jest całkowicie wypełnione. Jestem jednym z najszcześniejszych ludzi w Lymstock... Mam mnóstwo do roboty. Ale zawsze będę walczyć przeciwko głupiemu, przestarzałemu przesądowi, że jedynym miejscem dla kobiet jest dom i kuchnia...

— Przepraszam, jeżeli panią obraziłem. Naprawdę nie miałem takiego zamiaru. Zupełnie nie widzę Megan w roli gospodyni...

— I ja także nie, biedne dziecko! Obawiam się, że ona nigdzie nie będzie pasowała. — Aimée powoli się uspokajała. Mówiła znowu normalnym głosem: — Wie pan, jej ojciec...

Przerwała, ja zaś spytałem bez ogródek:

— Zupełnie nie rozumiem... każdy mówi: „jej ojciec” i ścisza głos. I tak jest zawsze. Na litość

boską, co ten człowiek zrobił? Czy jeszcze żyje?

— Doprawdy, sama nie wiem, nie orientuję się. Wiem tylko, że to był zdecydowanie ujemny typ... Więzienie czy coś takiego... I jakaś nienormalność. Dlatego też nie zdziwiłoby mnie, gdyby Megan była trochę... niezupełnie...

— Megan — powiedziałem stanowczo — jest w pełni władz umysłowych, jak już raz powiedziałem. Uważam ją za inteligentną dziewczynę. Moja siostra jest tego samego zdania, zresztą bardzo ją lubi.

— Boję się, że siostra pana bardzo się tutaj nudzi. Nagle zrozumiałem, że Aimée Griffith nie lubi mojej siostry. Czuć to było chociażby z konwencjonalnego tonu jej głosu.

— Wszyscy się dziwiliśmy, że państwo mogli się zakopać w takiej prowincjonalnej dziurze jak Lymstock?

Ponieważ wypowiedziała to tonem pytania, więc odparłem:

— Zalecenie lekarza. Miałem wyjechać do jakiejś bardzo spokojnej miejscowości, gdzie się nigdy nic nie dzieje... — przerwałem, dodając po chwili: — Jak dotąd, nie można tego powiedzieć o Lymstock.

— Tak, rzeczywiście nie!

Zdawało mi się, że jest czymś zmartwiona. Wstała, szykując się do odejścia. Na końcu powiedziała jeszcze:

— Wie pan, powinno się to koniecznie jakoś ukrócić... To wszystko razem jest potworne. Nie możemy dopuścić, żeby tak miało być dalej...

— A czy policja robi coś w tym kierunku?

— Przypuszczam, że robi, ale moim zdaniem powinniśmy sami zająć się tą sprawą.

— Nie jesteśmy do tego powołani. Policja...

— Zawracanie głowy! Na pewno mamy więcej zdrowego sensu i inteligencji! Potrzeba tu tylko trochę zdecydowania. .

Pożegnała się raptownie i wyszła.

Kiedy dziewczęta powróciły ze spaceru, pokazałem Megan mój chiński obrazek. Twarz jej rozjaśniła się; powiedziała po chwili:

— To boskie...! Prawda?

— Tak, ja też jestem tego zdania.

— Ale to byłoby trudne, jak pan myśli?

— Być leniwym?

— Nie, nie być leniwym, ale rozkoszować się samym leniuchowaniem. Na to jednak trzeba być porządnie starym. Przerwała, ja zaś powiedziałem:

— Toteż on jest bardzo stary!

— Nie myślałam o starości w tym sensie. Nie o wiek mi chodzi. Myślałam, że trzeba być starym w... no, w...

— Chce pani pewnie powiedzieć — pomogłem jej — że trzeba osiągnąć niezmiernie wysoki poziom cywilizacji, ażeby móc w ten sposób ująć tę rzecz. Zdaje się, że uzupełnię pani edukację, Megan, czytując pani poematy tłumaczone z chińskiego.

Nieco później tego samego dnia spotkałem w miasteczku pana Symmingtona.

— Czy nie ma pan nic przeciwko temu, żeby Megan pobyła u nas jeszcze trochę? Joanna będzie miała towarzystwo, bo czasami czuje się samotnie, nie mając w pobliżu nikogo z przyjaciół.

— Co takiego...? Aha! Megan... A tak, tak... To bardzo pięknie z państwa strony.

W owej chwili nabrałem do pana Symmingtona szczerzej antypatii, której już nigdy potem nie zdołałem się pozbyć. Jak mógł tak całkowicie zapomnieć o Megan?! Bo gdyby chociaż naprawdę jej nie lubił, to nie miałbym mu tego za złe, zdarza się przecież nieraz, że mąż bywa zazdrosny o dzieci z pierwszego małżeństwa żony. Ale on po prostu ledwie ją dostrzegał. Tak mógłby się zachować ktoś, kto nie lubi psów, a ma psa w domu. Zauważa go dopiero wtedy, gdy się o niego potknie i przewróci, wówczas klnie i się złości. A innym razem, kiedy pies mu podstawi łeb do pieszczoty, pogłaska go w roztargnieniu. Ta zupełna obojętność pana Symmingtona wobec pasierbicy głęboko mnie uraziła.

— Co pan zamierza zrobić dalej z Megan? — spytałem.

— Z Megan? — zdziwił się. — No, cóż. Będzie w dalszym ciągu w domu... To znaczy, hm... hm... oczywiście to przecież jest jej dom.

Moja babka, do której byłem bardzo przywiązany, lubiła śpiewać stare piosenki, akompaniując sobie na gitarze. Pamiętam jedną z tych piosenek, która tak się kończyła:

O, dziewczę me! Jakże mi źle!

Bezdomność losem moim.

Tak strasznie sam, gdzież mieszkać mam,

Jeśli nie w sercu twoim?

Wracając do domu nuciłem pod nosem tę piosenkę.

Panna Emilia Barton przyszła do nas w momencie, kiedy sprząrano ze stołu po poobiedniej herbatce. Chciała porozmawiać o ogrodzie. Konferencja trwała jakieś pół godziny, a potem skierowaliśmy się do domu. Wówczas panna Emilia, zniżywszy głos do szeptu, spytała:

— Mam nadzieję, że dziecko... że Megan nie przejęła się zbytnio tą okropną sprawą?

— Ma pani na myśli śmierć jej matki?

— I to także, ale raczej chodzi mi o te nieprzyjemne sprawy zakulisowe.

Zaintrygowało mnie jej powiedzenie i zapragnąłem przekonać się, jaki panna Emilia ma stosunek do całej sprawy.

— A co pani sądzi o tym wszystkim? Czy możliwe, żeby to była prawda?

— Och, nie, nie! Skądże znowu! Jestem najmocniej przekonana, że pani Symmington nigdy... że ona była...

Tutaj mała panna Emilia bardzo się skonfundowała i poczerwieniała.

— Chciałam powiedzieć, że to z całą pewnością nieprawda! Chociaż, z drugiej strony, mógł to być także... wyrok!

— Wyrok? — zapytałem zdumiony.

Panna Emilia była bardzo zarumieniona i bardzo przypominała w tej chwili pasterkę z saskiej porcelany.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że te wszystkie okropne listy sprawiające tyle zmartwienia i bólu... są wysyłane umyślnie.

— No, rzecz oczywista, że umyślnie.

— Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał! Nie chodzi mi o tę zbląkaną istotę, która je pisze. Musi to być ktoś bardzo opuszczony, samotny. Ale mnie się tak jakoś zdaje, że do pojawienia się tych listów dopuściła... Opatrzność! Dlatego, żeby nam postawić przed oczy nasze grzechy...

— Jeżeli tak, to doprawdy Opatrzność rnoęła sobie wybrać przyjemniejsze narzędzie.

Panna Emilia szepnęła coś na temat tego, jak niezbadane są wyroki boskie. — O nie! — zawołałem stanowczo. — My w ogóle za często mieszamy Boga do naszych grzechów popełnianych z własnej woli... Mógłbym tu raczej uczynić koncesję na rzecz diabła. Pan Bóg wcale nie potrzebuje nas karać, proszę pani, bo my sami robimy wszystko, aby się ukarać!

— Jednego tylko nie mogę zrozumieć — powiedziała po chwili panna Emilia. — Po co ktoś robi

podobne rzeczy?

Wzruszyłem ramionami.

— Spaczona mentalność — odpowiedziałem.

— To bardzo smutne...

— A mnie się to wydaje nie tyle smutne, co podłe! I wcale tego nie cofam... Podłe i koniec!

Rumieniec znikł z twarzy panny Barton. Była teraz bardzo blada.

— Ale dlaczego, na litość boską?! Dlaczego? Co to może być dla kogoś za przyjemność?

— Na szczęście ani pani, ani ja nie zrozumiemy tego rodzaju przyjemności.

Panna Emilia zniżyła głos:

— Mówią, że to pani Cleat, ale ja w to absolutnie nie mogę uwierzyć!

Potrząsnąłem powątpiewająco głową, a panna Emilia mówiła dalej, podniecona:

— Nigdy przedtem nie zdarzyło się tu nic podobnego! Nigdy, odkąd sięgam pamięcią. Byliśmy tutaj wszyscy tacy spokojni i szczęśliwi! Co by powiedziała na to moja droga mama? Cóż, należy chyba dziękować Bogu, że nie dożyła tej chwili.

Z tego, co słyszałem o starej pani Barton, mogłem raczej sądzić, że była bardzo uodporniona na tego rodzaju rzeczy i że najprawdopodobniej rozkoszowała się taką sensacją. Panna Emilia mówiła dalej:

— Przyznam się, że jestem tym wszystkim niesłychanie przygnębiona.

— Chyba pani... hm... chyba pani nie otrzymała też anonimów?

Panna Emilia splonęła purpurowym rumieńcem.

— O nie! Skądże znowu? Przecież to byłoby okropne! Przeprosiłem ją bardzo, ale widziałem, że panna Emilia odchodząc miała bardzo przygnębianą minę. Wszedłem do domu. Joanna stała w saloniku przy kominku, w którym przed chwilą roznieciła ogień, ponieważ wieczory bywały jeszcze chłodne. W ręce trzymała otwarty list. Na odgłos kroków szybko odwróciła głowę w moją stronę.

— Jerry, popatrz! Znalazłam to w skrzynce na listy, ktoś widocznie wrzucił osobiście. Zaczyna się słowami: Ty malowana kukło!

— A co poza tym? Joanna skrzywiła się.

— To samo plugastwo co wszędzie.

Mówiąc to wrzuciła list w ogień. Szybkim ruchem, od którego aż poczułem ból w krzyżu, zdołałem wyrwać list z płomieni.

— Nie pal go! Może nam być potrzebny!

— Potrzebny? Po co?

— Dla policji...

Na drugi dzień rano odwiedził mnie inspektor Nash. Od pierwszej chwili poczułem do niego sympatię. Inspektor Nash był typowym okazem wzorowego okręgowego inspektora policji. Wysoki, o postawie żołnierza, miał spokojne, myślące oczy i prosty, bezpośredni sposób bycia.

— Dzień dobry panu — rzekł. — Domyśla się pan pewno, co mnie sprowadza?

— Zapewne chodzi o te anonimy? Skinął potakująco.

— I pan podobno otrzymał jeden?

— Owszem... i to niebawem po naszym tutaj przyjeździe.

— O co w nim dokładnie chodziło?

Chwilę się zastanowiłem, a potem możliwe najdokładniej powtórzyłem treść listu. Inspektor słuchał z nieruchomą twarzą, nie zdradzając najmniejszego wrażenia. Gdy skończyłem, rzekł tylko:

— Aha! Nie zachował pan przypadkiem tego listu?

— Niestety nie, bo widzi pan. uważałem, że to sporadyczny wypadek czyjejś złośliwości skierowanej specjalnie przeciwko nam, obcym przybyszom.

Inspektor skinął głową na znak, że rozumie, i powiedział krótko:

— To szkoda.

— Ale moja siostra otrzymała wczoraj drugi list. Ledwie zdołałem go uchronić przed spalaniem, bo wrzuciła go natychmiast do kominka.

— Bardzo panu dziękuję. To było bardzo przezornie z pana strony.

Podszedłem do biurka i wyjąłem list z szuflady zamkniętej na klucz, gdyż nie chciałem, by pani Partridge zapoznała się z jego treścią. Podałem list inspektorowi, który przeczytał go do końca, a potem spojrzawszy na mnie powiedział:

— Czy ten list wygląda tak samo jak ten pierwszy?

— Chyba tak, oczywiście jeżeli dokładnie sobie go przypominam.

— To znaczy, że koperta tak samo różniła się od listu?

— Tak. Adres na kopercie wypisany był na maszynie, a sam list składał się z drukowanych słów naklejonych na białym arkusiku papieru.

Nash skinął głową i schował list do kieszeni. Po chwili rzekł:

— Czy nie zechciałby pan pojechać ze mną na posterunek policji? Moglibyśmy tam odbyć małą konferencję, co by nam oszczędziło wiele czasu i zachodu.

— Ależ oczywiście — odpowiedziałem. — Chce pan, żebym pojechał z panem zaraz?

— Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu...? Przed bramą stał samochód policyjny, którym pojechaliśmy. W drodze spytałem inspektora:

— Czy sądzi pan, inspektorze, że policji się uda wykryć sprawcę?

Nash z całym przekonaniem skinął głową.

— O, z największą pewnością. To tylko kwestia czasu i rutyny. Tego rodzaju sprawy rozwikłuje się powoli, ale ostateczny wynik jest całkiem pewny. Chodzi nam o możliwie największe zmniejszenie kręgu poszukiwań.

— Drogą eliminacji? — zapytałem.

— Tak, i w ogóle przez zastosowanie odpowiednich metod.

— Obserwację skrzynek do listów, badanie maszyn do pisania, odcisków palców i tym podobne rzeczy? — spytałem.

Uśmiechnął się:

— O, właśnie!

Na posterunku zastałem już pana Symmingtona i doktora Griffitha. Przedstawiono mnie wysokiemu mężczyźnie w cywilnym ubraniu, z mocno rozwiniętymi szczękami. Był to inspektor Graves.

— Inspektor Graves przyjechał z Londynu, żeby nam pomóc — wyjaśnił Nash. — Jest specjalistą od anonimów.

Graves uśmiechnął się jakoś żalobnie. „Wykrywanie przez całe życie autorów listów anonimowych nie musi być najweselszym zajęciem” — pomyślałem w duchu. A jednak inspektor Graves zdradzał pewnego rodzaju melancholijny entuzjazm w stosunku do sprawy.

— Wszystkie tego rodzaju przypadki są do siebie podobne — rzekł głębokim, żalobnym głosem, podobnym do szczekania zmartwionego ogara. — Zdumiałby się pan, jak bardzo podobne są treść i styl tych listów!

— Mieliśmy podobną sprawę przed dwoma laty — powiedział Nash. — I inspektor nam wtedy bardzo pomógł.

Zauważyłem, że na stole przed inspektorem Gravesem leżało kilka listów. Najwidoczniej był w trakcie ich badania.

— Najtrudniej jest zdobyć takie listy — rzekł Nash. — Ludzie albo rzucają je od razu do pieca, albo nie chcą się przyznać, że je otrzymali. Po prostu głupota, a poza tym strach przed policją. Strasznie zacołani są ci tutejsi ludzie!

— Mamy ich tu jednak kilka — rzekł inspektor Graves.

Nash wyjął z kieszeni list, który dostał ode mnie i podał go inspektorowi Gravesowi. Ów przejrzał go uważnie, dołączył do pozostałych i zauważył z uznaniem:

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie...

Ja osobiście nie użyłbym tego wyrażenia, ale przypuszczam, że fachowcy mają swój specyficzny pogląd na te rzeczy. Cieszyłem się, że ten świstek, pełen obelżywych i bezwstydných wyrażen, może zrobić komuś przyjemność.

— Mam dosyć materiału do rozpoczęcia dochodzenia — rzekł inspektor Graves. — Prosiłbym jednak wszystkich panów tu obecnych o dostarczenie policji natychmiast wszelkich ewentualnych dalszych anonimów. A gdyby któryś z panów słyszał, że ktokolwiek w okolicy otrzymał list, zwłaszcza pan, panie doktorze, wśród pańskich pacjentów, niech pan się stara koniecznie dostarczyć go nam jak najprędzej. W tej chwili mam... — przerzucał zręcznymi palcami leżące przed nim papiery — jeden pisany do pana Symmingtona, otrzymany przez niego już przed dwoma miesiącami, jeden do doktora Griffitha, jeden do panny Ginch, jeden do pani Mudge, żony rzeźnika, jeden do Jennifer Clark, kelnerki z baru „Pod Trzema Koronami”, jeden, który otrzymała pani Symmington, a teraz mam ten do panny Burton.

Aha, tak! I jeszcze jeden, który nam przekazał dyrektor banku.

— Wcale pokaźna kolekcja! — zauważyłem.

— Nie taka jednak wielka, żebym nie potrafił się z nią uporać. O ten, na przykład, prawie słowo w słowo przypomina taki jeden list pisany przez tę modystkę. A ten znów zupełnie podobny do anonimu w Northumberland. Tam, na odmianę, autorką była pensjonarka. Muszę panom powiedzieć, że czasem pragnąłbym zobaczyć coś nowego, a nie ciągle to samo...

— Nic nowego pod słońcem — mruknąłem.

— Ma pan rację, gdyby pan pracował w naszym zawodzie, sam by się pan o tym przekonał.

Nash westchnął i rzekł:

— Święta prawda.

Pan Symmington spytał po chwili:

— Czy wyrobiliście sobie panowie jakąś zdecydowaną opinię o autorze tych listów?

Graves odchrząknął i wygłosił krótką prelekcję, takiej mniej więcej treści:

— Istnieją pewnie wspólne cechy we wszystkich listach. Wyliczę je tu panom, bo może nasuną jakieś sugestie. Tekst listów składa się ze słów ułożonych z poszczególnych liter wyciętych z drukowanej książki. Jest to książka stara, drukowana mniej więcej około roku tysiąc osiemset trzydziestego. Zrobiono tak prawdopodobnie dlatego, żeby uniemożliwić wykrycie autora na podstawie jego charakteru pisma, co dzisiaj nie nastręcza żadnych trudności. Podrabianie pisma nie na wiele się zda ze względu na ekspertyzy. Ani na listach, ani na kopertach nie ma żadnych wyraźnych odcisków palców. To znaczy, przepraszam, oczywiście są odciski palców urzędników pocztowych, odbiorców i jakieś smugi. Nie ma natomiast odcisków wspólnych na wszystkich listach, co dowodzi, iż ten, kto je pisał, był na tyle ostrożny, że nosił rękawiczki. Koperty adresowane są na maszynie typu Windor 7, dość zużytej, z literą „a” i „t” wyskakującymi ponad linię. Większość listów wysłana jest z tego urzędu pocztowego względnie wrzucona do skrzynki w domu adresata osobiście przez autora. Dowodzi to niezbiecie, że listy są pochodzenia lokalnego. Pisała je kobieta, prawdopodobnie kobieta w średnim wieku, może starsza i przypuszczalnie niezamężna.

Kilka chwil trwaliśmy w pełnym szacunku milczeniu, po czym odezwałem się:

— Przypuszczam, że najpoważniejsza poszlaka to maszyna do pisania, prawda? W tak niewielkiej miejscowości, jak nasza, odszukanie maszyny nie powinno nastręczać specjalnych trudności.

Inspektor Graves potrząsnął smutno głową.

— A właśnie bardzo się pan myli — odrzekł.

— Sprawa maszyny — wyjaśnił inspektor Nash — jest, niestety, aż zbyt prosta. Jest to stara maszyna z biura pana Symmingtona, ofiarowana przez niego Instytutowi Kobiet, gdzie dostęp do niej jest niesłychanie łatwy. Wszystkie tutejsze panie bardzo często odwiedzają Instytut.

— A czy nie można wywnioskować czegoś konkretnego z... hm, hm... z uderzenia, bo tak się to nazywa, prawda? — spytałem. Inspektor Graves skinął potakująco głową.

— Owszem, to można sprawdzić. Ale te wszystkie koperty adresowane były przez kogoś, kto pisze tylko jednym palcem.

— Zatem ktoś nie bardzo biegły w pisaniu na maszynie.

— No, nie, tego bym nie powiedział! Raczej ktoś, kto potrafi pisać biegle, ale nie chce, żebyśmy się o tym dowiedzieli.

— Ktokolwiek pisze te rzeczy, wykazuje ogromną dozę przebiegłości — rzekłem powoli.

— Bo ona jest chytra, proszę pana, bardzo chytra! — rzekł Graves. — Kuta na cztery nogi,

powiedziałbym nawet.

— Nigdy bym nie pomyślał, że któraś z tutejszych prowincjuszek będzie taka pomysłowa!

Graves chrząknął.

— Zdaje się, że wypowiedziałem się dostatecznie jasno. Listy te zostały napisane przez kobietę... wykształconą.

— Coco? Przez damę?

Słowo to wymknęło mi się niechcący. Słowa „dama” nie używałem od wielu lat, teraz jednak samo mi się nasunęło, jak gdyby echo z dawnych lat, kiedy moja babka tonem lekko aroganckim mawiała o kimś, że: „Oczywiście, to nie jest dama, mój kochany!”

Nash zrozumiał mnie od razu. Najwidoczniej słowo „dama” posiadało i dla niego swoiste znaczenie.

— Niekoniecznie dama — rzekł — ale w każdym razie nie żadna kobieta ze wsi, które są przeważnie prawie analfaberkami... nie potrafią pisać ortograficznie ani wyrażać się tak swobodnie.

Zamilkłem, doznałem bowiem szoku. Inteligencji było w Lymstock tak mało! Podświadomie wyobrażałem sobie autora listu jako panią Cleat lub kogoś podobnego, ot, przebiegłego, złośliwego półgłówka.

Symmington wyraził głośno moje myśli, mówiąc ostro:

— Ależ to by ograniczało poszukiwania do sześciu albo najwyżej dwunastu osób w całym Lymstock!

— Zupełnie słusznie.

— Nie mogę w to uwierzyć!

A potem, z wysiłkiem, patrząc wprost przed siebie, jak gdyby własne słowa napawały go niesmakiem, dodał:

— Wszyscy słyszeli, co powiedziałem na rozprawie u koronera. Gdyby ktoś sądził, że moje ówczesne zeznanie podyktowane było pragnieniem chronienia pamięci mojej żony, powtarzam tutaj raz jeszcze, iż jestem najmocniej przekonany, że list, jaki otrzymała rnoja żona, polega na całkowitym fałszu. Ja wiem, że to był fałsz. Moja żona była bardzo wrażliwa i... er... er... można by nazwać to pruderią. List tego rodzaju musiał być dla niej wielkim wstrząsem, a zdrowie jej pozostawiało wiele do życzenia...

Graves odpowiedział natychmiast:

— To bardzo prawdopodobne. Żaden z listów nie wykazuje głębszej znajomości rzeczy. Po prostu oskarżenie na chybił trafił. Nie widać w nich próby szantażu. Nie dostrzegam także tła religijnego, co zdarza się bardzo często. Po prostu seksualizm i zółć...! I to właśnie łatwo pozwoli nam odszukać

sprawcę.

Symmington wstał. Mimo iż był człowiekiem oschłym i opanowanym, nie mógł powstrzymać drżenia ust.

— Mam wrażenie, że wkrótce wykryjecie tego potwora. Zamordowała ona bowiem moją żonę w sposób tak samo pewny, jak gdyby wbiła jej nóż w serce... — Chwilę milczał, po czym dokończył:
— Ciekaw jestem, jak się tak kobieta czuje w tej chwili...

Z tymi słowy wyszedł, pozostawiając to pytanie bez odpowiedzi.

— Jak pan myśli, jak ona może się czuć, doktorze? — spytałem Griffitha, ponieważ zdawało mi się, że odpowiedź powinna wyjść od niego.

— Kto to może zgadnąć? Może czuje wyrzuty sumienia? Bo przecież z drugiej strony zupełnie możliwe, że taka osoba rozkoszuje się swą władzą. Śmierć pani Symmington mogła jeszcze podsyć jej manię...

— Mam nadzieję, że tak nie jest — powiedziałem z lekkim dreszczem. — Bo jeżeli to prawda, co pan myśli, to ona...

Zawahałem się przed skończeniem zdania; zrobił to jednak za mnie inspektor Nash:

— Spróbuj znowu? Z naszego punktu widzenia byłoby to najkorzystniejsze. Niech pan pamięta o przysłowiu, że poty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie...

— Byłoby szaleństwem, gdyby nie zaprzestała swojej działalności! — wykrzyknąłem.

— Na pewno nie zaprzestanie, tak bywa zawsze... To już staje się pewnego rodzaju nałogiem, którego się trudno wyzbyć.

Potrząsnąłem głową i poczułem dreszcze. Spytałem, czy jestem jeszcze potrzebny; pragnąłem odetchnąć świeżym powietrzem, tutaj bowiem atmosfera zdawała się być przepojona zbrodnią.

— Nie, dziękuję już panu — rzekł Nash. — Tylko jedna prośba: niech pan ma oczy otwarte na wszystko i stara się namówić ludzi, którzy otrzymają anonimy, żeby natychmiast nam o tym dali znać.

Skinąłem głową na znak zgody. »

— Mam wrażenie, że chyba każdy mieszkaniec Lymstock otrzymał już swoją porcję...

— Właśnie jesteśmy tego ciekawi — rzekł inspektor Graves. Przechylił swą smutną twarz na bok i spytał:

— A czy zna pan kogoś, kto na pewno anonimy nie dostał?

— Jeżeli o to chodzi — tu trochę się zawahałem — to wyznam, że właśnie przypadkowo wiem o

takiej osobie.

Po czym powtórzyłem rozmowę z panną Emilią Barton i przytoczyłem jej słowa. Graves przyjął tę wiadomość z nieporuszoną twarzą i rzekł:

— Zanotuję to sobie, bo może mi się w przyszłości przydać.

Wyszliśmy razem z doktorem Griffithem na popołudniowe słońce. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, zakląłem głośno:

— Co za przekłete miejsce dla człowieka, który przyjechał, by wygrzewać się na słońcu i leczyć swoje rany! Powietrze tutejsze przepojone jest trucizną, chociaż na oko wydaje się tu tak spokojnie i niewinnie, jak w rajskim ogrodzie!

— Ale przecież nawet i w raju znalazł się wąż — rzekł sucho doktor.

— Doktorze, jak pan sądzi? Czy policja wie cokolwiek? Ma jakieś poszlaki?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że policja ma swoje wyśmienite metody. Wydaje się, że są tacy szczerzy, a jednak nic konkretnie nie mówią.

— Ma pan rację. Ale Nash to bardzo przyjemny facet.

— I przy tym bardzo zdolny.

— Jeżeli tutaj w okolicy jest ktoś pomyłony, to przecież pan jako lekarz najlepiej powinien o tym wiedzieć — rzekłem tonem oskarżenia.

Griffith potrząsnął głową z powątpiewaniem. Wyglądał na zniechęconego, może nawet gorzej, na przygnębionego. Byłem ciekawy, czy ma jakieś podejrzenia. Szliśmy wzdłuż ulicy Głównej. Zatrzymałem się przed biurem agenta.

— Płacę ratę mego komornego — rzekłem. — Mam szczerzy zamiar zapłacić i niech diabli wezmą resztę dzierżawy! Natychmiast wyjedziemy stąd z Joanną.

— Och, nie! — wykrzyknął Owen.

— A to czemu?

Doktor nie odpowiedział. Dopiero po kilku minutach rzekł powoli:

— A zresztą... może pan i ma rację. W obecnej chwili Lymstock nie jest dla państwa zdrową miejscowością. Może zaszkodzić... może zaszkodzić panu... albo pańskiej siostrze.

— Joannie nic nie jest w stanie zaszkodzić — rzekłem. — Ona jest twarda. To ja jestem słabeuszem. Cała ta sprawa jakoś źle odbija się na moim zdrowiu.

— I mnie także doprowadza ona do mdłości — rzekł Owen.

Pchnąłem drzwi do biura agenta i stojąc w progu powiedziałem jeszcze do Owena:

— Ale chyba nie wyjadę, zwykła ciekawość jest silniejsza od strachu. Chcę zobaczyć, jakie będzie rozwiązanie.

Mówiąc to wszedłem do biura. Jakaś kobieta, siedząca przy maszynie, wstała i podeszła do mnie. Miała kręcone włosy i śmiała się trochę głupkowato, ale była bardziej rozgarnięta od młodzieńca w okularach, który załatwiał mnie podczas mojej ostatniej tu wizyty. Po jakimś czasie uderzyło mnie w twarz mojej rozmówczyni coś znajomego. Przyjrzawszy się uważniej, poznałem pannę Ginch, dawną urzędniczkę z biura Symmingtona.

— Pani, zdaje się, pracowała poprzednio w firmie Galbraith, Galbraith i Symmington, prawda?

— Tak. Uważałam jednak, że zrobię lepiej opuszczając tamtą posadę. Tutaj jest mi dobrze, chociaż materialnie może nie tak, jak poprzednio. Ale są na świecie rzeczy ważniejsze od pieniędzy, prawda?

— Bez wątpienia — odpowiedziałem.

— Te okropne listy — powiedziała panna Ginch syczącym szeptem. — Ja na przykład dostałam po prostu straszny! O mnie i o panu Symmingtonie... Ach, to okropność! Co za potworne rzeczy tam były! Znam swój obowiązek, toteż natychmiast zaniósłam anonim na policję. Chociaż nie należało to do najprzyjemniejszych rzeczy, niech mi pan wierzy!

— Naturalnie, to musiało być dla pani bardzo przykre.

— Ale podziękowali mi i powiedzieli, że dobrze zrobiłam. Później jednak, skoro zdałam sobie sprawę, że ludzie mogą gadać... A że gadali, to fakt, bo skąd mogłyby takie rzeczy przyjść do głowy autorowi tego listu... Postanowiłam unikać nawet cienia podejrzenia. Chociaż mogę pana zapewnić, że między mną a panem Symmingtonem nigdy nic nie było.

Czułem się trochę zażenowany.

— Nie, nie... oczywiście, że nie...

— Ale ludzie są tacy podejrzliwi...! Tak jest, niestety! Ogromnie podejrzliwi...

Starałem się nerwowo unikać spojrzenia na pannę Ginch, jednak mimo woli spotkałem jej wzrok i uczyniłem nieprzyjemne odkrycie: panna Ginch wyraźnie była z całej tej sprawy zadowolona.

Już po raz drugi tego dnia spotkałem osobę, której te anonimy sprawiły przyjemność. Entuzjazm inspektora Gravesa był natury zawodowej, natomiast radość panny Ginch wydała mi się niesmaczna i nasuwająca podejrzenia. Olśniła mnie nagle pewna myśl...

Czyżby to panna Ginch była autorką listów?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wróciwszy do domu, zastałem panią Dane–Calthrop rozmawiającą z Joanną. Wydało mi się, że wyglądała mizernie i chorobliwie.

— To był dla mnie wielki szok, proszę pana — powiedziała na wstępie. — Biedactwo, ach, jakie biedactwo...!

— Tak... to straszne, co musiała przeżyć ta biedaczka, nim targnęła się na swoje życie — przytaknałem.

— Och! Pan ma na myśli panią Symmington?

— Przypuszczałem, że i pani o niej mówi? Pani Dane–Calthrop wstrząsnęła głową.

— Naturalnie, że bardzo mi jej żal, ale to musiałyby się stać wcześniej czy później, nieprawda?

— Czyżby? — spytała sucho Joanna.

Pani Dane–Calthrop zwróciła twarz ku niej.

— O, jestem tego zupełnie pewna, kochanie! Jeżeli ktoś jest zdania, że najlepszą ucieczką od trosk i kłopotów życia jest samobójstwo, to już rodzaj tych kłopotów nie odgrywa żadnej roli.

Kiedykolwiek zetknęłaby się w życiu z czymś przykrym, zrobiłaby

to samo. Istotnie jednak chodzi tylko o to, że ona była właśnie tego pokroju kobietą. Ja osobiście uważałam ją zawsze za osobę samolubną, raczej głupią, trzymającą się mocno życia. Absolutnie nie ten rodzaj człowieka, którego by można zastraszyć. Ale zaczynam sobie zdawać, niestety, sprawę z tego, jak mało w rzeczywistości wiem o ludziach...!

— Bardzo mnie jednak interesuje, kogo pani miała na myśli używając określenia „biedactwo”!

Popatrzyła na mnie przez chwilę badawczo.

— Oczywiście, że kobietę, która pisze te listy.

— Jeżeli idzie o mnie — odpowiedziałem sucho — to nie traciłbym dla niej tyle cennego czasu.

Pani Dane–Calthrop pochyliła się nieco naprzód i położyła rękę na moim kolanie.

— Bo pan nie rozumie. A czy pan nie czuje? Niech pan sobie tylko wyobrazi. Niech pan pomyśli, jak rozpaczliwie, jak głęboko musi się ktoś czuć nieszczęśliwy, ażeby się powążyć na pisanie takich listów. Jaki samotny, jaki odcięty od całej ludzkości... Na wskroś zatruty, zatruty jakimś jadem, który w ten sposób się uzewnętrznia. I dlatego robię sobie wyrzuty. Ktoś w tej okolicy jest strasznie nieszczęśliwy, a ja nic o tym nie wiem. Nie należy wtrącać się do czyichś spraw, nigdy też tego nie robię. Ale ta straszna, wewnętrzna rozpacz, podobna do zropiałej ręki, czarna i nabrzmiąta! Gdyby ją można rozciąć i pozwolić spłynąć truciznie, wszystko mogłoby być dobrze. Tak, biedne, biedne

stworzenie...

Wstała zbierając się do wyjścia.

W głębi duszy nie zgadzałem się z nią. Nie odczuwałem żadnej litości, żadnego współczucia dla autorki anonimów. Spytałem jednak z zaciekawieniem:

— A czy domyśla się pani, kim może być ta kobieta? Zwróciła swoje piękne, zdziwione oczy w moją stronę.

— Cóż... może się domyślam — rzekła — ale oczywiście mogę się mylić, prawda?

Wyszła szybko z pokoju; po chwili wsunęła jeszcze głowę przez drzwi i spytała:

— Niech mi pan powie, dlaczego pan się właściwie nie ożenił?

U każdego innego pytanie takie byłoby impertynencją, ale u pani Dane–Calthrop czuło się, że po prostu taka myśl przyszła jej nagle do głowy i że istotnie chciałyby poznać przyczynę.

— A gdybym na to odpowiedział — rzekłem nieco ironicznie — że dlatego, iż nie spotkałem dotychczas odpowiedniej kobiety?

— Można powiedzieć i tak — odparła pani Dane–Calthrop — ale czy to będzie dobra odpowiedź, biorąc pod uwagę fakt, że mnóstwo mężczyzn żeni się z nieodpowiednimi kobietami...?

Tym razem wyszła już na dobre.

— Wiesz, naprawdę uważam, że to wariatka, ale bardzo ją lubię. Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie w wiosce boją się jej — rzekła Joanna.

— Przyznam ci się, że i ja się jej troszeczkę boję.

— Bo nigdy nie wiadomo, co z niej wyskoczy?

— Mniej więcej. Ale uważam, że jej domysły są czasem świetne i jasne.

— Czy ty też uważasz, że ten, kto pisze te listy, jest głęboko nieszczęśliwy? — zapytała Joanna powoli.

— Nie mam pojęcia, co ta jędza czuje i co myśli! Gwiżdżę na to, mówię ci! Żal mi tylko jej ofiar...

Dzisiaj wydaje mi się dziwne, że zastanawiając się nad umysłowością „Zatrutego Pióra” opuściliśmy najistotniejszy element. Griffith nakreślił sylwetkę autorki jako osoby być może triumfującej. Dla mnie był to ktoś dręczony wyrzutami sumienia, przerażony skutkami swego dzieła. Natomiast w oczach pani Dane–Calthrop był to ktoś, kto cierpi. Ale nikt z nas nie zastanowił się nad tym oczywistym, nieuniknionym motywem — albo może tylko ja jeden się zastanowiłem. Motywem tym był... strach. Bo ze śmiercią pani Symmington listy przeszły z jednej kategorii do drugiej. Nie wiem,

jak to wyglądało z prawnego punktu widzenia, przypuszczam, że Symmington by to wiedział, jasne jednak było, że z chwilą kiedy konsekwencją listów stała się śmierć — sytuacja autora zrobiła się znacznie poważniejsza. Nie mogło już być mowy o uznaniu tego za żart, gdyby sprawca został wykryty. Policja działała, wezwano nawet do pomocy eksperta ze Scotland Yardu. Dla autora anonimowych listów pozostanie w ukryciu było teraz kwestią życia i śmierci.

Następnego rana oboje z Joanną zeszliśmy na śniadanie stosunkowo późno. To znaczy późno jak na zwyczaje panujące w Lymstock. Była godzina dziewiąta trzydzieści, czyli że w Londynie o tej porze Joanna dopiero otwierała jedno oko, moje zaś na pewno były jeszcze zamknięte. Ale ilekroć pani Partridge pytała nas, „czy śniadanie ma być o pół do dziewiątej czy o dziewiątej?“, ani Joanna, ani ja nie odważyliśmy się zaproponować jakiejś późniejszej godziny.

Ku memu utrapieniu zobaczyłem Aimée Griffith stojącą na progu i rozmawiającą z Megan. Ze swą zwykłą serdecznością zawołała na nasz widok:

— Halo tam, śpiochy! Ja jestem na nogach już od paru godzin!

To już jej sprawa. Zrozumiałe, że doktor musi jeść śniadanie bardzo wcześnie, a jego obowiązkowa siostra powinna być przy nim i nalewać mu herbatę czy kawę. Ale to jeszcze nie powód, żeby przychodzić i natrzasać się z bardziej normalnych sąsiadów. Godzina dziewiąta trzydzieści to bezwzględnie nie pora na składanie wizyt!

Megan wsunęła się z powrotem do jadalni, bo przypuszczam, że wizyta panny Griffith przerwała jej śniadanie.

— Powiedziałam, że nie wejdę do pokoju — rzekła Aimée Griffith — chociaż nie mogę zrozumieć, dlaczego ma być grzeczniej zmuszać ludzi do wychodzenia z pokoju i rozmawiania na progu, zamiast wejść i rozmawiać wewnątrz. Chciałam tylko spytać pannę Burton, czy mogłaby odstąpić nam trochę jarzyn na stoisko Czerwonego Krzyża na kiermaszu. Jeżeli tak, to przysłałabym samochodem Owena, żeby zabrał.

— Pani jest bardzo rannym ptaszkiem — zauważyłem nie bez złośliwości.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — odpowiedziała Aimée. — O tej porze najłatwiej można ludzi zastać w domu. Idę stąd jeszcze do pana Pye. A dziś po południu muszę wpaść do Brenton. Harcerki... wie pan.

— Pani energia działa na mnie przytłaczająco — odpowiedziałem.

W tym momencie zadzwonił telefon, musiałem więc odejść w koniec holu, pozostawiając Joannę na pastwę panny Griffith. Joanna bąkała coś niewyraźnie na temat rabarbaru i fasolki szparagowej, zdradzając całkowitą ignorancję w sprawie ogrodu warzywnego.

— Proszę? — odezwałem się do słuchawki.

Z drugiej strony drutu dosłyszałem ciężki oddech, a po tym jakiś niewyraźny kobiecy głos powiedział: „Och!”

— Proszę? — powtórzyłem zachęcająco.

— Och! — zaczął na nowo głos, potem spytał nosowo: — Czy to... chciałam wiedzieć, czy to... czy mówię z Jałowcowym Dworkiem?

— Tak, tu Jałowcowy Dworek!

— Och! — Najwidoczniej od tego słowa musiało się zaczynać każde zdanie. Następnie głos spytał ostrożnie: — Czy można poprosić na chwilę do telefonu panią Partridge?

— Oczywiście — powiedziałem. — A co mam jej powiedzieć?

— Och...! proszę jej powiedzieć, że mówi Agnieszka, dobrze? Agnieszka Woddell...

— Agnieszka Woddell?

— Tak jest.

Odłożyłem słuchawkę i krzyknąłem w górę, skąd dochodziły mnie odgłosy działalności pani Partridge:

— Pani Partridge, halo.! Pani Partridge!

Gospościa ukazała się na szczycie schodów, trzymając w ręku długi wiecheć. Mimo jej pełnej uszanowania postawy można było wyraźnie wyczuć nastawienie „o co tu znowu chodzi?”

— Tak! Słucham pana?

— Agnieszka Woddell do pani dzwoni.

— Słucham, proszę?

— Agnieszka Woddell — powtórzyłem głośniejszym głosem.

— Czego ona może chcieć?

Niezmiernie skonfundowana, pani Partridge rzuciła swój wiecheć i zaczęła schodzić po schodach, szeleszcząc w podnieceniu suknią w kwiatki.

Wycofałem się nieznacznie do jadalni, gdzie Megan pochłaniała cynaderki i szynkę. W przeciwieństwie do Aimée Griffith twarz Megan nie zdradzała żadnej „porannej promienności”. Prawdę mówiąc, ledwie odpowiedziała burkliwie na moje powitanie i w dalszym ciągu jadła w milczeniu. Rozłożyłem gazetę, a w parę minut później weszła Joanna, zupełnie wyczerpana.

— Uff! — zawołała. — Jakaż ja jestem zmęczona! Czuję, że się strasznie skompromitowałam moją całkowitą ignorancją, co kiedy dojrze. Czy o tej porze roku bywa pnąca fasolka?

— Sierpień — mruknęła Megan.

— Ale w Londynie można ją dostać o każdej porze roku — rzekła Joanna, jakby się usprawiedliwiając.

.. — Z puszek, głuptasku — powiedziałem — albo mrożoną z okrętów przywożących to i owo z najodleglejszych krańców naszego imperium.

— Tak jak kość słoniową, małpki i pawie? — spytała Joanna.

— O, właśnie!

— Ja wolałabym raczej pawia — rzekła w zamyśleniu Joanna.

— A ja marzę, żeby mieć małą małpkę — wtrąciła Megan.

Joanna, ciągle zamyślona, odezwała się, obierając pomarańczę:

— Bardzo jestem ciekawa, jakby to było być taką Aimée Griffith, tryskającą zdrowiem i wigorem, i radością życia. Czy myślicie, że ona bywa kiedykolwiek zmęczona, przygnębiona albo... albo rozżęskniona?

Odpowiedziałem, że Aimée Griffith absolutnie nie może być „rozżęskniona”, i wyszedłem za Megan na werandę. Stojąc tam i nabijając fajeczkę, usłyszałem, że pani Partridge weszła z holu do jadalni i powiedziała ponuro do Joanny:

— Czy mogę z panią chwilę pomówić, proszę pani?

„Boże drogi — pomyślałem. — Chyba pani Partridge nie zamierza wymówić? Bo jeżeli tak, to panna Emilia Barton nigdy nam tego nie daruje”.

Pani Partridge mówiła dalej:

— Muszę panią przeprosić za to, że tu do mnie telefonowano. Ta młoda osoba, która sobie na coś podobnego pozwoliła, powinna być trochę rozsądniejsza. Nigdy nie miałam zwyczaju używania telefonu ani nie pozwalałam, żeby moi znajomi tu do mnie dzwoniли, i jest mi bardzo nieprzyjemnie, że coś takiego się zdarzyło, i właśnie pan podszedł do telefonu, i w ogóle...

— Ależ co znowu, nie ma o czym mówić, droga — pani Partridge — uspokajała ją Joanna. — Dlaczegoż by pani znajomi nie mieli korzystać z telefonu, jeżeli chcą z panią porozmawiać?

Czułem, że twarz pani Partridge zacięła się jeszcze bardziej niż zwykle, gdy odpowiedziała chłodno:

— Takie rzeczy nigdy w tym domu się nie zdarzały, proszę pani. Panna Emilia nigdy by do tego nie dopuściła. Jak już powiedziałam, bardzo mi przykro, że coś takiego się wydarzyło, ale Agnieszka Woddell, która się tego dopuściła, była bardzo zmartwiona, a że jest młoda, to nie rozumie, co jest u państwa stosowne, a co nie.

„To kamyczek do twojego ogródka, Joanno” — pomyślałem wesoło.

— Ta Agnieszka, co do mnie dzwoniła, proszę pani — ciągnęła pani Partridge — ona była dawniej w służbie tutaj, pod moim kierunkiem. Miała wtedy szesnaście lat i przyszła wprost z sierocińca. I widzi pani, nie miała ani domu, ani matki, ani nikogo z rodziny, kto by jej poradził. Przyzwyczajona była przychodzić po radę do mnie. Potrafię jej zawsze wytłumaczyć co i jak, proszę pani.

— Tak? — spytała Joanna i czekała na dalszy ciąg.

— Więc pozwalam sobie spytać panią, proszę pani, czy Agnieszka mogłaby przyjść dziś po obiedzie do mnie do kuchni na herbatę. Ma dzisiaj wychodne i chciała przyjść poradzić się, bo widocznie coś jej dolega. Inaczej nigdy bym sobie nie pozwoliła na coś podobnego, proszę pani. Joanna spytała zdziwiona:

— Ależ dlaczego nie miałyby pani zaprosić sobie kogoś na herbatę?

Joanna opowiadała mi później, że na te słowa pani Partridge wyprostowała się sztywno i wyglądała rzeczywiście imponująco, gdy oświadczyła:

— Takiego zwyczaju nie było nigdy w tym domu, proszę pani. Starsza pani Barton nigdy nie pozwalała przyjmować gości w kuchni, chyba że to był i nasz wolny dzień. Wtedy można było przyjmować gości na miejscu, zamiast wychodzić, ale tak, w zwyczajne dni... nigdy! A panna Emilia szanuje stare zwyczaje...

Joanna jest bardzo uprzejma dla służby i na ogół była przez nią lubiana, z panią Partridge jednak nigdy nie udało się jej całkowicie przełamać lodów.

— Nie ma rady, moje dziecko — powiedziałem po wyjściu gospodyni z pokoju, kiedy Joanna przyłączyła się do mnie na werandzie. — Twoja wyrozumiałość i sympatia nie zostały przyjęte. Pani Partridge ceni dobre stare zwyczaje i lubi, żeby wszystko działo się tak, jak przystoi u „prawdziwych” państwa.

— Nigdy nie słyszałam o podobnej tyranii! Żeby nie pozwolić służbie na wizyty gości... — rzekła Joanna. — To wszystko bardzo pięknie, ale jestem pewna, że nie mogą przecież lubić, aby je traktowano jak niewolnice!

— Najwidoczniej jednak tak jest — powiedziałem.

— Przynajmniej takie typy, jak nasza pani Partridge...

— Nie mam pojęcia, dlaczego ona mnie nie lubi. Przeważnie cieszę się przecież sympatią.

— Zapewne pogardza tobą jako nieodpowiednią panią domu. Nigdy nie przesuwasz ręki po półkach szukając kurzu. Nie zaglądasz pod dywany, nie pytasz, co się stało z resztą czekoladowego kremu, i nie dysponujesz ładnego, chlebowego budyniu.

— Ojej! — jęknęła Joanna. Potem powiedziała ze smutkiem: — Dzisiaj mi się wszystko fatalnie nie

udaje. Nasza Aimée gardzi mną, ponieważ się nie znam na warzywach. Pani Partridge dała mi prztyczka w nos za to, że byłam za bardzo ludzka. Pójdę chyba wyplakać się do ogrodu!

— Megan już tam jest — powiedziałem.

Kilka minut przedtem Megan wyszła do ogrodu i stała beczynn timer na środku trawnika, wyglądając jak zamyślony ptaszek czekający na pożywienie. Podeszła teraz do nas i powiedziała krótko:

— Muszę dzisiaj wracać do domu.

— Co takiego? — spytałem zaskoczony.

Mówiła dalej, czerwieniąc się, ale z jakąś nerwową determinacją:

— Byliście strasznie dobrzy, że mnie zabraliście, chociaż boję się, że sprawiliście sobie tylko kłopot. Ja się tu czułam świetnie, tylko że teraz muszę wracać, bo bądź co bądź tam jest mój dom i nie można gdzieś siedzieć wiecznie, więc najlepiej będzie, jak to zrobię zaraz.

Oboje z Joanną staraliśmy się odwieść ją od tego postanowienia, ona jednak upierała się przy swoim, tak że ostatecznie Joanna wyprowadziła wóz, a Megan pobiegła na górę spakować się. Po paru minutach zeszła ze swą małą walizeczką w ręce.

Jedyną zadowoloną osobą zdawała się być pani Partridge, która niemal uśmiechnęła się. Nigdy nie lubiła Megan.

Po powrocie z garażu Joanna zastała mnie jeszcze na środku trawnika. Spytała, czy myślę, że jestem zegarem słonecznym.

— Dlaczego?

— Bo stoisz tak, jakbyś był jakimś ogrodowym ornamentem. Tyle że nie nadaje się do ciebie owo motto o „wskazywaniu tylko szczęśliwych godzin”. Wyglądasz jak gradowa chmura!

— Bo jestem zły. Najpierw Aimée Griffith (— Na Boga! — szepnęła Joanna na stronie — żeby nie zapomniała o tych warzywach!), a potem Megan... Chciałem wziąć ją na spacer na wzgórze.

— Przypuszczam, że w obroży i na smyczy? — rzekła Joanna.

Joanna, oddalając się w kierunku ogrodu warzywnego, powtórzyła głośno i wyraźnie: .. — Powiedziałam: „Przypuszczam, że w obroży i na smyczy?” Pan zgubił swego pieska... oto całe twoje zmartwienie...

Muszę przyznać, że mnie trochę zmartwił nagły wyjazd Megan. Może uznała raptem, że się z nami bardzo nudzi? Prawdę mówiąc, nie było to bardzo urozmaicone życie dla takiej młodej dziewczyny. W domu będzie miała chłopców i Elsie Holland.

Słyszałem, że Joanna wróciła, i szybko wyniosłem się z ogrodu w obawie, by nie zaczęła robić

nowych uwag na temat zegara słonecznego.

Tuż przed lunchem nadjechał doktor Griffith swoim wozem. Ogrodnik już czekał na niego .z odpowiednią ilością zieleniny.

Podczas gdy stary Adams ładował warzywa do samochodu, poprosiłem doktora do domu na kieliszek.

Nie chciał zostać na lunchu. Gdy wszedłem do pokoju z butelką sherry, Joanna już była „przy robocie”. Nie zdradzała najmniejszego śladu wrogości. Wtulona w róg kanapy po prostu mruczała z zadowolenia jak kot, wpytując Owena o jego pracę, czy jest zadowolony z tej swojej ogólnej praktyki, czy też wolałby się specjalizować w jakimś kierunku. Jej zdaniem, leczenie ludzi to najbardziej fascynująca rzecz na świecie.

Można myśleć, co się chce o Joannie, ale każdy musi przyznać, że potrafi wspaniale słuchać. A po nasłuchaniu się tylu wywodów niedoszłych geniuszów o tym, jak są niedoceniani, słuchanie Owena Griffitha było dziecinną zabawką. Gdy byliśmy przy trzecim kieliszku, Griffith opowiadał jej już o jakiejś tajemniczej reakcji czy zabiegu w tak naukowy sposób, że nikt — może poza drugim lekarzem — nie zrozumiałby ani słowa z jego wywodów.

Joanna jednak miała zupełnie inteligentną minę i była, zda się, głęboko zainteresowana.

Poczułem napad mdłości... Tym razem Joanna już doprawdy trochę przeholowała. Griffith był zbyt porządnym chłopcem, żeby z nim w ten sposób igrzać. Kobiety to są naprawdę szatany!

Potem spojrzałem spod oka na Griffitha, na jego długi, zdecydowany podbródek i ponuro ściągnięte usta i pomyślałem sobie, że kto wie, czy Joanna potrafi zrobić z nim, co zechce. A zresztą mężczyzna nie powinien dać się kobiecie wystrychnąć na dudka. Jeżeli do tego dopuszcza, to sam sobie winien. Wreszcie Joanna powiedziała:

— Niech pan się namyśli i zostanie u nas na lunchu, doktorze!

Griffith lekko się zaczerwienił i powiedział, że bardzo chętnie by został, ale w domu czeka na niego siostra.

— To zadzwonimy do niej i wytłumaczmy pana — powiedziała szybko Joanna, po czym udaliśmy się do holu, a Joanna poszła telefonować do Aimée. Zdawało mi się, że doktor Griffith jest trochę nieswój, i przeszło mi przez myśl, że może trochę boi się swojej siostry. Po chwili Joanna wróciła uśmiechnięta i oświadczyła, że wszystko w porządku.

Tak więc Owen Griffith został na lunchu i zdawał się być bardzo zadowolony. Mówiliśmy o książkach, sztukach granych w teatrze i o polityce międzynarodowej... O muzyce, malarstwie i współczesnej architekturze.

Nie wspomnieliśmy słowem o Lymstock i czułem, że Owen jest nam za to wdzięczny. Jego ciemna, smutna twarz promieniała; okazało się, że potrafi ‘ być bardzo interesującym kompanem.

Po jego wyjściu powiedziałem do Joanny:

— Ten facet jest za porządny na twoje sztuczki...

— Nie może być? — powiedziała kpiąco Joanna. — Wy, mężczyźni, zawsze trzymacie z sobą!

— Dlaczego polujesz na niego, Joanno? Zraniona próżność?

— Możliwe — odpowiedziała tajemniczo moja siostra.

Tego samego popołudnia udaliśmy się na herbatkę do panny Emilii Barton, do jej nowego mieszkania w miasteczku. Szliśmy piechotą, czułem się bowiem już na tyle silny, że mogłem zaryzykować spacer pod górkę.

Musieliśmy źle obliczyć czas, bo wysoka, koścista kobieta, która nam otworzyła drzwi, oświadczyła, że panna Barton jeszcze nie wróciła z miasta. Była to prawdopodobnie owa „wierna Florentyna”.

Poszliśmy za nią na górę, gdzie Florentyna otworzyła jakieś drzwi wprowadzając nas do wygodnego saloniku nieco przeładowanego meblami. Niektóre pochodziły na pewno z Jałowcowego Dworku.

Florentyna była najwidoczniej bardzo dumna ze swego pokoju.

— Niebrzydko tutaj, prawda?

— Bardzo ładnie — odpowiedziała ciepło Joanna.

— Staram się, żeby pannie Emilii było jak najwygodniej. Naturalnie, że nie mogę zrobić dla niej tyle, ile bym chciała, i tak, jak być powinno. Panna Emilia powinna mieszkać w swoim własnym domu, a nie tułać się po wynajętych pokojach.

Florentyna, która wyraźnie była trochę jędzowata, patrzyła na nas z wyrzutem. Nie był to nasz szczęśliwy dzień. Najpierw dostało się Joannie od Aimée Griffith i pani Partridge, a teraz obydwójgu nam od jędzy— Florentyny.

— Piętnaście lat byłam pokojówką w Jałowcowym Dworku — dodała Florentyna.

Joanna, dotknięta niesprawiedliwym zarzutem, powiedziała:

— Przecież panna Barton sama chciała odnajdąć dom. Zgłosiła go w biurze pośrednictwa.

— Zmuszona! Zmuszona przez los! — rzekła Florentyna. — A żyje tak skromnie i oszczędnie! Ale nawet i rząd nie daje jej spokoju! Tak czy owak zdiera z człowieka żywcem skórę!

Potrząsnąłem smutnie głową.

— Za czasów starszej pani to nie brakowało pieniędzy... — ciągnęła Florentyna. — Potem biedactwa powymierały jedna po drugiej. A panna Emilia wszystkie pielęgnowała w chorobie.

Zupełnie sterała sobie na tym siły, chociaż nigdy ani słoweczkiem się nie poskarżyła, nie uzaliła. Taka cierpliwa! Ale odbiło się to wszystko na jej zdrowiu, oj, odbiło! Jeszcze na ostatek przyszedły kłopoty pieniężne. Powiada, że akcje nie przynoszą tego dochodu, co powinny... A dlaczego nie, pytam się? Mogliby się wstydzić! Żeby tak dokuczać takiej osobie, co się zupełnie nie zna na cyfrach i na ich przeróżnych tam sztuczkach...

— Prawie wszystkich nas spotkał ten sam los — wtrąciłem.

Florentyna jednak pozostała nieprzejednana.

— To dobre dla kogoś, kto potrafi się kręcić koło swoich interesów, ale nie dla niej! O nią trzeba zadbać i tak długo, dopóki jest u mnie, nie dam nikomu zrobić jej krzywdy! Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła dla mojej panny Emilii!

I patrząc na nas przez dłuższą chwilę, jak gdyby chciała się upewnić, że strzała trafiła do celu, nieposkromiona Florentyna wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

— Czy nie czujesz się pijawką, Jerry? — spytała Joanna. — Bo ja tak! Powiedz, co nam tak dziś się źle wiedzie?

— Zdaje się, że coś niedobrze — odpowiedziałem. — Najpierw Megan się nami znudziła, potem pani Partridge miała ci za złe, a teraz „wierna Florentyna” ma za złe nam obojgu!

— Ciekawa jestem, dlaczego Megan od nas odeszła — szepnęła Joanna.

— Najprawdopodobniej znudziła się naszym towarzystwem...

— Nie, nie sędzę... Ciekawa jestem... czy nie sądzisz, Jeny, że pozostaje to w jakimś związku z wizytą Aimée Griffith?

— Myślisz, że powiedziała coś dzisiaj rano, kiedy rozmawiały razem w progu?

— Tak. Nie miała wiele czasu, ale...

— Ale ta kobieta jest gruboskórna jak słoń. Mogła powiedzieć — dokończyłem za Joannę.

Wtem otworzyły się drzwi i wbiegła panna Emilia. Zaróżowiona, trochę zdyszana, zdawała się być bardzo podniecona. Oczy miała bardzo niebieskie i błyszczące. Zaszcebiotała trochę roztargniona:

— O, Boże! Tak mi przykro, że się spóźniłam! Po prostu sprawunki na mieście! A ciastka pod „Błękitną Różą” nie były takie specjalnie świeże, więc poszłam do pani Lygon. Ciastka kupuję zawsze na ostatku, bo wtedy mam pewność, że są prosto z pieca i nie wetkną mi jakichś resztek z poprzedniego dnia... Ale naprawdę jestem zrozpaczona, że państwo musieli na mnie czekać. To nie do wybaczenia z mojej strony...!

Joanna przerwała:

— Ależ to tylko nasza wina, proszę pani! Przyszliśmy za wcześnie. Wybraliśmy się piechotą, a Jerry już tak biega, że wszędzie przychodzimy za wcześnie.

— Nie, nie! Nigdy nie za wcześnie! Niech pani tak nie mówi, bo dobrego nigdy nie może być za wiele, moja droga!

Mówiąc to, starsza dama poklepała serdecznie Joannę po ramieniu.

Joanna rozpromieniła się. Nareszcie się jej coś udało! Emilia Barton. obdarzyła swym uśmiechem i mnie, z lekką jednak rezerwą i nieśmiałością jak ktoś, kto zbliża się do żarłocznego tygrysa, gdyż wie, że w danej chwili tygrys nie jest głodny.

— Bardzo to ładnie, że pan zechciał przyjść na tak czysto kobiecy posiłek, jak popołudniowa herbatka.

Przypuszczam, że w oczach panny Emilii Barton mężczyźni to istoty konsumujące niezmierzone ilości whisky z wodą sodową, palący jedno cygaro po drugim, a w przerwach uwodzący wiejskie dziewczęta albo romansujący z mężatkami.

Kiedy podzieliłem się później moim spostrzeżeniem z Joanną, odpowiedziała, że prawdopodobnie podświadomym marzeniem panny Emilii było spotkać kiedyś w życiu takiego właśnie mężczyznę.

Tymczasem panna Emilia krzątała się po pokoju, podsuwając Joannie i mnie stolik i przynosząc popielniczki. Po chwili drzwi się otworzyły i wkroczyła Florentyna niosąc na tacy herbatę i piękne filiżanki z porcelany Crown Derby, zabrane zapewne przez pannę Emilię z Jałowcowego Dworku. Herbatka była znakomita, chińska; prócz niej podano półmiski z kanapkami i cienko pokrajanym chlebem, masło i całą masę ciasteczek.

Florentyna uśmiechała się i spoglądała na pannę Emilię nieomal z macierzyńską czułością, jak na ukochane dziecko wydające przyjęcie dla lalek. Panna Emilia częstowała nas tak serdecznie, że oboje z Joanną zjedliśmy najwidoczniej więcej, niż wypadało. Mała starsza dama najwyraźniej rozkoszowała się swą herbatką; domyślałem się, że dla panny Emilii ja i Joanna stanowiliśmy wielką atrakcję — dwoje ludzi z tajemniczego i pełnego zepsucia Londynu.

Rzecz jasna, że rozmowa zesłała niebawem na tory lokalne. Panna Barton wyrażała się ciepło o doktorze Grifficie, o jego dobroci i zaletach zawodowych. Pan Symmington był w jej oczach bardzo biegłym prawnikiem i pomógł jej przy kłopotach z podatkiem dochodowym, przez co zaoszczędziła dużo pieniędzy. Sama nigdy by na to nie wpadła. „A jaki zawsze dobry dla dzieci i oddany im... oczywiście i żonie” — dodała szybko panna Barton.

— Biedna pani Symmington...! Jakaż to tragedia zostawić takie małe dzieci bez matki! Nigdy nie była specjalnie silna, a ostatnio zdrowie jej znacznie się pogorszyło. Nic innego, tylko to musiało być jakieś zaburzenie umysłowe. To cała przyczyna nieszczęścia...! Nieraz czytałam o takich wypadkach w gazetach! Ludzie wówczas nie są odpowiedzialni za to, co czynią. I ona na pewno nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, bo inaczej pamiętałaby przecież o mężu i o dzieciach.

— Musiała się okropnie zdenerwować tym anonimem — wtrąciła Joanna.

Panna Barton zaczerwieniła się i powiedziała z lekkim wyrzutem:

— Czy nie uważa pani, że to zbyt przykry temat? Wiem, że były podobno jakieś ehm... ehm... listy anonimowe, ale lepiej nie będziemy o nich mówić, dobrze? To są szkaradzieństwa, które najlepiej pominąć milczeniem.

No, cóż? Panna Barton mogła sobie pozwolić na pominięcie milczeniem anonimów, ale nie każdemu mogło to przyjść z równą łatwością. Mimo to zmieniłem posłusznie temat i zaczęliśmy mówić o Aimée Griffith:

— Cóż to za wspaniała, wprost cudowna kobieta — entuzjazmowała się panna Emilia. — Ta jej energia i zdolności organizacyjne! Naprawdę, godne najwyższego podziwu! Prócz tego wzorowo prowadzi ten swój zastęp harcerek. A jaka przy tym praktyczna, jaka nowoczesna pod każdym względem...! Można powiedzieć, że to ona sprawuje tutaj rządy. Przy tym niesłychanie oddana bratu. Jak to przyjemnie widzieć takie wzajemne przywiązanie między bratem i siostrą!

— Czy doktor nie czuje się czasami trochę przytłoczony jej wybitną indywidualnością? — zapytała Joanna.

Panna Emilia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Aimée bardzo dużo dla niego poświęciła — rzekła z godnością, lekko zabarwioną wyrzutem.

Spostrzegłem w oczach Joanny niebezpieczny błysk, szybko więc skierowałem rozmowę na pana Pye.

Jedyne, co panna Emilia mogła o nim powiedzieć i co zresztą powiedziała — chociaż jak gdyby z powątpiewaniem — to to, że jest bardzo dobry... tak, bardzo dobry, a poza tym zamożny i niezmiernie hojny. Czasem jednak odwiedzają go bardzo dziwne typy, no, ale on przecież tyle podróżował!

Zgodziliśmy się, że podróże nie tylko kształcą, ale także sprzyjają zawieraniu najdziwniejszych znajomości.

— Ja sama często marzyłam o podróży morskiej — powiedziała panna Barton w zamyśleniu. — Tyle się o nich naczytałam, a poza tym to takie pasjonujące!

— To czemu się pani nie wybierze w jakąś dalszą podróż? — zapytała Joanna.

Ten nagły zwrot od marzenia do rzeczywistości najwidoczniej zaskoczył pannę Emilię.

— Ach, nie, nie! To zupełnie niemożliwe!

— Dlaczego? Przecież to wcale nie takie kosztowne — rzekła Joanna.

— Ach, tu nie tylko chodzi o koszty! Nie mogłabym przecież podróżować sama...! Taka samotna podróż wyglądałaby bardzo niewłaściwie, nie uważa pani?

— Ale skądże znowu! — zapewniła Joanna gorąco. Panna Emilia spojrzała na nią niepewnie.

— No i zupełnie nie wiem, jakbym sobie dała radę z bagażami. Potem to schodzenie na ląd w obcych krajach... najróżniejsze obce waluty...

Przed niespokojnym okiem małej damy otwierały się niezliczone zasadzki. Joanna więc szybko pośpieszyła uspokoić ją zapytaniem o zbliżającą się zabawę ogrodową połączoną z kiermaszem. Rzecz prosta, że to z kolei sprowadziło rozmowę na panią Dane-Calthrop. Na twarzy panny Emilii zjawił się leciutki grymas.

— Wie pani, że to naprawdę bardzo dziwna osoba... Co ona czasem za rzeczy wygaduje!

Spytałem, jakie mianowicie rzeczy.

— Och, czyja wiem! Po prostu takie nieoczekiwane! I sposób, w jaki patrzy na człowieka... Zupełnie jakby to nie był, na przykład, pan, tylko zupełnie ktoś inny. Może się źle wyraziłam, ale to tak trudno określić... — No, a poza tym pani Dane-Calthrop zupełnie się do niczego nie miesza. Jest tyle przypadków, gdzie żona pastora powinna doradzić, a nawet może napomnieć. Rozumie mnie pani, podnosić ludzi na duchu, wpływać moralnie, nakłaniać do poprawy. Jestem przekonana, że wszyscy by jej słuchali, gdyż jej się po prostu boją. Ona jednak zawsze trzyma się z dala i ma jeszcze takie dziwne przyzwyczajenie, że lituje się nad tymi, co są najmniej tego warci.

— A to ciekawe — powiedziałem, zamieniając szybkie spojrzenie z Joanną.

— Ale poza tym to bardzo dobrze wychowana osoba, pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Ale moim zdaniem te stare rody mają czasem mnóstwo dziwactw. Pani Dane-Calthrop bardzo jest oddana mężowi, to człowiek o niezwyklej wprost inteligencji. Czasem mi się zdaje, że on się marnuje w tej dziurze. Dobry człowiek, bardzo dobry i szczerzy, ale zawsze mnie trochę peszy to jego nadużywanie łaciny!

— Popatrz, popatrz! — zawołałem zainteresowany.

— Jerry skończył bardzo kosztowną szkołę, gdzie jednak zupełnie nie uczyli łaciny — wyjaśniła Joanna.

Ta uwaga nasunęła pannie Emilii nowy temat.

— Tutejsza nauczycielka to bardzo niemiła osoba — rzekła. — Podejrzewam, że jest bardzo „czerwona”...

Przy słowie „czerwona” panna Emilia znacząco zniżyła głos. Potem, gdy szliśmy pod górkę, wracając do domu, Joanna powiedziała: — Panna Emilia jest przemiła, nie uważasz? ‘

Tego wieczora Joanna wyraziła wobec pani Partridge nadzieję, że jej herbatka popołudniowa dobrze

się udała. Pani Partridge, poczerwieniała i zeszywniała jeszcze bardziej niż zwykle.

— Dziękuję pani... ale Agnieszka wcale się nie zjawiała.

— O, to szkoda!

— Dla mnie raczej obojętne, proszę pani — odpowiedziała pani Partridge. Była jednak tak przepełniona poczuciem doznanej krzywdy, że nie mogła się powstrzymać od wylania żalu przed nami.

— Ani mi się nie śniło jej zapraszać... Sama zadzwoniła, powiedziała, że coś ją dręczy, i spytała, czy może do mnie przylecieć, poradzić się, bo to jej wolny dzień. Odpowiedziałam, że dobrze, niech przyjdzie, jeżeli państwo się zgodzą. Państwo się zgodzili, no a ona wcale się nie pokazała i nie dała znaku życia ani nie przysłała słowa usprawiedliwienia czy przeproszenia. Chociaż spodziewam się jutro rano karty od niej. Ach, te dzisiejsze dziewczęta...! Zupełnie bez żadnego wychowania!

Joanna próbowała bronić Agnieszki i ukoić zranione serce pani Partridge.

— Może się czuła niedobrze — powiedziała. — A pani nie telefonowała do niej, żeby się dowiedzieć?

Pani Partridge znowu się nastroszyła.

— Nie, proszę pani, rzecz prosta, że nie telefonowałam... Jeżeli Agnieszce podoba się ordynarne zachowanie, to jej sprawa. Ale usłyszysz parę słów prawdy, jak ją zobaczę...

Pani Partridge wyszła z pokoju pełna oburzenia, a my oboje zaczęliśmy się śmiać.

— Mamy tu z pewnością do czynienia z „dobrymi radami pani Zofii” — powiedziałem. — „Mój chłopiec stał się obojętny, co mam robić?” Z braku „pani Zofii” pani Partridge miała udzielić skutecznej rady. Tymczasem nastąpiło pogodzenie i prawdopodobnie w tej chwili Agnieszkę można znaleźć w objęciach jakiegoś chłopca gdzieś tam w ustronnej, cienistej alei, jak wiele innych parok, które się spotyka przechodząc tamtędy. Człowiek się wtedy okropnie peszy, ale ich to bynajmniej nie krępuje.

Joanna ze śmiechem przytaknęła moim słowom. Po chwili zaczęliśmy znów mówić o anonimach. Byliśmy ciekawi, jakie postępy zrobili inspektor Nash i melancholijny Graves.

— Dziś własne mija tydzień od śmierci pani Symmington — zauważyła Joanna. — Przypuszczam, że do tej pory wpadli już na jakiś ślad, wykryli odciski palców, zbadali charakter pisma czy coś w tym rodzaju.

Odpowiedziałem jakoś nie bardzo przytomnie. Gdzieś w podświadomości zaczął się we mnie rodzić dziwny niepokój. Łączył się on wyraźnie ze słowami Joanny: „Dziś właśnie mija tydzień”. Powiniennem wcześniej wpaść na to. Być może, że już wówczas powziąłem podejrzenia, w każdym razie zaczął się już ferment w moim umyśle. Niepokój wzrastał, wypełniał mi już cały mózg.

Joanna zorientowała się nagle, że nie słucham jej opowiadania o jakimś zabawnym spotkaniu w miasteczku.

— O czym myślisz, Jerry?

Nie odpowiedziałem, ponieważ w moim mózgu wydarzenia zaczęły się układać jak części łąmigłówki. Samobójstwo pani Symmington... Owego popołudnia była w domu sama... sama, bo służba miała ten dzień wolny... właśnie tydzień temu... dokładnie tydzień...

— Jerry, o co... Przerwałem jej:

— Joanno, służba zwykle ma wychodne raz w tygodniu, tak?

— I co drugą niedzielę wolną — odpowiedziała Joanna. — Ale co to ma...

— Nie chodzi mi o niedzielę... Te wolne dni wypadają w ten sam dzień tygodnia?

— Tak, przeważnie tak.

Joanna patrzyła na mnie zdziwiona. Myśli jej nie nadały za moimi.

Przeszedłem przez pokój, by zadzwonić, i po chwili zjawiała się pani Partridge.

— Niech mi pani powie — odezwałem się — ta Agnieszka Woddell gdzieś pracuje?

— Tak jest, proszę pana. U pani Symmington, to jest chciałam powiedzieć, że teraz u pana Symmingtona.

Zaczerpnąłem głęboko tchu. Rzuciłem okiem na zegar. Była godzina dziesiąta trzydzieści.

— Czy o tej porze Agnieszka powinna już być w domu?

Pani Partridge najwidoczniej nie podobało się moje pytanie.

— Tak jest, proszę pana. Dziewczęta muszą być w domu o dziesiątej. U państwa Symmingtonów panują dawne zwyczaje.

— Pójdę zatelefonować — postanowiłem nagle.

Wyszedłem do holu, a za mną Joanna i pani Partridge. Było widać, że pani Partridge jest wściekła, a Joanna znudzona. Gdy nakręciłem numer Symmingtonów, Joanna spytała:

— Co masz zamiar zrobić, Jeny?

— Chcę się upewnić, że Agnieszka wróciła cało do domu.

Pani Partridge parsknęła. Po prostu parsknęła, nic więcej. Mnie jednak figę obchodziło parskanie pani Partridge. Na drugim końcu drutu usłyszałem głos Elsie Holland.

— Przepraszam, że tak późno dzwonię. Tu mówi Jeny Burton. Czy jest w domu... to jest, czy Agnieszka już wróciła do domu?

Dopiero wypowiedziawszy te słowa, zorientowałem się, że postępuję jak idiota. Bo jeżeli dziewczyna wróciła i wszystko jest w porządku, to jak, u diabła, wytłumaczę moje pytanie. Sto razy lepiej, gdyby Joanna zatelefonowała, chociaż i wtedy należałoby to w jakiś sposób upozorować. Czułem już nową falę plotek w Lymstock, w których role bohaterów będziemy odgrywać ja i Agnieszka. Elsie Holland była bardzo zaskoczona moim pytaniem, czemu zresztą nie można się dziwić.

— Agnieszka? O, z pewnością już jest w domu. Poczułem się bardzo głupio, brnąłem jednak dalej:

— Czy nie zechciałaby pani jednak sprawdzić, czy na pewno wróciła?

Jedno trzeba przyznać guwernantkom: jeżeli im się poleci coś zrobić, to na pewno zrobią, nie zastanawiając się dlaczego. Toteż Elsie Holland odłożyła słuchawkę i posłusznie odeszła. Po kilku minutach znowu usłyszałem jej głos:

— Jest tam pan jeszcze? Halo!

— Tak, słucham!

— Prawdę powiedziawszy, Agnieszki jeszcze nie ma.

Wszystko było już dla mnie jasne. Wiedziałem, że przeczucie mnie nie omyliło. Po chwili słuchawkę wziął sam pan Symmington.

— Halo, pan Burton? O co chodzi?

— Czy pańska służąca, Agnieszka, jeszcze nie wróciła?

— Nie, jeszcze nie. Właśnie panna Holland chodziła sprawdzić. Ale o co panu chodzi? Czy się coś stało?

— Nie, nic się nie stało — odpowiedziałem.

— Czy pan ma jakieś podstawy, by przypuszczać, że Agnieszce coś się stało?

— Wcale bym się nie dziwił — odpowiedziałem ponuro.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bardzo źle spałem tej nocy. Mam wrażenie, że nawet we śnie poszczególne kawałki łamigłówek układały się w moim mózgu. Jestem przekonany, że gdybym się wówczas bardziej zastanowił, mógłbym rozwiązać cały problem. W przeciwnym bowiem razie, dlaczego te fragmenty tak się uparcie wiązały?

Co my w ogóle wiemy? Znacznie więcej, aniżeli wiemy, że wiemy. Nie możemy jednak przebić się aż do tej podziemnej prawdy. Tkwi gdzieś, ale nie możemy jej osiągnąć.

Leżałem w łóżku, przewracając się z boku na bok, i tylko te niewyraźne kawałki łamigłówek dręczyły mnie bez przerwy.

Musi być przecież jakiś schemat. Żebym tylko zdołał go uchwycić! Powinienem wiedzieć, kto pisał te przeklęte listy. Wiem, że gdzieś jest ślad — żebym tylko potrafił pójść po nim...

Gdy zapadłem w sen, w mózgu moim tańczyły i dręczyły mnie słowa: „Nie ma dymu bez ognia”. Nie ma ognia bez dymu. Dymu... dymu? Zastłona dymna... Nie, to było na wojnie, to wojenne wyrażenie. Wojna. Świstek papieru... mały świstek papieru... Belgia, Niemcy...

Wreszcie zasnąłem. Śniło mi się, że szedłem z panią Dane–Calthrop, która naraz zamieniła się w charta, ja zaś prowadziłem ją na smyczy.

Obudził mnie dzwonek telefonu. Uparty dzwonek. Usiadłem w łóżku i spojrzałem na zegarek. Była siódma trzydzieści. Dzwonek dzwonił uparcie na dole w holu. Wyskoczyłem z łóżka, narzuciłem szlafrok i zbiegłem na dół. Prześcignąłem o włos panią Partridge, która wchodziła właśnie do holu przez drzwi wiodące z kuchni. Ująłem słuchawkę.

— Halo?

— Och...! — Usłyszałem jakby westchnienie ulgi. — To pan?

Głos Megan był jakiś nieopisanie nieszczęśliwy i wystraszony.

— Och, błagam... niech pan przyjdzie... Niech pan przyjdzie zaraz...! Dobrze?

— Zaraz przychodzę — odpowiedziałem. — Słyszysz mnie pani? Zaraz!

Pędząc po dwa schody na raz wpadłem do sypialni Joanny.

— Słuchaj, Joanno, lecę do Symmingtonów! Joanna uniosła swoją jasną głowę z poduszki i przetarła oczy ruchem małego dziecka.

— Po co? Co się stało?

— Nie mam pojęcia. Dzwoniła ta mała Megan. Zdaje się, że jest zupełnie rozklejona...

— Co się tam mogło stać?

— Może się mylę, ale chyba to chodzi o Agnieszkę.

Gdy już byłem w drzwiach, Joanna zawołała za mną:

— Poczekaj! Już wstaję! Zawiozę cię!

— Nie potrzeba, sam pojedę!

— Nie możesz przecież prowadzić auta!

— Kto powiedział, że nie mogę? Właśnie, że mogę! I pojechałem. Bolał mnie krzyż, ale nie tak znowu bardzo. Umyłem się, ogoliłem, ubrałem, wyprowadziłem wóz i pojechałem do Symmingtonów. Wszystko razem... w pół godziny. Nieźle!

Megan widocznie już czekała na mnie, bo zaraz wybiegła z domu i chwyciła mnie za rękaw. Jej biedna, mała twarzyczka była biała, a ręce drżały.

— Och, jak to dobrze, że pan przyjechał!

— Niech się pani opanuje, głuptasku — rzekłem. — Tak, jestem! A teraz proszę mi spokojnie powiedzieć, o co chodzi?

Zaczęła się cała trząść jak osika. Objąłem ją ramieniem.

— Ja... ja ją znalazłam...

— Kogo pani znalazła! Agnieszkę? Gdzie? Drzenie stało się jeszcze wyraźniejsze.

— Pod schodami... tam jest taka szafa, a w niej wędki, kije do golfa i inne rupiecie, już pan wie.

Skinąłem głową, normalna szafa w przedpokoju. Megan ciągnęła dalej:

— Ona była w szafie... cała skurczona i... i z i m— n a! Taka strasznie zimna! Była... była nieżywa, wie pan?

— A dlaczego pani tam zaglądała? — spytałem zdziwiony.

— Nnnie wiem... pan telefonował wieczorem. I wszyscy zaczęliśmy się dziwić, co mogło się przytrafić Agnieszce. Trochę jeszcze czekaliśmy, a kiedy nie wracała, położyliśmy się spać. Nie mogłam zasnąć i wstałam bardzo wcześnie. Tylko Rózia, wie pan, nasza kucharka, była już na nogach. Złościła się, że Agnieszka jeszcze nie wróciła, i mówiła, że tam, gdzie przedtem służyła, pokojówka zrobiła jej kiedyś taki sam kawał. Napiłam się trochę mleka i zjadłam w kuchni kawałek chleba z masłem, a potem nagle wróciła Rózia z bardzo dziwnym wyrazem twarzy i powiedziała, że wszystkie rzeczy, w których Agnieszka normalnie wychodziła, są w jej pokoiku. Jej najlepsze ubranie. A ja zaczęłam się zastanawiać, czy Agnieszka w ogóle wychodziła z domu, i rozglądałam się wszędzie za nią, i w pewnej chwili... otworzyłam szafę w przedpokoju i... i... ona tam była...

— Przypuszczam, że ktoś od razu dał znać na policję? — spytałem.

— Tak, policja już jest. Ojczym zaraz zawiadomił posterunek, a potem... potem czułam, że już nie wytrzymam dłużej i... zadzwoniłam do pana. Nie gniewa się pan na mnie?

— Nie — odpowiedziałem krótko. — Nie gniewam się. Popatrzyłem na nią i po chwili zapytałem:

— Czy potem, jak pani ją znalazła, dał ktoś pani napić się wódki albo kawy, albo chociażby herbaty?

Przeklinałem w duchu całe gospodarstwo Symmingtonów. Ta wypchana kukła, Symmington, nie myślał o niczym innym, tylko o policji. Ani Elsie Holland, ani kucharka nie pomyślały o tym, jakie wrażenie musiało zrobić na wrażliwej dziewczynie jej straszliwe odkrycie.

— Chodźmy, maleńka — powiedziałem. — Pójdziemy do kuchni.

Obeszliśmy dom dookoła, aż do tylnych drzwi i tędy do kuchni. Przy piecu kuchennym siedziała Rózia, tęga, pucółowata kobieta lat około czterdziestu, i piła mocną herbatę. Powitała nas potokiem słów, przyciskając rękę do serca. Zaczęła wyrzekać, że czuje się fatalnie, że ma szalone palpacje, że przecież i ona tak samo mogła być zamordowana, że w ogóle każdy w tym domu mógł być zamordowany w łóżku i wpakowany do szafy.

— Proszę dać panie Megan szklanekę mocnej herbaty — powiedziałem. — Chyba pani sama widzi, że był to dla niej ogromny wstrząs. Proszę nie zapominać, że to ona właśnie znalazła ciało...!

Sama wzmianka o ciele omal nie przyprawiła kucharki o atak hysterii, udało mi się jednak ujarzmić ją ponurym spojrzeniem, tak że wreszcie nalała szklanekę płynu czarnego jak atrament.

— Proszę to wypić, młoda kobieto! — powiedziałem do Megan. — I to zaraz! Nie ma tu gdzie przypadkiem trochę wódki? — Zwróciłem się do kucharki.

Rózia odpowiedziała trochę niepewnie, że może i zostało tam parę kropli wódki od budyniu jeszcze od Bożego Narodzenia.

— To wystarczy — rzekłem i wlałem trochę alkoholu do herbaty przygotowanej dla Megan. Po oczach Rózi widziałem, że uznała to za bardzo szczęśliwy pomysł.

Zapowiedziałem Megan, że ma pozostać w kuchni z Rózia.

— Czy mogę być spokojny, że pani zaopiekuje się panną Megan? — spytałem. Rózia chętnie się zgodziła.

Wróciłem tą samą drogą i wszedłem od frontu. Jeżeli orientowałem się w typach podobnych do kucharki Rózi, byłem pewien, że niebawem odczuje potrzebę przekąszenia czegoś dla nabrania sił, co będzie korzystne także dla Megan. Do licha z tą całą bandą! Dlaczego nie zajmą się tym biednym dzieckiem?

Kipiąc ze złości, natknąłem się w holu na Elsie. Nie zdziwiła się moim widokiem. Przypuszczam, że ponure odkrycie znieczuliło wszystkich mieszkańców na to, co się dookoła dzieje. Przy drzwiach wejściowych stał policjant, Bert Rundle.

Elsie powiedziała, chwytając z trudem powietrze:

— Ach, proszę pana, czy to nie okropne? I kto mógł dopuścić się czegoś tak straszego?

— Więc to morderstwo? — spytałem.

— O tak! Uderzono ją w tył głowy. Tyle koło niej krwi i włosów...! Och, okropne! I taka skulona w tej szafie...: Kto mógł to zrobić? I dlaczego? Biedna Agnieszka! Jestem pewna, że nigdy nie zrobiła nikomu najmniejszej krzywdy.

— Rzeczywiście, że nie. Ktoś uniemożliwił jej zrobienie czegokolwiek w życiu...

Spojrzała na mnie zdziwiona. Pomyślałem w duchu, że nie jest specjalnie bystra, ale ma silne nerwy. Na twarzy jej widniały kolory, jak zwykle, może tylko nieco żywsze z podniecenia. Przyszło mi na myśl, że w pewien makabryczny sposób i wbrew wrodzonej dobroduszości pasjonuje ją to wszystko. Po chwili powiedziała, jak gdyby się uniewinniając:

— Muszę teraz zajrzeć do chłopców. Pan Symmington tak się obawia, żeby to nie zrobiło na nich zbyt wielkiego wrażenia. Chce, abym zabrała ich stąd.

— Słyszę, że to Megan znalazła ciało — rzekłem. — Przypuszczam, że ktoś się nią zajął?

Muszę powiedzieć na usprawiedliwienie Elsie Holland, że wyglądała w tej chwili, jak gdyby naprawdę zagryzła ją sumienie.

— O, Boże! — zawołała. — Zupełnie o niej zapomniałam! Mam nadzieję, że czuje się dobrze? Wie pan, jestem ciągle w takim młynie... a tu policja i wszystko na raz! Ale to straszne z mojej strony, nie do darowania! Biedne dziecko, musi się czuć fatalnie! Zaraz jej poszukam!

Rozbroiła mnie tymi słowami.

— Nic jej na razie nie brakuje — odpowiedziałem. — Różia się nią zajęła. Niech pani biegnie do chłopców.

Podziękowała mi, ukazując w uśmiechu białe zęby podobne do płyt nagrobkowych i pobiegła na górę. Bądź co bądź obowiązkiem jej było zajmowanie się chłopcami, a nie Megan... nią i tak nikt się nie zajmował. Elsie płacono za opiekę nad bębnami Symmingtonów, nie można jej więc było brać za złe, że myślała przede wszystkim o nich.

Kiedy jeszcze raz mignęła mi na zakręcie schodów, zaparło mi dech w piersiach. Przez moment znowu ujrzałem „Uskrzydłone Zwycięstwo”, nieśmiertelną, nieopisanie piękną boginię, a nie sumienną guwernantkę do dzieci. Po chwili otworzyły się jakieś drzwi i do holu wszedł inspektor Nash, a tuż za nim pan Symmington.

— O, pan Burton! — zwołał inspektor. — Właśnie miałem do pana telefonować. To dobrze, że pana widzę!

Nie dowiadywał się, skąd się wziąłem, lecz odwrócił głowę i spytał Symmingtona:

— Jeżeli można, to skorzystam z tego pokoju. — Tu wskazał niewielki pokój, którego okno wychodziło na front domu.

— Oczywiście, oczywiście...

Symmington trzymał się zupełnie dobrze, wyglądał tylko na strasznie zmęczonego. Inspektor Nash rzekł do niego łagodnie:

— Radziłbym panu zjeść śniadanie. Zarówno pan, jak panna Holland i panna Megan będziecie się czuć znacznie lepiej po kawie i jajkach z szynką. Morderstwo to kiepska sprawa na pusty żołądek.

Przemawiał pełnym perswazji tonem domowego lekarza. Symmington próbował się uśmiechnąć i powiedział:

— Dziękuję panu, inspektorze, zastosuję się do pańskiej rady.

Wszedłem razem z inspektorem do małego pokoiku, po czym on zamknął drzwi i zwrócił się do mnie:

— Pan się tu znalazł bardzo prędko. Jak się pan dowiedział o wypadku?

Odpowiedziałem, że Megan po mnie zatelefonowała. Byłem nastrojony życzliwie do inspektora Nasha, bo przynajmniej on jeden pamiętał, że i Megan też powinna coś zjeść.

— Mówiono mi, że pan telefonował wczoraj wieczorem, dopytując się o tę dziewczynę. Dlaczego?

Rzeczywiście, mogło się to wydawać dziwne. Opowiedziałem mu więc o telefonie Agnieszki do naszej gospodyni i o niezjawieniu się potem.

— Ach tak! Rozumiem... — rzekł inspektor. Powiedział to powoli, z namysłem, gładząc dłonią podbródek. Następnie westchnął: — No cóż? To morderstwo, najoczywistsze morderstwo. Chodzi tylko o to, co ta dziewczyna wiedziała? Czy mówiła coś na ten temat do owej Partridge? Coś konkretnego?

— Nie sądzę, ale może pan spytać panią Partridge.

— Tak. Jak tylko skończę tutaj, pójdę do państwa i przesłucham ją.

— Ale co się właściwie stało? — spytałem. — A może pan jeszcze nie wie?

— Tak mniej więcej. Miały wolny dzień...

— Obydwie?

— Tak. Zdaje się, że przedtem były tu dwie siostry, które lubiły zawsze mieć razem wychodne, więc pani Symmington się na to zgodziła. A potem, kiedy przyszły te dwie inne, utrzymała ten sam zwyczaj.

Zostawiały zwykle w jadalnym na stole zimną kolację, a panna Holland przygotowywała herbatę.

— Rozumiem.

— Wszystko jest zupełnie jasne, aż do pewnego punktu. Kucharka, Różia, pochodzi z Nether Mickford, i żeby się tam dostać w swój wolny dzień, musi zdążyć na autobus o drugiej trzydzieści. Dlatego Agnieszka zawsze sprzątała po lunchu, natomiast Różia po powrocie zmywała talerze i naczynia po kolacji, żeby w ten sposób zrewanżować się Agnieszce. Tak samo było i wczoraj. Różia wyszła, żeby złapać autobus o pół do trzeciej, a Symmington wyszedł do biura dwadzieścia pięć minut przed trzecią. Elsie Holland poszła z chłopcami na spacer za kwadrans trzecia. Mniej więcej pięć minut później Megan wyjechała na rowerze. Agnieszka została w domu sama. O ile się orientuję, zwykle wychodziła z domu między trzecią a pół do czwartej.

— I wtedy w całym domu nie było nikogo?

— O, tutaj nikt się o to nie martwi, tu nie ma zwyczaju zamykania drzwi na klucz. Jak więc powiedziałem, dziesięć minut przed trzecią Agnieszka była sama w domu. Że w ogóle z domu nie wychodziła, to zupełnie pewne, ponieważ w chwili, kiedy znaleziono ciało, miała na sobie czepek i fartuszek.

— Przypuszczam, że można z grubsza określić godzinę zgonu?

Doktor Griffith nie mógł tego ustalić ściśle, ale jego oficjalne orzeczenie lekarskie brzmi: między drugą a czwartą trzydzieści.

— W jaki sposób ją zamordowano?

— Najpierw ją ogłuszono uderzeniem w tył głowy, a potem zwyczajny kuchenny szpikulec do mięsa, mocno na końcu zaostrojony, wbity w podstawę czaszki spowodował natychmiastową śmierć.

Zapaliłem papierosa. Nie był to piękny obraz.

— Morderstwo z premedytacją — zauważyłem.

— Tak... wszystko by na to wskazywało. Wciągnąłem głęboko powietrze.

— Ale kto to zrobił? — spytałem. — I dlaczego?

— Nie przypuszczam, że się kiedykolwiek dowiemy tego z całą pewnością. Możemy się tylko domyślać.

— Czy sądzi pan, że coś wiedziała?

— Tak, z pewnością.

— I nikomu o tym nie wspomniała?

— O ile się dotychczas mogłem zorientować, to nikomu. Kucharka twierdzi, że od śmierci pani Symmington Agnieszka była jakaś nieswoja i przygnębiona; jej niepokój i zdenerwowanie stale wzrastały i wreszcie powiedziała, że sama nie wie, co teraz powinna zrobić. Tak przynajmniej powiada Różia. — Inspektor westchnął zafrasowany. — I to zawsze tak jest... Nigdy nie przyjdą

wprost do nas. W tych ludziach tkwi głęboko ten głupi przesąd, żeby za wszelką cenę nie mieć nic do czynienia z policją. A przecież, gdyby przyszła i zwierzyła się ze swoich kłopotów, żyłaby do dzisiaj...

— I ani słówkiem nie napomknęła o tym tej drugiej dziewczynie?

— Nie, przynajmniej Rózia twierdzi, że nie, i jestem skłonny jej wierzyć. Gdyby bowiem coś powiedziała, Rózia nie omieszkałaby z tym wyjechać, dodawszy jeszcze od siebie mnóstwo upiększeń.

— To naprawdę można zwariować — powiedziałem. — Żeby tak nic a nic nie wiedzieć?

— Jak już zaznaczyłem, możemy się tylko domyślać. Przede wszystkim nie musiało to być nic określonego. Raczej coś, nad czym się rozmyśla i rozmyśla, a w miarę tego rośnie niepokój. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Tak.

— Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że wiem, co to takiego było.

Spojrzałem na niego z szacunkiem.

— Dobra robota, inspektorze!

— Widzi pan, bo ja wiem coś, o czyni pan nie wie, a mianowicie o popołudniu, kiedy pani Symmington popełniła samobójstwo, przypuszczając, że obie dziewczyny były nieobecne, gdyż miały wolny dzień. Tymczasem Agnieszka wróciła do domu bardzo niedługo po wyjściu.

— Wie pan to na pewno?

— Tak. Agnieszka miała chłopca, młodego Rendella ze sklepu z rybami. We środę sklep zamyka się wcześniej, chłopiec więc przychodził zawsze po Agnieszkę, potem chodzili razem na spacer, a jeżeli padał deszcz, to do kina. Owej pamiętnej środy Agnieszka pokłóciła się ze swoim chłopcem zaraz, jak tylko się spotkali. Nasz autor anonimów maczał tutaj palce, sugerując, że Agnieszka ma kogoś innego, i Fred Rendell był wściekły. Doszło do ostrej wymiany zdań, gwałtownej kłótni i Agnieszka szybko wróciła do domu, zapewniając, że nie wyjdzie, dopóki Fred jej nie przeprosi.

— No i co dalej?

— Widzi pan, kuchnia wychodzi na tył domu, ale okna spiżarni wychodzą tak jak tu, gdzie teraz jesteśmy. Jest tylko jedna furtka, przez którą albo idzie się prosto do wejścia frontowego, albo dróżką koło domu, do drzwi kuchennych.

Na chwilę przerwał, a potem ciągnął dalej:

— A teraz jeszcze coś panu powiem. List, który otrzymała pani Symmington, nie nadszedł pocztą. Naklejono na kopertę używany znaczek pocztowy, a stempel sfalszowano całkiem nieźle za pomocą

sadzy, tak że wyglądało, jakby list został doręczony przez listonosza popołudniową pocztą. Ale w rzeczywistości list nie przyszedł pocztą. Rozumie pan, co to znaczy?

Odpowiedziałem wolno, zastanawiając się nad każdym słowem:

— To znaczy, że list został przyniesiony przez kogoś osobiście i wrzucony do skrzynki na krótko przed roznoszeniem poczty popołudniowej, tak aby się znalazł wśród innych listów.

— Otóż właśnie! Poczta popołudniowa jest roznoszona mniej więcej kwadrans przed czwartą. Moja teoria brzmi więc następująco: dziewczyna siedziała w spiżarni, wyglądając przez okno i czekała na swego chłopca, myśląc, że przyjdzie ją przeprosić...

— I zobaczyła osobę, która wrzuciła list? — spytałem podniecony.

— Tak się domyślam, chociaż mogę się, oczywiście, mylić.

— Mam wrażenie, że się pan nie myli, inspektorze! To zupełnie proste i przekonujące rozumowanie... i to znaczy, że Agnieszka wiedziała, kto jest autorem anonimów?

— Tak.

— Ale wobec tego, dlaczego... — przerwałem, marszcząc brwi.

Nash zaś powiedział szybko:

— Tak jak ja sobie wyobrażam, Agnieszka nie zdawała sobie sprawy z tego, co zobaczyła. Przynajmniej na razie nie. Ktoś wrzucił list do skrzynki, owszem, ale ten ktoś nie był absolutnie osobą, którą by podejrzewała o pisanie anonimów. A zatem ktoś stojący absolutnie ponad wszelkimi podejrzeniami! Im bardziej jednak zastanawiała się nad tym, tym bardziej rósł jej niepokój. A może powinna była komuś o tym powiedzieć? W tej rozterce przychodzi jej na myśl owa Partridge od panny Emilii Barton, która jak mi się zdaje, ma wybitną indywidualność i której zdanie Agnieszka ceni i przyjmuje bez wahania; Decyduje się więc spytać o radę panią Partridge.

— Tak jest — rzekłem zamyślony. — Wszystko się zgadza. A „Zatrute Pióro” w jakiś sposób dowiedziało się o tym. Ale w jaki, inspektorze, w jaki?

— Pan nie orientuje się w prowincjonalnych stosunkach. To po prostu nie do wiary, jak tutaj się wszystko szybko rozchodzi. Po pierwsze, ta rozmowa telefoniczna. Kto mógł ją słyszeć u pana?

Zastanowiłem się chwilę.

— Najpierw ja sam wziąłem słuchawkę... potem zawołałem na panią Partridge, żeby zeszła na dół.

— Wymieniając nazwisko dziewczyny?

— Owszem.

— I kto to słyszał?

— Mogła słyszeć moja siostra albo panna Griffith.

— Aha, panna Griffith... co robiła u państwa?

Wy tłumaczyłem mu.

— Czy wracała potem do miasteczka?

— Miała jeszcze przedtem wstąpić do pana Pye.

Inspektor Nash westchnął głęboko.

— Tak więc wiadomość mogła się rozejść dwiema drogami.

— Czy pan sądzi, że panna Griffith albo pan Pye zawracaliby sobie głowę powtarzaniem jakiejś głupiej informacji? — spytałem z niedowierzaniem.

— W takiej dziurze jak ta wszystko jest ciekawe. Nie uwierzyłby pan, ale jeżeli matka krawcowej ma bolesny odcisk, wszyscy się o tym natychmiast dowiadują. Teraz pomyślmy, kto był po drugiej stroni telefonu. Panna Holland, Różia — one też mogły słyszeć, co mówiła Agnieszka. A mamy jeszcze przecież Freda Rendella. Może to od niego ktoś się dowiedział, że Agnieszka tamtego popołudnia wróciła zaraz do domu?

Przeszył mnie lekki dreszcz. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem przed sobą kwadrat trawnika, ścieżkę i niską, ozdobną furtkę. Więc ktoś musiał otworzyć furtkę, poszedł spokojnie w kierunku domu i wrzucił list do skrzynki w drzwiach. Oczami wyobraźni widziałem niewyraźny zarys kobiecej postaci. Twarz tonęła w mroku, ale musiała to być twarz mi znana. Inspektor Nash ciągnął dalej:

— Niemniej krąg się zwięża. I właśnie w ten sposób w końcu schwytemy przestępcę. Ustawiczna, cierpliwa eliminacja. Niewielka liczba osób wchodzi tu w grę.

— Sądzi pan, że...

— Należy wykluczyć wszystkie urzędniczki, które pracowały wczoraj po południu. Wykluczam też nauczycielkę, bo miała wtedy lekcje. I pielęgniarkę; wiem, gdzie wczoraj była zajęta. Nie znaczy to bynajmniej, że w ogóle podejrzewałem którąś z tych osób, ale dzięki temu jesteśmy pewni, że to żadna z nich. Widzi pan, obecnie koncentrujemy całą uwagę na dwu okresach: na wczorajszym popołudniu i na popołudniu tydzień temu. W dniu śmierci pani Symmington, powiedzmy, od kwadrans po trzeciej (najwcześniejszy możliwy termin, kiedy Agnieszka po swojej kłótni mogła wrócić do domu) do godziny czwartej, kiedy musiała już przyjść popołudniowa poczta — co jednak muszę jeszcze dokładniej ustalić z listonoszem. Wczoraj zaś od godziny za dziesięć trzecia, kiedy panna Megan wyszła z domu, do trzeciej trzydzięci, a dokładniej mówiąc do trzeciej piętnaście, kiedy to Agnieszka jeszcze nie zaczęła się przebierać do wyjścia.

— A jak pan przypuszcza, co się stało wczoraj? Nash się skrzywił.

— Otóż przypuszczam, że pewna dama podeszła do drzwi frontowych i zadzwoniła spokojnie, z uśmiechem, jak zwykły gość... Może zapytała o pannę Holland albo o pannę Megan, a może przyniosła jakąś paczkę? W każdym razie Agnieszka odwróciła się po tacę do listów albo żeby odłożyć paczkę, a wtedy nasza dama uderzyła ją w tył głowy...

— Ale czym?

— Tutejsze panie noszą przeważnie spore torebki. Nie wiadomo, co się może w nich znajdować — odpowiedział Nash.

— A potem wbija jej szpikulec w tył głowy i ciągnie do szafy? Czy to nie za trudne dla kobiety?

Inspektor Nash spojrzał na mnie trochę dziwnie.

— Kobieta, której poszukujemy, to nie jest normalna kobieta, a tego rodzaju zachwianie równowagi umysłowej idzie zazwyczaj w parze z zadziwiającą siłą fizyczną. A poza tym Agnieszka nie była wysoka... — przerwał i po chwili dodał: — Czy nie wie pan, co skłoniło pannę Hunter do zajrzenia do szafy?

— Po prostu instynkt, zwyczajny instynkt — odpowiedziałem. — Dlaczego jednak ukryto ciało w szafie? Jaki był tego cel?

— Im później odkryto by ciało, tym trudniej byłoby ustalić godzinę zgonu. Gdyby, na przykład, panna Holland natknęła się na ciało natychmiast po powrocie ze spaceru, każdy doktor mógłby określić czas zgonu z dokładnością mniej więcej do dziesięciu minut. To byłoby bardzo niewygodne dla naszej damy.

— Ale jeżeli Agnieszka miała jakieś podejrzenia w stosunku do tej osoby, to... — zacząłem, ale Nash mi przerwał:

— Nie miała żadnych podejrzeń. Przynajmniej żadnego konkretnego podejrzenia. Po prostu uważała, że coś jest „dziwne”. Nie była, zdaje się, specjalnie bystra i podejrzenia jej były bardzo niejasne, przeczuwała, że coś nie jest tak, jak powinno być. Z całą pewnością jednak nie myślała, że stoi przed kobietą, która mogłaby ją zamordować.

— Czy domyślał się pan, że może się stać coś podobnego? — zapytałem.

Nash potrząsnął głową, a potem odpowiedział, poruszony:

— Powiniennem był przewidzieć. To samobójstwo, wie pan, przestraszyło „Zatrute Pióro”. Poczuli, że może być niedobrze. Strach, proszę pana, jest uczuciem zupełnie nieobliczalnym...

— Tak, strach... To właśnie powinniśmy byli przewidzieć. Strach w umyśle szaleńca...

— Widzi pan — rzekł inspektor Nash i słowa jego nadały całej sprawie jakiś okrutny sens. — Mamy do czynienia z kimś zajmującym poczesne miejsce w tutejszym świątku towarzyskim...

Inspektor Nash oświadczył, że pragnie jeszcze raz przesłuchać Rózię.

Zapytałem go niepewnie, czy i ja mogę z nim pójść i być obecny przy przesłuchaniu. Ku memu zdziwieniu chętnie się na to zgodził.

— Bardzo się cieszę, że pan chce z nami współpracować, jeżeli się tak mogę wyrazić...

— To brzmi trochę podejrzanie — odpowiedziałem. — W powieściach kryminalnych, jeżeli detektyw prosi kogoś o współpracę, to ten ktoś na pewno okaże się potem mordercą...

Nash parsknął śmiechem.

— Pan zupełnie nie wygląda na człowieka pisującego listy anonimowe — rzekł, a po chwili dodał poważnie: — Jeżeli mam być szczery, to może pan nam być bardzo pomocny.

— Bardzo mnie to cieszy, chociaż przyznam się, że zupełnie nie widzę, w jaki sposób mógłbym pomóc policji.

— Chociażby przez to, że pan jest tutaj zupełnie obcy. Nie urobił pan sobie z góry opinii o nikim z tutejszych ludzi. A równocześnie miał pan okazję zapoznać się z pewnymi sprawami na płaszczyźnie, że tak powiem, towarzyskiej.

— Powiedział pan, że morderca zajmuje poczesne miejsce w tutejszym świecie towarzyskim — mruknąłem.

— Właśnie...

— Mam więc być czymś w rodzaju detektywa?

— Ma pan jakieś obiekcje?

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Nie — odpowiedziałem w końcu — szczerze mówiąc nie mam. Jeżeli grasuje na tym terenie niebezpieczny szaleniec, popychający bezbronne kobiety do samobójstw i zadający biednym służącym cios w głowę, to nie cofnę się przed żadną robotą, która ma na celu unieszkodliwienie tego szaleńca.

— Bardzo słuszne rozumowanie. I niech mi pan wierzy, że osoba, której poszukujemy, jest bardzo niebezpieczna. Prawie tak samo niebezpieczna, jak grzechotnik, kobra i czarna mamba razem wzięte.

Poczułem lekki dreszcz na plecach.

— Właściwie, to powinniśmy się bardzo śpieszyć — powiedziałem.

— Ma pan rację. Ale niech pan nie myśli, że policja nic nie robi. Przeciwnie, pracujemy w kilku kierunkach równocześnie. — Powiedział to raczej chmurnie.

Zamajaczyła mi przed oczami wizja cienkiej, gęsto rozsnutej pajęczyny...

Nash dlatego chciał przesłuchać Rózię jeszcze raz, że, jak mi wyjaśnił, opowiedziała mu już dwie różne wersje, a im więcej tych wersji od niej usłyszysz, tym bardziej zwiększy możliwość odnalezienia kilku ziarenek prawdy.

Zastaliśmy Rózię zajętą zmywaniem naczyń po śniadaniu. Na nasz widok od razu przerwała pracę, chwyciła się za serce i oznajmiła, że od samego rana czuje się wprost fatalnie.

Nash był w rozmowie z nią cierpliwy, lecz stanowczy. W czasie pierwszego przesłuchania zachowywał się raczej uspokajająco, przy drugim był stanowczy, a teraz stosował mieszaninę obydwu poprzednich taktyk.

Różia z widoczną przyjemnością rozwodziła się nad wypadkami ubiegłego tygodnia, opowiadała o tym, jak — Agnieszka chodziła ciągle wystraszona, cała drżąca i mówiła: „Proszę mnie o nic nie pytać”, kiedy Różia nalegała, by wyznała, co ją dręczy. „Jeżeli powiem, to grozi mi śmierć”, oto jej słowa, zakończyła Różia, spoglądając dookoła rozpromienionym wzrokiem.

— A czy Agnieszka przypadkiem nie wspominała, co jej dolega?

— Nie, z wyjątkiem tego, że bała się o swoje życie.

Inspektor Nash westchnął i przeszedł do szczegółowego przesłuchania Rózi, co robiła poprzedniego popołudnia.

Okazało się, że pojechała autobusem o drugiej trzydzieści i spędziła popołudnie i wieczór z rodziną, po czym wróciła autobusem wychodzącym z Nether Mickford o ósmej czterdzieści. W skomplikowany sposób opowiadała, że w ciągu całego popołudnia nawiedzało ją silne przecucie nieszczęścia, tak że nawet jej siostra to zauważyła, i jak ona sama, nie była w stanie przełknąć ani kawałek ciasta z anyżkiem.

Z kuchni udaliśmy się na poszukiwanie Elsie Holland, która pilnowała dzieci przy odrabianiu lekcji. Elsie była, jak zwykle, usłużna i zaradna. Na nasz widok wstała i powiedziała do chłopców:

— No, Colin, teraz razem z Brianem przepiszę i dodacie te trzy sumy, a jak wrócę, odpowiedź ma już być gotowa.

Potem przeprowadziła nas do sypialni chłopców.

— Czy tu będzie dobrze? Może lepiej nie mówić o tym przy dzieciach.

— Dziękuję pani. Proszę mi po prostu jeszcze raz powiedzieć, czy pani nie przypomina sobie, żeby Agnieszka wspominała kiedyś o swych troskach? Chodzi mi o ten tydzień po śmierci pani Symmington?

— Nie, ani razu nie mówiła nic podobnego. To było bardzo ciche stworzenie i nie mówiła wiele.

— W przeciwieństwie do tej drugiej, prawda?

— Rzeczywiście, Rózia mówi o wiele za dużo. Muszę jej niekiedy zwracać uwagę za jej impertynencję.

— Czy pani nie zechciałaby mi teraz dokładnie opowiedzieć, co zaszło wczoraj po południu? Wszystko, co tylko pani pamięta.

— No więc, spożyliśmy jak zwykle lunch o pierwszej i trochę się śpieszyliśmy, nie pozwoliłam chłopcom mitrężyć. Zaraz, zaraz... Aha, potem pan Symmington udał się do biura, a ja pomagałam Agnieszce nakrywać do kolacji. Chłopcy wybiegli do ogrodu i byli tam dotąd, dopóki ich nie zabrałam na spacer.

— I dokąd pani z nimi poszła?

— Polną ścieżką w kierunku Combeacre. Chłopcom zachciało się łowić ryby. Zapomniałam wziąć przynętę i musiałam wrócić do domu.

— Która to mogła być godzina?

— Chwileczkę, niech się zastanowię... Wyszliśmy mniej więcej za dwadzieścia trzecia albo trochę później. Miała iść z nami i Megan, ale potem się rozmyśliła i pojechała na rowerze. Ma teraz bzika na punkcie jazdy rowerem.

— Która to mogła być godzina, gdy pani wróciła po przynętę? Czy wchodziła pani do domu?

— Nie, zostawiłam ją w oranżerii, tam w końcu ogrodu. Nie mam pojęcia, która to mogła być godzina. Może jakaś za dziesięć trzecia?

— Czy widziała pani przy tej okazji pannę Megan albo Agnieszkę?

— Nie, przypuszczam, że Megan musiała już przedtem wyjechać, a Agnieszki nie widziałam. W ogóle nie widziałam nikogo.

— A potem poszła pani z chłopcami na ryby?

— Tak, szliśmy brzegiem strumyka. Nic nie złowiliśmy. Prawie nigdy nic nie możemy złowić, ale chłopcy ogromnie lubią łowić ryby. Brian bardzo się zamoczył. Jak wróciliśmy, musiałam go przebierać.

— Czy we środy pani zajmuje się herbatą?

— Tak. Jest zawsze przygotowana dla pana Symmingtona w saloniku. Robię herbatę zaraz po jego powrocie do domu. Chłopcy i ja pijemy w szkolnym pokoju, no i Megan, oczywiście. W szafie na górze mam swoje własne przybory do herbaty.

— O której pani wróciła do domu?

— Za dziesięć piąta. Zabrałam chłopców na górę i zaczęłam przygotowywać herbatę. Kiedy pan Symmington przyszedł o piątej, zeszłam na dół, żeby mu ją podać, ale on powiedział, że woli wypić z nami na górze. Chłopcy bardzo się ucieszyli. Potem bawiliśmy się w łowy na dzikiego zwierza. Jak sobie pomyślę, że ta biedna dziewczyna przez cały ten czas już leżała martwa w szafie, to...

— Czy normalnie ktoś zagląda do tej szafy?

— O nie, tam się trzyma tylko rupiecie. Kapelusze i płaszcze wieszają się w małym schowku na prawo od drzwi wejściowych. Do tamtej szafy miesiącami nikt nie zagląda.

— Rozumiem. I po powrocie nie zauważyła pani nic niezwykłego, nic nienormalnego?

Niebieskie oczy rozwarły się szeroko.

— Nie, panie inspektorze, absolutnie nic. Wszystko było tak samo jak zwykle. I to właśnie jest takie straszne...

— A tydzień temu?

— Ma pan na myśli ten dzień, kiedy pani Symmington...?

— Tak.

— Ach, to było okropne! Okropne!

— Tak, tak, wiem. Wtedy także nie było pani całe popołudnie w domu?

— Tak. Jeżeli jest pogoda, to zawsze wychodzę z chłopcami po obiedzie na spacer. Lekcje odrabiamy rano. Pamiętam, że wtedy poszliśmy na wrzosowiska, bardzo daleko. Bałam się, że się spóźniłszy, bo podchodząc do furtki, zobaczyłam na drugim końcu ulicy pana Symmingtona wracającego z biura, a ja jeszcze nie nastawiłam czajnika. Tymczasem była dopiero za dziesięć piąta.

— Nie wchodziła pani na górę do pokoju pani Symmington?

— Nie. Nigdy do niej nie wchodziłam. Pani Symmington zwykle odpoczywała po lunchu. Miewała ataki newralgii, które ją męczyły przeważnie po jedzeniu. Doktor Griffith przepisał jej jakieś proszki. Zwykle leżała i starała się zasnąć.

Nash rzekł niedbale:

— Tak że nikt nie zanosił jej poczty na górę?

— Popołudniowej poczty? Nie. Zwykle wracając, zaglądałam do skrzynki, wyjmowałam listy i kładłam je na stoliku w holu. Ale bardzo często pani Symmington sama schodziła i zabierała pocztę. Nigdy się nie zdarzało, żeby spała przez całe popołudnie. Przeważnie była już na nogach trochę po czwartej.

— Nie podejrzewała pani nic złego, skoro tego popołudnia pani Symmington nie wstała o zwykłej porze?

— Ach, nie, nie...! Ani mi to do głowy nie przyszło. Pan Symmington wieszał właśnie płaszcz w holu, a ja powiedziałam: „Herbata jeszcze nie jest gotowa, ale woda za chwilę się zagotuje”. Na to on kiwnął głową i zawołał na górę: „Mona! Mona!”, a kiedy pani Symmington nie odpowiadała, poszedł na górę do jej sypialni... i musiał chyba przeżyć najokropniejszy wstrząs w życiu. Zawołał mnie, a kiedy przyszedłam, powiedział: „Niech pani zabierze dzieci”, a sam zaraz zatelefonował do doktora Griffitha. Zupełnie zapomnieliśmy o imbryku, tak że całe dno się wypaliło. O, Boże! To było okropne! A zdawała się taka szczęśliwa i wesoła jeszcze przy lunchu...!

— Co pani myśli o tym liście? — spytał Nash krótko.

— Och, uważam, że to podłe! Strasznie podłe! — odpowiedziała z oburzeniem Elsie.

— Oczywiście, oczywiście, ale nie o tym myślałem. Czy pani przypuszcza, że list mówił prawdę?

Elsie Holland rzekła stanowczo:

— Absolutnie nie! Pani Symmington była bardzo wrażliwa, niesłychanie wrażliwa. Zażywała mnóstwo środków uspokajających. I była przy tym bardzo, bardzo... przeczulona. — Elsie zarumieniła się. — Zetknięcie się z czymś tego rodzaju, z czymś brudnym, mogło być dla niej wielkim przeżyciem.

Nash chwilę milczał, a potem spytał:

— Czy i pani także otrzymała podobny list?

— Nie, żadnego!

— Naprawdę? Proszę — tu podniósł w górę rękę — proszę nie odpowiadać za prędko. Wiem, że nie są to przyjemne rzeczy. I czasem ludzie nie przyznają się, że je dostali. Ale dla nas to bardzo ważne, żeby znać prawdę. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że wszystko, co w nich napisane, to stek najnieprawdopodobniejszych kłamstw, nie potrzebuje się więc pani krępować...

— Ależ ja naprawdę nie dostałam żadnego listu, inspektorze! Zapewniam pana...!

Była oburzona, niemal bliska płaczu i jej zaprzeczenia brzmiały szczerze. Kiedy odeszła z powrotem do dzieci, Nash zbliżył się w zamyśleniu do okna.

— No i cóż! — rzekł. — Mówi, że nie dostała żadnego listu... Wygląda, że mówi prawdę.

— Jestem przekonany, że nie kłamała — odpowiedziałem.

— Hm... — rzekł Nash. — Chciałbym wiedzieć, dlaczego, u diabła, właśnie ona nie dostała żadnego anonimu? — Po chwili ciągnął dalej, zniecierpliwiony, a ja przyglądałem mu się w milczeniu. — Przecież to bardzo ładna dziewczyna, prawda?

— Powiedziałbym, że nawet więcej niż ładna.

— No, właśnie! Prawdę mówiąc, jest niezwykle przystojna. I młoda. Zdawałoby się, wymarzony typ dla autora anonimowych listów. Dlaczego zatem ją oszczędzono?

Potrząsnąłem głową.

— Wie pan, że to istotnie bardzo interesujące. Muszę zwrócić na tę okoliczność uwagę Graves — ciągnął dalej Nash. — Pytał właśnie, czy moglibyśmy mu wskazać kogoś, kto z całą pewnością nie dostał anonimu.

— To już druga taka osoba — wtrąciłem. — Niech pan nie zapomina o panie Emilii Barton.

Nash zaśmiał się cicho.

— Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co mówią kobiety, drogi panie. Panna Barton otrzymała anonim, i to niejeden!

— Skąd pan wie?

— Ta jej wierna jędza, u której mieszka, Florentyna Elford, powiedziała mi. Była niesłychanie oburzona. Zamordowałyby tego, co to wszystko napisał.

— Ale dlaczego panna Emilia twierdziła, że nie dostała żadnego listu?

— Przez delikatność uczuć... Styl listów nie jest wytworny. A mała panna Barton całe życie unikała wszystkiego, co ordynarne i niedelikatne.

— A co było w tych listach?

— To, co zwykle. Ale w jej wypadku po prostu śmieszne. Między innymi insynuacjami także to, że otruła starą matkę i siostry.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że grasuje tutaj niebezpieczna wariatka i my nie możemy wciąż wpaść na jej ślad? — spytałem z niedowierzaniem.

— Znajdziemy ją — rzekł inspektor Nash chmurnie. — Zobaczysz pan, że napisze na pewno o jeden list za dużo, a wtedy...

— Ależ, na litość boską, drogi panie! Przecież pan nie przypuszcza chyba, że w dalszym ciągu będzie teraz rozsyłała te listy! Po tym wszystkim...?!

— O tak, z pewnością. Widzi pan, ona teraz nie może już przestać. To chorobliwa namiętność. Listy będą przychodziły w dalszym ciągu. Zapewniam pana!

Zanim wyszedłem, odszukałem jeszcze Megan. Była w ogrodzie i wyglądała na zupełnie opanowaną. Przywitała mnie nawet wesoło. Zaproponowałem, żeby znowu wróciła do nas na kilka dni, na co po chwili wahania przecząco potrząsnęła głową.

— Bardzo dziękuję, ale myślę, że raczej zostanę w domu. Bądź co bądź jest to jednak mój dom. (Przynajmniej tak przypuszczam). I może trochę będę mogła pomóc przy chłopcach.

— Doskonale — odpowiedziałem. — Niech pani robi, jak pani uważa.

— Więc zostanę tu. Ale czy mogłabym... mogłabym...?

— Słucham? — powiedziałem zachęcająco.

— Jeżeliby... jeżeliby się stało coś okropnego, to czy mogłabym zadzwonić do państwa i pan by przyszedł zaraz?

Byłem wzruszony.

— Ale naturalnie, jakież to okropne rzeczy mają się zdarzyć?

— Och, nie mam pojęcia — odpowiedziała wymijająco — tak jakoś wszystko na to wygląda, prawda?

— Tylko na litość boską — rzekłem — niech pani nie wynajduje już więcej trupów...! To niezdrowo.

Zęby jej na chwilę błysnęły w uśmiechu.

— Na pewno niezdrowo. Dostałam okropnych mdłości...

Nie bardzo mi się uśmiechało zostawiać ją tak, ale — jak powiedziała — to był rzeczywiście jej dom. A poza tym miałem nadzieję, że teraz Elsie Holland będzie się nią bardziej interesowała.

Obaj z inspektorem Nashem poszliśmy do Jałowcowego Dworku. Podczas gdy Joanna słuchała mego sprawozdania z dzisiejszego przedpołudnia, Nash zajął się panią Partridge. Po chwili jednak przyłączył się do nas rozczarowany.

— Niewiele się mogłem dowiedzieć — powiedział. — Z tego, co mówi ta kobieta, wiem tylko tyle, że Agnieszka powiedziała, że coś ją trapi i nie wie, co ma zrobić, i że wobec tego chciałaby zasięgnąć rady pani Partridge.

— Czy pani Partridge wspominała komuś o tym? — spytała Joanna.

Nash skinął potakująco z zachmurzoną twarzą.

— Owszem, wspomniała o tym pani Emery, tutejszej dochodzącej. Jak się domyślam, to powiedziała jej coś w tym guście, że są jeszcze na świecie młode dziewczęta przyjmujące chętnie rady od

starszych, a nie przekonane, że potrafią wszystko załatwić najlepiej same! I że Agnieszka może nie jest specjalnie mądra, ale to miła, bardzo na miejscu dziewczyna.

— Jakbym słyszała panią Partridge — szepnęła Joanna.

— A pani Emery mogła to rozgłosić w całym miasteczku?

— Właśnie.

— Jedna tylko rzecz wydaje mi się dziwna — wtrąciłem się do rozmowy. — Dlaczego moja siostra i ja otrzymaliśmy anonimy? Przecież jesteśmy tutaj obcy i nikt nie mógł do nas żywić urazy...?

— Nie rozumie pan mentalności „Zatrutego Pióra”... wszystko jest wodą na jej młyn... Uraza skierowana jest raczej ku całej ludzkości.

— Przypuszczam — rzekła Joanna w zamyśleniu — że to właśnie miała na myśli pani Dane-Calthrop.

Nash spojrział na nią pytająco, nie dała mu jednak żadnych dalszych wyjaśnień.

— Nie wiem, czy przyjrzał się pan kopercie, w której przysłano panu list — rzekł inspektor. — Jeżeli tak, to musiał pan z pewnością zauważyć, że koperta zaadresowana była początkowo do panny Barton, a dopiero potem „a” przerobiono na „u”.

Przy właściwej interpretacji uwaga inspektora Nasha mogła nam już wówczas dać w rękę klucz do całej zagadki. Wtedy jednak nikt z nas nie przypisał temu większego znaczenia.

Nash wyszedł i zostaliśmy z Joanną sami. Siostra moja spytała po chwili:

— A może ten list był istotnie przeznaczony dla panny Emilii?

— Jeżeli tak, to nie mógłby się zaczynać od słów: „Ty malowana kukło!” — zauważyłem, a Joanna mi przytaknęła. Następnie zaproponowała, żebym poszedł do miasteczka.

— Powinieneś posłuchać, co ludzie mówią — powiedziała — bo z pewnością dzisiaj o niczym innym się w całym Lymstock nie mówi.

Chciałem, żeby poszła ze mną, ale ku mojemu zdziwieniu odmówiła, wymawiając się jakąś ważną pracą w ogrodzie.

Zatrzymałem się jeszcze w drzwiach i spytałem, zniżywszy głos:

— Przypuszczam, że nasza Partridge miewa się dobrze?

— Partridge?

Zdumienie w głosie Joanny trochę mnie zawstydziło. Powiedziałem więc tonem przeproszenia:

— Po prostu byłem ciekaw. Jest pod pewnym względem dziwaczką. Ponura stara panna z rodzaju tych, co to mogą cierpieć na manię religijną.

— Tu nie chodzi o manię religijną, przynajmniej tak podobno twierdził inspektor Graves. Sam mi mówiłeś...

— Więc dobrze... mania seksualna. Moim zdaniem jedna łączy się z drugą. Pani Partridge jest powściągliwa i „szacowna” i całe lata tkwiła tutaj w zamknięciu z kilkoma starszymi kobietami.

— Skąd ci takie pomysły przychodzą w ogóle do głowy?

— No, cóż? Wiemy tylko z jej własnych słów, czego od niej chciała Agnieszka — odpowiedziałem powoli. — A przypuścimy, że Agnieszka zapytała panią Partridge, dlaczego przyszła ona owego dnia do Symmingtonów i zostawiła list, a pani Partridge odpowiedziała, że wstąpi do niej po obiedzie i wszystko wytłumaczy?

— A potem zamaskowała to przychodząc do nas z zapytaniem, czy pozwolimy, żeby Agnieszka przyszła do niej na herbatę, tak?

— Właśnie!

— Ale przecież pani Partridge zupełnie nie wychodziła tego dnia z domu!

— Skąd wiesz? Przypomnij sobie, że nie było nas wtedy w domu.

— Tak, prawda... Wiesz, że to nawet możliwe — rzekła Joanna, głęboko się nad wszystkim zastanawiając.

— Ale mimo wszystko nie wierzę w to — ciągnęła dalej. — Nie zdaje mi się, żeby pani Partridge ze swoją mentalnością umiała tak zatrzeć wszelkie znaki, jeżeli idzie o listy. Usunąć ślady odcisków palców i tym podobne rzeczy. Tu potrzebna jest nie tylko przebiegłość, ale i inteligencja. A o to chyba jej nie podejrzewasz? Ja osobiście jestem zdania... — Joanna zawahała się przez chwilę, a następnie dodała powoli: — Oni są pewni, że to kobieta, prawda?

— Nie przypuszczasz chyba, że to mężczyzna? — zawołałem z oburzeniem.

— Nie, nie taki zwyczajny sobie mężczyzna, ale pewien specjalny typ. Ściślej mówiąc mam na myśli... pana Pye.

— Ach, więc wybrałaś sobie teraz na ofiarę pana Pye?

— A czy nie uważasz, że to możliwe? To człowiek, który może się czuć samotny i nieszczęśliwy... Może jest zawistny? Wszyscy właściwie podśmiewają się z niego. Czy nie możesz sobie wyobrazić, że pan Pye w głębi duszy nienawidzi wszystkich normalnie szczęśliwych ludzi i znajduje dziwaczną, perwersyjną, jak gdyby artystyczną przyjemność w tym, co robi?

— Graves raczej podejrzewał dziewicę w średnim wieku...

— Pan Pye — rzekła Joanna — jest właśnie dziewczicą w średnim wieku!

— A przy tym jakiś nie wydarzony — powiedziałem z wolna.

— I to bardzo! Jest bogaty, ale pieniądze tu nie są ważne. Ja osobiście, na przykład, doskonale mogę sobie wyobrazić, że on jest trochę nienormalny. To naprawdę jakiś straszny człowiek...

— Ale nie zapominaj, że i on także dostał anonim!

— Wcale tego nie jesteśmy tacy pewni — zauważyła Joanna. — Możemy się tylko domyślać. Mógł po prostu udawać.

— Przed nami?

— Oczywiście. Jest dość inteligentny na to, ażeby zbytnio nie przesadzić...

— Musiałby być pierwszorzędnym aktorem...

— Ależ oczywiście, Jeny! Każdy, kto to robi, musi być pierwszorzędnym aktorem. W tym leży przynajmniej połowa jego przyjemności.

— Na litość boską, Joanno, nie mów tego tak, jakbyś się doskonale wczuwała w psychikę tej osoby! Zaczynam się obawiać, że ta mentalność nie jest ci obca!

— Oczywiście, że nie! Po prostu mogę się wczuć w nastrój takiej osoby. Gdybym nie była Joanną Burton, młodą i umiarkowanie przystojną, gdybym nie potrafiła się bawić, gdybym była... no, jakby to powiedzieć... Gdybym była „za kratami” i przyglądała się tylko, jak inni cieszą się życiem, sądzisz, że nie wezbrałaby we mnie czarna fala buntu i zła, która by mnie pchała do krzywdzenia, do zadawania bólu, a nawet do niszczenia innych...?

— Joanno! — zawołałem i potrząsnąłem ją mocno za ramiona. Westchnęła, lekko się wzdrygnęła, a potem uśmiechnęła się do mnie.

— Przestraszyłam cię, Jeny, prawda? Ale czuję, że to jest właściwe podejście do całego problemu. Trzeba się wczuć w nastrój tej osoby, wiedzieć, co ona czuje, co ją skłania do takiego, a nie innego czynu i dopiero wtedy da się przewidzieć, jaki będzie następny krok.

— Och, do diabła! — zawołałem. — A ja przyjechałem tutaj, aby „żyć jak roślina” i interesować się wszystkimi miejscowymi skandalikami! Kochane, drogie skandaliki! Paszkwile, kalumnie, sprośny język i morderstwo...!

Joanna miała rację. Na ulicy Głównej gromadziły się grupki ludzi rozprawiających z ożywieniem. Postanowiłem zapoznać się kolejno z różnymi poglądami na tę sprawę. .

Najpierw spotkałem doktora Griffitha. Wyglądał strasznie mizernie, tak że po prostu zdziwił mnie i przestraszył swym wyglądem. Oczywiście, doktor nie codziennie natrafia w swej praktyce na morderstwo, ale jego zawód zmusza go do stawania oko w oko z cierpieniem, z najgorszymi stronami

natury ludzkiej i ze śmiercią.

— Bardzo źle pan wygląda, doktorze — powiedziałem.

— Rzeczywiście? — odparł z roztargnieniem. — Miałem ostatnio kilka ciężkich przypadków i pewnie dlatego.

— Nie wyłączając naszego wariata grasującego na swobodzie.

— Oczywiście. — Spojrzał na przeciwną stronę ulicy. Zauważyłem, że powieki jego drgały nerwowo.

— Nie ma pan jeszcze żadnych podejrzeń, kto nim jest? — spytałem.

— Nie... nie. Chociaż chciałbym bardzo wiedzieć.

Zapytał nagle o Joannę i powiedział, jakby wahając się, iż chce jej pokazać pewne fotografie, które pragnęła obejrzeć. Zaproponowałem, że je zabiorę.

— Ach, nie, nie! To nic pilnego. Trochę później będę przechodził koło domu państwa, to wpadnę.

Zacząłem się obawiać, że Griffith na dobre połknął haczyk. Do licha z tą Joanną! Szkoda Griffitha na to, by go traktować jak jeszcze jeden skalp do zdobycia. Pozwoliłem mu odejść, gdyż zobaczyłem z daleka jego siostrę i po raz pierwszy w życiu miałem ochotę z nią porozmawiać. Aimée Griffith od razu włączyła się do rozmowy. — Zdumiewające — wołała już z daleką. — Mówiono mi, że pan tam był... i to bardzo wcześnie!

W słowach jej czuć było ciekawość, a przy słowie „wcześnie” oczy jej mocno rozbłysły. Nie chciałem, aby się dowiedziała, że to Megan po mnie telefonowała. Odpowiedziałem więc:

— Widzi pani, byłem trochę niespokojny w nocy. Agnieszka miała przyjść na herbatę do naszej pani Partridge i nie zjawiła się.

— I od razu przyszło panu na myśl wszystko co najgorsze? To wielka bystrość z pana strony!

— Tak — odrzekłem. — Jestem urodzonym psem policyjnym!

— To w ogóle pierwsze morderstwo jak Lymstock Lymstockiem. Olbrzymie poruszenie...! Mam nadzieję, że policja da sobie z tym radę?

— Nie ma najmniejszej wątpliwości — odpowiedziałem z przekonaniem. — Tutejsza policja jest bardzo sprawna.

— Nawet nie pamiętam, jak ta dziewczyna wyglądała, chociaż na pewno nie raz otwierała mi drzwi. Ciche, niepozorne jakieś stworzenie. Owen powiada, że została ogłuszona ciosem w tył głowy, a potem zakłuta na śmierć. Wygląda na to, jak gdyby jej chłopiec...

— Tak pani sobie to tłumaczy?

— To mi się wydaje najbardziej prawdopodobne rozwiązanie. Pokłócili się jakoby. W tych stronach ludzie pobierają się między sobą, wielu z nich dziedziczy złe skłonności... — przerwała, by po chwili mówić dalej: — Słyszałam, że Megan Hunter pierwsza znalazła ciało? Musiał to być dla niej nie lada szok...!

— Z pewnością — powiedziałem krótko.

— To bardzo dla niej niedobrze. Moim zdaniem Megan jest dość słaba na umyśle, a taka rzecz może ją do reszty zdenerwować.

Zdecydowałem się przekonać o czymś:

— Niech mi pani powie, panno Aimée, czy to pani skłoniła wczoraj Megan do powrotu do domu?

— Och, nie powiedziałabym zaraz, że aż „skłoniłam”...

Ja jednak nie ustępowałem.

— Ale powiedziała jej pani coś w tym rodzaju? Panna Aimée Griffith mocno wsparła się na obu nogach, jak ktoś odpierający atak, i popatrzyła mi prosto w oczy.

— To niedobrze, jeżeli kobieta uchyla się od odpowiedzialności. Jest młoda i nie zdaje sobie sprawy z ludzkiej złośliwości i plotkarstwa. Uważałam więc za swój obowiązek zwrócić jej na to uwagę.

— Plotkarstwa? — przerwałem, bo byłem tak zirytowany, iż obawiałem się, że powiem za wiele.

Aimée Griffith ciągnęła dalej z tą swoją irytującą pewnością siebie, która stanowiła jej najbardziej charakterystyczną cechę.

— Och, wiem, że do pana uszu nie dochodzą wszystkie plotki, jakie tu krążą. Ja jednak je słyszę! Zdaję sobie sprawę z tego, co ludzie gadają. Proszę mi wierzyć, że ani na chwilę nie podejrzewam, aby w tym był chociaż cień prawdy. Ani na chwilę! Ale pan zna ludzi i wie pan, że jeżeli tylko mogą chlapać językiem, to na pewno nie pominą okazji! A dla dziewczyny, która musi zarabiać na życie, to bardzo niedobre.

— Zarabiać na życie?

— Oczywiście! Jej sytuacja nie jest najłatwiejsza i uważam, że postąpiła właściwie. Nie mogła wyjść z domu od razu i zostawić dzieci bez żadnej opieki. Zachowała się znakomicie! Zupełnie pierwszorzędnie i każdemu mogę to powiedzieć! Sytuacja jednak jest nie do pozazdroszczenia i ludzie na pewno będą gadali...

— O kim pani właściwie mówi? — spytałem zdumiony.

— Rzecz prosta, że o Elsie Holland — zniecierpliviła się Aimée. — Moim zdaniem to na wskroś porządna dziewczyna i spełniła tylko swój obowiązek.

— A co ludzie mówią?

Aimée Griffith roześmiała się. Śmiech jej jednak nie był przyjemny.

— Ludzie mówią, że rozważa już perspektywę zostania panią Symmington numer .dwa, że robi wszystko, co może, by pocieszyć wdowca i stać się dla niego niezbędną.

— Ależ na miłość boską! — zawołałem prawie bez tchu. — Przecież pani Symmington umarła dopiero przed tygodniem!

Aimée Griffith wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, że to absurd. Ale pan wie, jacy są ludzie! Panna Holland jest młoda i ładna, to wystarczy. I niech pan pamięta, że los guwernantki nie jest specjalnie nęcący dla młodej dziewczyny. Wcale nie miałabym jej za złe, gdyby zapragnęła mieć własny dom i męża... i gdyby dążyła do tego celu wszelkimi sposobami. Naturalnie — mówiła dalej — biedny Dick Symmington nie ma o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. Śmierć Mony zupełnie wytrąciła go z równowagi. Ale pan wie, jacy są mężczyźni... Jeżeli mają ciągle obok siebie dziewczynę, która dba o ich wygody, opiekuje się nimi, jest szczerze oddana ich dzieciom, no to nic dziwnego, że w końcu staje im się niezbędna.

— Więc pani uważa, że Elsie Holland to wyrachowana, zimna kokietka? — spytałem spokojnie.

Aimée Griffith zaczerwieniła się.

— Wcale tak nie uważam... Bardzo mi jej nawet żal, bo ludzie źle o niej mówią. Dlatego też „skłoniłam” Megan do powrotu do domu. Będzie wyglądało o wiele przyzwoiciej, jeżeli Dick Symmington i ta młoda osoba nie będą sami w domu.

Zacząłem się orientować w sytuacji. Aimée w końcu roześmiała, się i rzekła:

— Pan się gorszy tym, co mówi nasze małe plotkarskie miasteczko. Powiem panu tylko jedno: ludzie zawsze przypuszczają najgorsze.

I ciągle śmiejąc się, skinęła mi głową i odeszła.

Niedaleko kościoła spotkałem pana Pye. Rozmawiał z panną Emilią Barton, różową i podnieconą. Pan Pye powitał mnie ze wszelkimi oznakami radości:

— Ach, oto i pan Burton! Dzień dobry, dzień dobry! Jakże się miewa pańska czarująca siostra?

Odpowiedziałem, że Joanna miewa się doskonale.

— Nie chciała przyłączyć się do naszego wiejskiego sejmiku? Straszne tutaj poruszenie z powodu tej wiadomości. Morderstwo! Prawdziwe morderstwo z niedzielnego dodatku, i to w naszym

miasteczku! Co prawda, to niespecjalnie ciekawy przypadek, a raczej taki dosyć skromny. Brutalne morderstwo dokonane na biednej pokojówce! Nic specjalnego... ale bądź co bądź nowina!

— Okropność, po prostu okropność! — rzekła z przejęciem panna Emilia.

— Ale niech się pani przyzna, droga panno Emilio — zwrócił się do niej pan Pye — że jednak człowiek znajduje w tym trochę przyjemności, co? Potępia się, ubolewa się... ale dreszczyk jest! Stanowczo twierdzą, że dreszczyk jest!

— Taka miła dziewczyna — westchnęła panna Emilia. — Przyszła do mnie wprost z Zakładu św. Klotyldy. Zupełnie surowy materiał, ale bardzo chętna. Wyrobiła się na miłą, dobrą pokojówkę. Moja Partridge była z niej bardzo zadowolona.

— Miała przyjść na herbatkę do Partridge wczoraj po obiedzie — wyjaśniłem, po czym zwróciłem się do pana Pye: — Pan to zresztą wie od panny Aimée, prawda?

Powiedziałem to głosem zupełnie obojętnym, pan Pye zaś odparł, nie podejrzewając pułapki:

— Owszem, wspominała o tym. Przypominam sobie... coś mówiła o wprowadzaniu nowych zwyczajów. Jak to może być, żeby służba posługiwała się telefonem państwa...

— Mojej Partridge nigdy by coś podobnego nie przyszło do głowy — stwierdziła z przekonaniem panna Emilia — i doprawdy bardzo się dziwię, że Agnieszka pozwoliła sobie na to.

— Droga pani, pani nie idzie z duchem czasu — wykrzyknął pan Pye. — Moja parka stale używała telefonu i paliła papierosy w całym domu, dopóki się nie zirytowałem i nie zaprotestowałem. Ale nie można wymagać za wiele. Prescott to wyśmienity kucharz, chociaż ma swoje humory, a jego żona jest pierwszorzędną pokojówką.

— To prawda! Wszyscy jesteśmy zdania, że pan wygrał wielki los na loterii, jeżeli chodzi o służbę...

Tu wtrąciłem się do rozmowy, nie chcąc dopuścić, aby problem służby był jedynym tematem rozmowy:

— Wiadomość o morderstwie rozeszła się lotem strzały.

— Naturalnie, naturalnie — przytaknął pan Pye. — Jej ekscelencja plotka miele języczkiem! Niestety, Lymstock schodzi na psy! Listy anonimowe, morderstwa i różne inne zbrodnicze skłonności...

— Nie uważa się jednak... nikt nie myśli, że... że te dwie rzeczy mają z sobą związek? — zapytała nerwowo panna Emilia.

Pan Pye uchwycił się skwapliwie tej myśli.

— A wie pani, że to bardzo interesujący pomysł! Dziewczyna wiedziała o czymś i dlatego ją

zlikwidowano. Tak, tak... to rokuje ciekawe rozwiązanie...! Jak pani to mądrze wykombinowała...

— Ja... ja doprawdy nie mogę tego znieść — wybuchnęła panna Emilia. Potem nagle odwróciła się i odeszła bardzo szybko.

Pan Pye popatrzył za nią i jego różowa twarz cherubinka skrzywiła się dziwnie. Następnie zwrócił się do mnie, potrząsając lekko głową.

— Bardzo wrażliwa osoba... Urocze stworzenie, nie uważa pan? Zupełnie muzealny okaz. Wie pan, ona nawet nie jest ze swojej własnej generacji, a z poprzedniej. Ta ich matka musiała być kobietą o niesłychanie silnym charakterze. Cały dom by ł nastawiony na rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty, a rodzina trzymana pod kloszem. Bardzo lubię spotykać tego rodzaju „okazy”.

Nie miałem ochoty na rozmowę z panem Pye o muzealnych „okazach”.

— Co pan myśli o tej całej sprawie? — spytałem.

— Mianowicie o czym?

— No, o anonimach, o morderstwie...?

— Aha, nasza miejscowa fala przestępczości! A co pan sądzi?

— Ja spytałem pana pierwszy — rzekłem uprzejmie.

Po chwili namysłu pan Pye odpowiedział łagodnie:

— Trzeba panu wiedzieć, że zajmuję się studiowaniem wszelkich anomalii, gdyż mnie to bardzo pasjonuje. Najmniej o to podejrzani ludzie robią najfantastyczniejsze rzeczy. Niech pan weźmie Lizzie Borden... Rozumowo nie da się tego wytłumaczyć. W takich przypadkach moją radą dla policji byłoby: studiujcie charakter! Odłóżcie wasze odciski palców, wasze pomiary, grafologie i mikroskopy! Zwróćcie natomiast uwagę na zachowanie ludzi, na ich ręce, na to, jak jedzą i czy zdarza im się czasem śmiać bez widocznego powodu.

Uniosłem w górę brwi.

— Ma pan na myśli wariatów? Ludzi nienormalnych?

— Absolutnie nienormalnych — rzekł pan Pye i dodał: — Ale nigdy by pan tego po nich nie poznał.

— Kogo pan ma na myśli?

Spojrzenie pana Pye spotkało się z moim. Uśmiechnął się.

— Nie, nie, drogi panie! To byłoby oszczerstwo! Nie możemy do tego wszystkiego dodawać jeszcze oszczerstw!

Po czym pan Pye oddalił się szybko i zniknął za rogiem ulicy.

Gdy tak spoglądałem za panem Pye, otworzyły się drzwi kościoła i wyszedł z nich pastor Kaleb Dane-Calthrop. Uśmiechnął się do mnie niewyraźnie.

— Dzień... dzień dobry, panie er... er... tego... Podsunąłem mu:

— Burton.

— Oczywiście, oczywiście... Niech pan nie myśli, że nie pamiętam pańskiego nazwiska... Doskonale pamiętam, tylko po prostu tak mi chwilowo wyleciało z głowy. Piękny mamy dzisiaj dzień!

— Tak — odpowiedziałem krótko.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

— Ale coś... co... aha! Już wiem! Tak! To biedne, nieszczęśliwe dziecko, które było na służbie u Symmingtonów... Przyznam się, iż wprost trudno mi uwierzyć, że mamy wśród nas mordercę, panie... er... er... tego... panie Burton!

— Tak, to wydaje się wprost fantastyczne — rzekłem.

— I jeszcze jedna rzecz doszła do moich uszu. — Mówiąc to, pochylił się ku mnie tajemniczo. — Mówiono mi, że krążą tu jakieś anonimy. Czy pan coś słyszał o tym?

— Owszem, słyszałem coś niecoś.

— Jakież to nikczemne i tchórzliwe! — Przerwał, a po chwili z ust jego popłynął długi łaciński cytat. — Doskonale można by tu zastosować te właśnie słowa Horacego, jak pan sądzi?

— Oczywiście — odpowiedziałem z głębokim przekonaniem.

Ponieważ zdawało mi się, że od nikogo więcej nie zdołam się dowiedzieć czegoś konkretnego, poszedłem do domu. Po drodze wstąpiłem po tytoń do fajki i butelkę sherry, chcąc usłyszeć opinie innych ludzi o morderstwie.

— To pewno jakiś niebezpieczny włóczęga — brzmiało zdanie ogółu.

— Puka taki do drzwi, skamle, prosi o jałmużnę, a potem jak się okaże, że dziewczyna jest w domu sama, to nagle robi się groźny. Moja siostra, Dora, ta w Combeacre, miała kiedyś straszną przygodę. Taki łazik pijany w sztok chodził i sprzedawał małe książeczki z wierszykami...

Historia ciągnęła się dalej i kończyła opisem, jak nieustraszona Dora śmiało zatrzasnęła drzwi przed nosem pijaka, a potem uciekła i zabarykadowała się w jakimś tajemniczym miejscu, którym, jak się domyśliłem ze wstydliwego opisu, był prawdopodobnie ustęp.

— I przesiadziała tam, dopóki jej pani nie wróciła.

Przyszedłem do Jałowcowego Dworku na parę minut przed lunchem. Joanna stała beczynn timer w saloniku przy oknie z taką miną, jak gdyby błędziła myślami o setki mil stąd.

— Co porabiałaś całe rano? — spytałem.

— Och... czy ja wiem...! Nic specjalnego! Wyszedłem na werandę. Na stoliku stały dwie szklanki po sherry, a obok stolika tkwiły trzy krzesła. Na jednym leżało coś, czemu przyjrzałem się ze zdumieniem.

— Cóż to jest, u licha?

— Ach... — rzekła Joanna — zdaje się, że to fotografia jakiejś chorej wątroby czy śledziony... Doktor Griffith przypuszczał, że mnie to zainteresuje.

Obejrzałem fotografię z zainteresowaniem. Każdy ma swój indywidualny sposób ubiegania się o względy kobiety. Ja, na przykład, nigdy bym się nie uciekał do fotografii śledziony bez względu na to, czy byłaby ona zdrowa, czy chora. Niewątpliwie jednak Joanna ma, czego chciała!

— To wygląda bardzo nieprzyjemnie — powiedziałem, z czym Joanna od razu się zgodziła.

— Jak się czuje Griffith? — spytałem.

— Wyglądał, jakby był zmęczony i nieszczęśliwy. Mam wrażenie, że go coś dręczy.

— Może nieuleczalnie chora śledziona? — spytałem.

— Nie pleć głupstw! Mam na myśli coś poważnego.

— A ja bym powiedział, że ten człowiek dręczy się tobą! Bardzo bym się cieszył, gdybyś go zostawiła w spokoju, Joanno!

— Ach, nie gadaj! Nic mu przecież nie zrobiłam!

— Kobiety zawsze tak mówią!

Joanna obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Chora śledziona zaczynała wyginać się rozpaczliwie pod działaniem słońca. Wziąłem fotografię za jeden róg i przeniósłem do saloniku. Nie odczuwałem w stosunku do niej specjalnego afektu, przypuszczalnie jednak był to jeden ze skarbów Griffitha.

Pochyliłem się, żeby wyciągnąć z dolnej półki jakąś ciężką książkę, do której mógłbym włożyć fotografię. Wyciągnąłem pokaźne stare tomisko, zawierające czyjeś kazania.

Książka otworzyła się sama w moich rękach w nieoczekiwany sposób i od razu zrozumiałem dlaczego. Ze środka wycięto starannie kilka kartek...

Patrzyłem na książkę jak skamieniały. Potem spojrzałem na kartę tytułową. Wydanie z roku 1840.

Nie było żadnych wątpliwości. Miałem przed sobą książkę, z której wycięto kartki potrzebne autorowi anonimów. Kto mógł to zrobić?

Przede wszystkim mogła to być sama panna Emilia Barton i o niej należało pomyśleć w pierwszym rzędzie. Ale mogła to być pani Partridge...

Istniały jeszcze inne wątpliwości. Kartki mógł wyciąć każdy, kto znalazł się chwilowo sam w pokoju, a więc któryś z gości, czekający w saloniku na pannę Emilię, lub ktoś, kto przyszedł w interesie.

Nie, to nieprawdopodobne. Zauważyłem, że kiedyś, gdy przyszedł do mnie urzędnik z banku, pani Partridge wprowadziła go do małego gabinetu w tyle domu. Widocznie taki panował tu zwyczaj.

A więc ktoś z gości? Ktoś „zajmujący poczesne miejsce w tutejszym świątku...” Pan Pye? Aimée Griffith? Pani Dane–Calthrop?

* * *

W tej samej chwili rozległ się gong i poszedłem do jadalni.

Po lunchu powiedziałem Joannie o moim odkryciu. Omówiliśmy ten fakt ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Wreszcie zaniósłem książkę na posterunek policji.

Moje odkrycie zostało tam przyjęte entuzjastycznie, klepano mnie po plecach, a przecież był to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności.

Inspektora Gravesa nie było, natomiast zastałem Nasha, który natychmiast zatelefonował do kolegi. Zapowiedział też, że zbada się odciski palców, chociaż nie miał wielkiej nadziei na jakieś rewelacje. I istotnie, znaleziono odciski palców moje, pani Partridge i na tym koniec. Świadczyło to jedynie o tym, że pani Partridge sumiennie wyciera kurze.

Następnie zapytałem Nasha, jak postępuje dochodzenie.

— Ciągłe zacieśniamy koło, drogi panie. Wyeliminowaliśmy już wszystkich, którzy bezwzględnie nie wchodzi w rachubę.

— Aha — powiedziałem. — A kto pozostał?

— O, na przykład panna Ginch. Umówiła się wczoraj po obiedzie z pewnym klientem. Dom, w którym miała się z nim spotkać, znajduje się niedaleko Combeacre Road, to jest uliczki przechodzącej obok Willi Symmingtonów. Musiała w jedną i w drugą stronę tamtędy przechodzić... Tydzień temu, czyli w dniu doręczenia anonimowego listu i samobójstwa pani Symmington, panna Ginch była ostatni dzień w biurze Symmingtona. Początkowo pan Symmington przypuszczał, że w ogóle tego dnia nie wychodziła z biura po obiedzie. Był u niego owego popołudnia sir Henry Lushington i pan Symmington kilkakrotnie wzywał pannę Ginch. Dowiedziałem się wszelako, że

jednak wychodziła między godziną trzecią a czwartą. Poszła jakoby po jakieś znaczki stemplowe, których zabrakło w kancelarii. Mógł to załatwić woźny, ale panna Ginch wolała pójść sama, twierdząc, że boli ją głowa i chętnie się przewietrzy. Nieobecność jej nie trwała długo.

— Wystarczająco jednak, żeby...

— Tak, wystarczająco długo na to, aby pójść na drugi koniec miasteczka, wsunąć list do skrzynki i szybko wrócić z powrotem. Muszę jednak przyznać, że nie mogę natrafić na nikogo, kto by ją widział w pobliżu willi Symmingtonów.

— A czy ktoś zwróciłby na nią uwagę?

— Bo ja wiem... może tak, a może i nie.

— A kto jeszcze pozostał po wyeliminowaniu? Nash patrzył gdzieś przed siebie.

— Pan rozumie, że nie wolno nam wyłączać nikogo, absolutnie nikogo.

— Oczywiście, że rozumiem. Inspektor powiedział poważnie:

— Panna Griffith udała się wczoraj na zebranie „Zastępu Przewodniczek” w Brenton. Wróciła stamtąd bardzo późno...

— Nie przypuszcza pan chyba...

— Oczywiście, że nie. Ale nie wiem. Panna Griffith wygląda na wybitnie zdrową, normalną kobietę, ale jak powiedziałem, nie wiem.

— A jeżeli chodzi o zeszły tydzień? Czy możliwe, żeby to ona wsunęła list do skrzynki?

— Możliwe. Tego popołudnia robiła sprawunki w miasteczku. — Przerwał na chwilę. — To samo dotyczy panny Emilii Barton. Wczoraj wczesnym popołudniem robiła sprawunki, a przed tygodniem odwiedzała jakichś znajomych mieszkających na tej samej ulicy co Symmingtonowie.

Potrząsnąłem z niedowierzaniem głową. Fakt znalezienia książki w Jałowcowym Dworcu logicznie musiał skierować podejrzenia na właściciela domu, ale gdy sobie przypomniałem pannę Emilię u nas, taką wesołą, szczęśliwą i podnieconą... Tam do licha! Podnieconą! Tak, podnieconą, policzki zaróżowione, oczy błyszczące... Chyba nie z powodu... z powodu...

— To jakaś przekłeta sprawa! Człowiek widzi różne rzeczy, wyobraża sobie nie wiadomo co — powiedziałem.

— Rzeczywiście, nie należy do najprzyjemniejszych rzeczy patrzeć na każdego ze spotkanych znajomych jak na ewentualnego szaleńca o zbrodniczych instynktach. — Milczał przez chwilę, a potem dodał: — Poza tym mamy jeszcze pana Pye.

— Więc i jego braliście w rachubę? — spytałem gwałtownie.

Nash uśmiechnął się.

— O tak, i to bardzo poważnie. To ciekawy charakter, powiedziałbym niespecjalnie miły charakter. Pan Pye nie ma alibi. W obydwu wypadkach znajdował się w ogrodzie sam.

— Więc nie tylko kobiety są podejrzewane?

— Nie przypuszczam, żeby listy pisane były przez mężczyznę. Graves i ja jesteśmy raczej pewni, że nie, z wyjątkiem jednakże naszego pana Pye, który wykazuje anormalne, wręcz kobiece cechy charakteru. Każdego jednak, bez wyjątku, braliśmy pod mikroskop, jeżeli chodzi o wczorajsze popołudnie. To morderstwo przecież, rozumie pan! Pan jest w porządku — rzekł śmiejąc się — tak samo jak i pańska siostra. Pan Symmington także od przyjscia z domu po lunchu przez całe popołudnie nie wychodził z kancelarii. Doktor Griffith zaś był zupełnie w innej stronie, a zresztą sprawdzałem wszystkie jego wizyty.

Przerwał, ponownie się uśmiechnął i rzekł:

— Jak pan widzi, nie zapominamy o niczym.

— Więc po wyeliminowaniu sprawa ogranicza się do czterech osób: panny Ginch, pana Pye, panny Griffith i małej panny Barton? — powiedziałem powoli.

— Ach, nie, nie! Jeszcze są dwie ewentualności, nie mówiąc o żonie pastora.

— Nawet i o niej pomyśleliście?

— Myśleliśmy o każdym, ale pani Dane-Calthrop jest może trochę zbyt otwarcie zwariowana, jeżeli pan rozumie, co mam na myśli. Jednakże i ona mogła to zrobić. Wczoraj po obiedzie była w lesie i obserwowała ptaszki, a ptaszki nie mogą świadczyć na jej korzyść.

W tej chwili na posterunek wszedł doktor Griffith, inspektor Nash więc zwrócił się w jego stronę.

— Halo, inspektorze! Słyszałem, że mnie pan szukał rano — powiedział doktor. — Czy coś ważnego?

— Rozprawa u koronera wyznaczona została na piątek, jeżeli to panu będzie odpowiadało.

— Doskonale. Moresby i ja robimy dziś wieczorem sekcję.

— Aha, jeszcze jedno, doktorze! — rzekł Nash. — Pani Symmington zażywała jakieś proszki czy tabletki, które pan jej przepisał. Czy zażycie większej dozy tego lekarstwa mogło być śmiertelne?

Doktor Griffith odpowiedział oschle:

— Oczywiście, że nie. Chyba że zażyłaby ich co najmniej dwadzieścia pięć.

— Ale panna Holland mówiła, że pan ją kiedyś ostrzegał przed zażywaniem zbyt dużej ilości.

— Ach, tak, pamiętam. Pani Symmington była tego rodzaju pacjentką, że miała tendencje do zażywania ponad normę wszystkiego, co jej zapisywałem. Przypuszczała zapewne, że jeżeli zażyje dwa razy tyle, to lekarstwo będzie miało dwa razy lepszy skutek. A przecież nawet fenacetyny czy aspiryny nie należy zażywać za dużo, bo może zaszkodzić na serce. A zresztą... nie ma przecież żadnej wątpliwości co do przyczyny śmierci. To był cyjanek potasu.

— Wiem, wiem! Ale pan mnie źle zrozumiał. Myślałem tylko, że jeżeli już ktoś zamierza popełnić samobójstwo, to zażyłby raczej dużą dawkę środka nasennego, zamiast opychać się cyjankiem.

— Oczywiście. Z drugiej jednak strony kwas pruski wygląda bardziej dramatycznie, a przy tym jest pewniejszy. Bo jeżeli chodzi o środki nasenne, to jeżeli nie upłynęło wiele czasu od ich zażycia, uratować pacjenta jest bardzo łatwo.

— Rozumiem i dziękuję panu, doktorze!

Doktor Griffith odszedł, ja zaś pożegnałem się z inspektorem i udałem się w kierunku domu.

Szedłem powoli pod górę. Joanny nie było w domu. Natomiast przy telefonie na bloczku widniała tajemnicza notatka nagryzmołona prawdopodobnie dla mnie lub dla pani Partridge: Jeżeli zatelefonuje doktor Griffith, proszę powiedzieć, że nie mogę już dłużej czekać i że we wtorek też nie będę mogła, ale może uda mi się we środę lub czwartek.

Uniosłem brwi i wszedłem do saloniku. Tu usiadłem w możliwie najwygodniejszy m fotelu (żaden z nich nie był specjalnie wygodny, wszystkie miały bardzo twarde, proste oparcia, jakby dobrze pamiętały obyczaje nieboszczki pani Barton). Wyciągnąłem przed siebie nogi i starałem się spokojnie przemyśleć wszystko od początku.

Z lekką irytacją przypomniałem sobie, że przybycie doktora Griffitha na posterunek przerwało mi rozmowę z inspektorem Nashem, który właśnie miał wymienić jeszcze ostatnie dwie ewentualne podejrzane osoby. Byłem niezmiernie zaintrygowany, kto to mógł być.

Jedna; to może pani Partridge...? Bądź co bądź książka z wyciętymi kartkami znalazła się u nas w domu. A Agnieszkę mogła niespodziewanie łupnąć w głowę jej kierowniczką i mentorką. Nie, nie można eliminować pani Partridge!

Ale kto jest tą drugą osobą?

Może ktoś, kogo wcale nie znam? Może pani Cleat? Ją właśnie wszyscy od początku podejrzewają.

Przymknąłem oczy. Zastanawiałem się kolejno nad czterema osobami i jakoś żadna mi się nie wydała tą właściwą. Łagodna, delikatna, mała panna Emilia Barton? Co mogło przemawiać przeciwko niej? Że była niewyżyta? Albo że od wczesnego już dzieciństwa tłumiono jej porywy? Żądano zbyt wiele poświęceń? I ten jej dziwny strach przed poruszaniem „nieładnych tematów”. Czyżby to miało być objawem, że właśnie te tematy interesują ją podświadomie? Czy jednak nie za bardzo sugeruję się teorią Freuda? Przypomniały mi się słowa pewnego znajomego lekarza o tym, co dobrze wychowane dziewczęce potrafiły pleść pod wpływem narkozy. „Nigdy by pan nie przypuszczał, że mogą znać takie

wyraży!” Aimée Griffith?

U niej, przeciwnie, nie może być mowy o żadnych kompleksach. Wesoła, raczej męski typ, ciesząca się powodzeniem, prowadząca czynny, wypełniony tryb życia. A jednak pani Dane–Calthrop powiedziała kiedyś o niej „biedactwo”...

I coś jeszcze snuje mi się po głowie... coś jeszcze, jakieś wspomnienie. Aha, już wiem... Owen Griffith powiedział kiedyś, że jak praktykował na północy, miał tam także taką falę listów anonimowych.

Czy i to miałoby być dziełem Aimée? Doprawdy, raczej dziwny zbieg okoliczności... Dwie fale anonimów... tam i tu? Zaczekajmy, zaczekajmy chwilę! Przecież wtedy wykryto autora listów...! Griffith powiedział, że to była pensjonarka.

Poczułem nagły chłód, widocznie wiało od okna. Poruszyłem się niespokojnie na fotelu. Dlaczego poczułem się raptem tak dziwnie? Skąd to nagłe przygnębienie?

Ale myślmY dalej... Więc Aimée Griffith? A może to właśnie ona, a nie tamta pensjonarka? Przyjechała tutaj i w dalszym ciągu uprawia swoje sztuczki? I może dlatego doktor Griffith wygląda tak źle i jest nieszczęśliwy? Najwidoczniej podejrzewa siostrę. Tak! Z pewnością ją podejrzewa!

Pan Pye?

Nie jest to specjalnie miły człowieczek. Mogłem go sobie doskonale wyobrazić, jak śmiejąc się w duchu, planuje dalsze posunięcia. Ta notatka przy telefonie w holu... Dlaczego przysłała mi raptem na myśl? Griffith i Joanna. Jest nią bardzo zajęty. Nie, to nie dlatego dręczy mnie myśl o tej notatce... To coś innego, coś innego. Myśli zaczęły mi się mącić... Czułem, że jestem bardzo senny. W mózgu krążyło uparcie jedno zdanie: „Nie ma dymu bez ognia... nie ma dymu bez ognia...” Właśnie o to chodzi... Wszystko się strasznie zazębia...

I raptem...! Idę ulicą z Megan, a obok nas przechodzi Elsie Holland. Jest ubrana w ślubną suknię, a ludzie wokoło szepczą:

— Nareszcie wychodzi za mąż za doktora Griffitha... Wiadomo, że byli z sobą potajemnie zaręczeni już od paru lat...

O! a teraz jesteśmy w kościele i pastor Dane–Calthrop odprawia nabożeństwo po łacinie. Raptem wyskakuje na środek kościoła pani Dane–Calthrop i woła energicznie:

— Z tym trzeba skończyć! Powiadam panu, że z tym trzeba natychmiast skończyć!

Nie zdawałem sobie sprawy, czy śnię, czy słyszę te słowa na jawie. Po chwili jednak wytrzeźwiałem zupełnie i zobaczyłem, że znajduję się w saloniku w Jałowcowym Dworku, a naprzeciwko mnie stoi pani Dane–Calthrop, która weszła przez werandę, i woła gwałtownie, nerwowo:

— Z tym trzeba skończyć! Powiadam panu, że z tym trzeba natychmiast skończyć!

Zerwałem się z fotela i zawołałem zmieszany:

— Bardzo panią przepraszam, ale zdaje mi się, że się trochę zdrzemnąłem. Co pani mówiła?

Pani Dane–Calthrop uderzyła niecierpliwie zaciśniętą pięścią jednej ręki o dłoń drugiej i wołała:

— Z tym trzeba, z tym się musi skończyć! Te listy! I morderstwo! Nie wolno dopuścić, aby działy się takie rzeczy i aby mordowano biedne, niewinne dzieci takie, jak Agnieszka Woddell.

— Zupełnie się z panią zgadzam — rzekłem. — Ale jak pani to sobie wyobraża?

— Musimy coś przedsięwziąć. Uśmiechnąłem się raczej z wyższością.

— A co by pani, na przykład, zaproponowała?

— Trzeba wyjaśnić całą sprawę! Powiedziałam panu kiedyś, że tu wśród nas nie ma złych ludzi. Otóż omyliłam się. Są!

Poczułem lekkie zniecierpliwienie i odpowiedziałem niezbyt grzecznie:

— To pięknie, droga pani, ale co zamierza pani zrobić?

— Oczywiście położyć temu kres!

— Policja przecież dokłada wszelkich starań.

— Ale zważywszy, że Agnieszkę jednak zamordowano, to ich starania nie na wiele się zdają.

— Sądzi pani, że potrafiłaby to pani lepiej?

— Nic podobnego! Ja z pewnością nie potrafiła bym nic zrobić. I dlatego właśnie mam zamiar zwrócić się do eksperta.

Potrząsnąłem głową.

— Nie wyobrażam sobie, żeby się pani to udało Scotland Yard interweniuje jedynie na żądanie szefa policji okręgowej. A zresztą już wydelegowane stamtąd inspektora Gravesa.

— Nie chodzi o takich ekspertów. Ani takich od listów anonimowych, ani tych od zbrodni. Chodzi mi o kogoś, kto zna ludzi. Nie rozumie mnie pan? Potrzebny nam jest ktoś znający się doskonale na ludziach i ich złych skłonnościach.

Był to niezwykle punkt widzenia, miał jednak w sobie coś podniecającego.

Nim zdążyłem odpowiedzieć słówkiem, pani Dane–Calthrop skinęła mi głową, powiedziawszy szybko i stanowczo:

— Idę się tym zająć... i to natychmiast! I z tymi słowy wyszła przez werandę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następny dzień był najdziwniejszym dniem, jaki kiedykolwiek przeżyłem. Wszystko odbywało się jakby we śnie... wszystko wydawało mi się nierealne.

Właśnie odbyła się rozprawa u koronera, w której uczestniczyło całe Lymstock. Nie ujawniono żadnych nowych faktów i jedyny możliwy wyrok był: „Agnieszka Woddell została zamordowana przez osobę lub osoby nieznane”.

Tak więc biedna, mała Agnieszka Woddell, przeżywszy swój moment sławy, została jak należy pogrzebana na cichym, starym cmentarzu, a życie w Lymstock potoczyło się dawnym trybem.

Nie, to ostatnie określenie nie jest właściwie. Nie „dawnym”.

Prawie każdy mieszkaniec Lymstock miał trochę przestraszony, a trochę zaintrygowany wyraz oczu. Sąsiad patrzył nieufnie na sąsiada. Jedna okoliczność została stwierdzona na rozprawie u koronera ponad wszelką wątpliwość, a mianowicie, że było prawie wykluczone, aby morderstwa dokonał ktoś obcy. Nie zauważono w okolicy żadnych włóczęgów, żadnych łazików. A więc tu, w Lymstock, chodziła po ulicy Głównej, robiła sprawunki, spędzała normalnie dzień osoba, która ogłuszyła niewinną dziewczynę, a potem wbiła jej w głowę mordercze narzędzie.

I nikt nie wiedział, kim jest ta osoba. Jak już wspomniałem, dni upływały niby we śnie. Na każdego spotkanego patrzyłem jak na możliwego mordercę i muszę powiedzieć, że nie należało to do najprzyjemniejszych uczuć.

Wieczorami siadywaliśmy z Joanną przy zapuszczonych roletach, rozmawiając godzinami, kłócąc się, analizując kolejno wszelkie możliwości, które prawie bez wyjątku wydawały się nam fantastyczne i niewiarygodne.

Joanna upierała się przy panu Pye. Ja natomiast, po lekkim wahaniu, wróciłem do mojej pierwotnej koncepcji, panny Ginch. Ciągłe jednak powracaliśmy do wszelkich innych możliwych nazwisk:

Pan Pye?

Panna Ginch?

Pani Dane–Calthrop?

Panna Aimée Griffith?

Panna Emilia Barton?

Pani Partridge?

I przez cały czas czekaliśmy nerwowo, niespokojnie, że coś się stanie.

Nic się jednak nie stało. Nikt więcej, o ile się orientowaliśmy, nie otrzymał anonimu. Inspektor Nash zjawiał się od czasu do czasu w miasteczku, jednak, co robił i jakie zastawiał pułapki, nie miałem najmniejszego pojęcia. Graves znowu wyjechał do Londynu.

Panna Emilia Barton była u nas na herbatce. Megan na lunchu. Owen Griffith nadal zajmował się swoją praktyką. Odwiedziliśmy pana Pye i piliśmy u niego sherry. Poza tym byliśmy na herbatce u pastora.

Ucieszyłem się, że pani Dane–Calthrop nie ujawniała już takiego bojowego zapału, jak przy ostatnim naszym spotkaniu. Widocznie zupełnie o tym zapomniała. Obecnie interesowało ją głównie tępienie białych motyli, kapustników, żeby uchronić kalafiory i kapustę.

Nasze popołudnie na plebanii to chyba najpogodniejsze, jakie spędziliśmy w Lymstock. Plebania to ładny stary dom z dużym, zniszczonym, ale wygodnym salonem i meblami o wypełzłych różowych obiciach. Państwo Dane–Calthrop mieli gościa, sympatyczną starszą panią, która robiła coś na drutach z białej puszystej włóczki. Poczęstowano nas doskonałymi gorącymi ciasteczkami i herbatą, potem nadszedł pastor i obdarzył wszystkich swym spokojnym uśmiechem, prowadząc uprzejmą konwersację erudyty. Było bardzo przyjemnie.

Nie twierdzą zresztą, że nie poruszaliśmy tematu zbrodni, wręcz przeciwnie, nie przestawaliśmy o niej mówić.

Panna Marple, gość pastora, była — rzecz oczywista — wyraźnie przejęta tym tematem i powiedziała jakby się tłumacząc: „My tu na prowincji mamy tak mało tematów do rozmowy”. Doszła do wniosku, że ta Agnieszka była zupełnie podobna do jej Edyty.

— Taka miła, młoda dziewczyna i taka chętna... może tylko czasami troszeczkę za mało rozgarnięta.

— Ale powiedz mi, moja droga — zwróciła się do pani Dane–Calthrop — co ludzie tu na wsi, chciałam powiedzieć w miasteczku, mówią na to wszystko? Co o tym sądzą?

— Przypuszczam, że podejrzewają panią Cleat — odezwała się Joanna.

— Ach, nie! — zaprzeczyła pani Dane–Calthrop. — Teraz już nie!

Na zapytanie panny Marple, kto to jest pani Cleat, Joanna wyjaśniła, że to miejscowa czarownica.

— Prawda, że tak o niej mówią, proszę pani? — zwróciła się Joanna do pani Dane–Calthrop.

Pastor zacytował coś bardzo długo i cicho po łacinie, zdaje się, że na temat złej mocy wiedźm w ogóle, czego wysłuchaliśmy z należytym szacunkiem, w milczeniu.

— To bardzo głupia kobieta — rzekła pastora. — Lubi się „pokazać”. Zbiera zioła podczas pełni księżyca i stara się, aby wszyscy — o tym wiedzieli.

— I przypuszczam, że tutejsze naiwne dziewczęta chodzą do niej po porady? — spytała panna Marple.

Widząc, że pastor szykuje się do wygłoszenia nowego łacińskiego monologu, wtrąciłem pośpiesznie:

— Ale dlaczego by ludzie mieli jej nie posądzać o to morderstwo? Wszyscy przecież są zdania, że to ona pisała te listy.

— Och, ale, jak słyszę, dziewczyna została zamordowana szpikulcem do mięsa... (Bardzo nieestetyczne!) — zauważyła panna Marple. — Więc naturalnie, że to uwalnia ową panią Cleat od wszelkich podejrzeń. Bo, widzicie państwo, mogłaby przecież rzucić na nią urok, tak że dziewczyna by schła, schła i wreszcie umarła w sposób naturalny.

— To dziwne, jak te przesady tkwią głęboko w ludziach — rzekł pastor. — W okresie wczesnego chrześcijaństwa łączono lokalne zabobony z doktryną chrześcijańską, eliminując potem stopniowo bardziej nieprzyjemne cechy.

— Tu jednakże nie mamy do czynienia z zabobonami — rzekła pastorowa — ale z faktami!

— I to z bardzo nieprzyjemnymi faktami! — dodałem.

— Słusznie pan powiedział — rzekła panna Marple. — No, ale pan, przepraszam bardzo, że się wtrącam w nie swoje sprawy, pan jest tutaj obcy, pan zna świat i różne aspekty życia. Wydaje mi się, że pan powinien być zdolny do rozwikłania tego trudnego i przykrego problemu — dodała panna Marple.

Uśmiechnąłem się.

— Najlepszym rozwiązaniem, jakie potrafiłem znaleźć, był sen. W moim śnie wszystko świetnie do siebie pasowało i pięknie się układało. Niestety, z chwilą, kiedy się obudziłem, wszystko okazało się wierutnym nonsensem!

— Ależ to bardzo interesujące. Proszę mi powiedzieć, na czym polegał ten, pana zdaniem, nonsens?

— Ach, wszystko zaczęło się od niemądrego powiedzonka: „Nie ma dymu bez ognia”. Wszyscy uwzięli się, aby je powtarzać aż do znudzenia. A potem słowa te skojarzyły mi się jakoś z wojną. Zasłona dymna, świstek papieru, notatka przy telefonie... Nie, to już był ten drugi sen!

— A jakież to był sen?

Starsza dama wyglądała na ogromnie zaciekawioną, byłem prawie pewien, że jest potajemną zwolenniczką Sennika egipskiego, bez którego moja stara niania nie ruszała się na krok.

— Ach, po prostu śniło mi się, że Elsie Holland, guwernantka dzieci Symmingtonów, wychodzi za mąż za doktora Griffitha i że właśnie pan pastor odprawiał nabożeństwo po łacinie („Zgodnie z prawdą, kochanie”, szepnęła pani Dane-Calthrop do swego małżonka), a następnie pani pastorowa wstała i zerwała zapowiedzi, wołając, że trzeba z tym natychmiast skończyć.

— Ta część snu jednak — dokończyłem — okazała się już jawą. Zbudziłem się i ujrzałem panią — tu zwróciłem się do pastorowej — stojącą nade mną i wymawiającą te właśnie słowa.

— I miałam słuszość — rzekła pani Dane–Calthrop, lecz powiedziała to zupełnie łagodnie, co zauważyłem z przyjemnością.

— Ale co ma do tego notatka telefoniczna? — spytała panna Marple, podnosząc brwi.

— Obawiam się, że to się wyda pani idiotyczne, tego zresztą we śnie wcale nie było. Po prostu z telefonem to było wcześniej. Przechodząc przez hol, zauważyłem, że Joanna zostawiła kartkę, której treść należało podać komuś, gdyby ten ktoś zatelefonował.

Panna Marple pochyliła się z zainteresowaniem ku mnie. Na policzkach pojawiły się czerwone plamy.

— Czy będzie mnie pan uważał za bardzo dociekliwą i niedelikatną, jeżeli poproszę o podanie mi treści tej notatki? — Mówiąc to, rzuciła okiem na Joannę. — Bardzo panią przepraszam, kochanie!

Joanna jednak była także bardzo zaciekawiona i przejęta.

— Och, nic nie szkodzi — zapewniła starszą panią. — Sama nie bardzo pamiętam, co napisałam, ale może Jeny będzie mógł sobie przypomnieć. Musiało to być w każdym razie coś całkiem zwyczajnego.

Powtórzyłem powoli i uroczyście, jak mogłem najdokładniej, całą treść kartki. Pochlebiała mi niezmiernie skupiona uwaga panny Marple. Bałem się, że moje słowa mocno ją rozczarują, musiała jednak być nastrojona sentymentalnie i romantycznie, ponieważ potakiwała głową z uśmiechem zadowolenia.

— Rozumiem — rzekła. — Domyślałam się, że to musiało być coś w tym rodzaju.

Pani Dane–Calthrop spytała ostro:

— W jakim rodzaju, Jane?

— Coś zupełnie zwykłego — odpowiedziała panna Marple.

Przez krótką chwilę patrzyła na mnie zamyślona, po czym powiedziała nieoczekiwanie:

— Widzę, że jest pan niezwykle inteligentnym młodzieńcem, ale ma pan za mało zaufania do siebie. A tak być nie powinno!

Joanna gwizdnęła głośno.

— Na litość boską, niechże mu pani nie przewraca w głowie! I tak już ma za dobre wyobrażenie o swojej osobie!

— Joanno, uspokój się — zgromiłem siostrę. — My z panną Marple doskonale się rozumiemy.

Panna Marple znowu zaczęła robić na drutach.

— Wiecie państwo — rzekła zamyślona — mnie się wydaje, że dokonanie „udanego” morderstwa można by porównać do zaprodukowania przez kuglarza jakiejś magicznej sztuczki...

— Gdzie szybka manipulacja rękami myli wzrok? — spytałem.

— Nie tylko to. Ale także i dlatego, że trzeba koniecznie starać się skierować wzrok widzów w innym kierunku, na coś całkiem innego. Zdaje mi się, że to się nazywa „maskowanie”.

— Jak dotąd, to mam wrażenie, że wszyscy kierują wzrok w nieodpowiednim kierunku, jeżeli chodzi o naszego szaleńca na wolności — wtrąciłem.

— Ja osobiście — rzekła panna Marple — byłabym raczej skłonna szukać kogoś zupełnie zdrowego na umyśle.

— Tak — powiedziałem — zamyślony. — Tego samego zdania jest inspektor Nash. Pamiętam, że podkreślił również ogólne poważanie...

— O, — właśnie — przerwała mi skwapliwie panna Marple — to też bardzo ważne.

Wszyscy się z tym zgodziliśmy.

Następnie zwróciłem się do pani Dane-Calthrop:

— Nash jest zdania, że pojawią się jeszcze dalsze anonimy. A pani, jak sądzi?

— Przypuszczam, że to zupełnie niewykluczone — odpowiedziała wolno.

— Jeżeli policja tak myśli, to niewątpliwie tak się stanie — rzekła panna Marple.

Ja jednak uparcie zwracałem się ku pani Dane-Calthrop.

— Czy pani ciągle jeszcze żałuje ich autora?

— A jeśli powiem, że tak? — zapytała, lekko się rumieniąc.

— Nie zgodziłabym się z tobą, kochanie — rzekła panna Marple. — Nie w tym wypadku!

— Pchnąć jedną kobietę do samobójstwa i przysporzyć tyle niedoli i zmartwień! — zawołałem gorąco.

— Czy i pani także otrzymała anonim? — zwróciła się panna Marple do Joanny.

— O tak! Był pełen najokropniejszych bzdur — rzekła Joanna trochę zmieszana.

— Widzę, że autor wybierał sobie przeważnie osoby młode i ładne — zauważyła panna Marple.

— Dlatego też wydaje mi się trochę dziwne, że panna Holland została tu oszczędzona — wtrąciłem.

— Zaczekajcie! — rzekła panna Marple. — Czy to jest ta guwernantka Symmingtonów, ta, która się panu śniła, panie Burton?

— Tak jest.

— Na pewno także dostała anonim, tylko się nie chce przyznać — rzekła powątpiewająco Joanna.

— Nie — odpowiedziałem kategorycznie. — Wierzę jej, podobnie zresztą jak i inspektor Nash.

— Boże drogi — rzekła panna Marple. — To doprawdy bardzo ciekawe! To najciekawsze ze wszystkiego, co usłyszałam dzisiaj po południu.

Gdy wracaliśmy do domu, Joanna powiedziała, że nie powinienem powtarzać tego, co mi mówił inspektor Nash o możliwości pojawienia się nowych anonimów.

— A dlaczego miałbym nie powiedzieć? — spytałem.

— Ponieważ możliwe, że tym „kims”, kto pisze, jest pani Dane–Calthrop.

— Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz? — spytałem.

— Wcale nie jestem taka pewna... To dziwna kobieta...

I znowu zaczęliśmy dyskutować o możliwych podejrzanych.

W dwa dni później pod wieczór wracałem autem z Exhampton. Byłem na proszonym obiedzie i ściemniło się już zupełnie, gdy dojeżdżałem do Lymstock.

Coś się zepsuło ze światłem w samochodzie, tak że zwolniłem i musiałem na końcu stanąć i wysiąść, żeby sprawdzić i ewentualnie zreperować reflektory. Pokręciłem tu i tam, wreszcie udało mi się naprawić światła.

Ulica była o tej porze zupełnie pusta. Z zapadnięciem mroku Lymstock jest jak wymarłe. W pobliżu przede mną majaczyły pierwsze domy miasteczka: między nimi zaś brzydki, spiczasty budynek Instytutu Kobiet rysował się niewyraźnie w świetle gwiazd. Coś zmusiło mnie, żeby podejść i zajrzeć do wnętrza. Nie wiem, czy była to niewyraźna sylwetka kogoś wchodzącego przez furtkę, jeżeli tak, to musiała być tak niewyraźna, że nie zdołałem jej zarejestrować w świadomości. Nagle jednak poczułem niepohamowaną chęć przyjrzenia się domowi bliżej.

Furtka była uchylona, pchnąłem ją więc tylko lekko i wszedłem za ogrodzenie. Do drzwi wiodła krótka ścieżka, zakończona czterema schodkami.

Chwilę stałem nasłuchując. „Co tu właściwie robię?” — pomyślałem z wahaniem. Raptem, tuż obok, posłyszałem jak gdyby szelest kobiecej sukni. Skręciłem w bok i poszedłem za węgiel domu, w kierunku dosłyszanego szmeru.

Nie mogłem nikogo dojrzeć. Skręciłem więc znowu za drugi węgiel. Znalazłem się teraz na tyłach

domu. Nagle, tuż przed sobą, spostrzegłem otwarte okno. Podpełzłem ku niemu nasłuchując. Na razie nic nie usłyszałem, ale w jakiś dziwny sposób czułem, że ktoś znajduje się wewnątrz. Stan moich pleców nie pozwalał jeszcze na żadne sztuki akrobatyczne, udało mi się jednak unieść na rękach w górę i przez parapet wśliznąć do wnętrza. Na nieszczęście nie obyło się to bez hałasu. Stałem tuż przy oknie, nie poruszając się z miejsca i nasłuchując. Potem zacząłem się posuwać naprzód z wyciągniętymi przed siebie rękami w ciemności. Z prawej strony usłyszałem jakiś szmer. Wyjąłem z kieszeni elektryczną latarkę i zaświeciłem. Nagle cichy, ostry głos zawołał tuż przy mnie: „Proszę zgasić!” Posłuchałem natychmiast, gdyż poznałem głos inspektora Nasha.

Czułem, że bierze mnie za ramię i prowadzi przez jakieś drzwi na korytarz. Tutaj, gdzie nie było żadnego okna, które by mogło zdradzić naszą obecność komuś z zewnątrz domu, zaświecił latarkę i popatrzył na mnie nie tyle ze złością, ile z wyrzutem.

— I koniecznie musiał pan tu wchodzić właśnie w takiej chwili!

— Bardzo przepraszam — rzekłem usprawiedliwiająco — ale zdawało mi się, że wpadłem na jakiś trop.

— I najprawdopodobniej tak było... Widział pan kogoś?

Zawahałem się.

— Nie jestem zupełnie pewien — odpowiedziałem powoli. — Miałem niewyraźne wrażenie, że ktoś się wsunął przez otwartą furtkę, ale widzieć... nie, nie widziałem nikogo. Potem usłyszałem za węgłem domu jakiś szelest...

Nash skinął głową.

— Tak, ma pan rację. Ktoś okrążył dom chwilę przed panem. Ten ktoś zawahał się przy oknie, potem szybko poszedł dalej; przypuszczalnie usłyszał pana.

— A o co właściwie chodzi? — spytałem zaciekawiony.

— Widzi pan, wyszedłem z założenia, że nasza autorka anonimów nie zdoła się powstrzymać. Pomyśli może, że to niebezpieczne, a mimo to będzie pisać. To już coś w rodzaju nałogu, narkotyku... Dalej pomyślałem, że ktokolwiek by to był, postara się, żeby listy wyglądały identycznie jak poprzednie. Autorka ma jeszcze zapas kartek wyciętych z książki i może wykorzystała słowa i litery. Ale chodzi o koperty, tu leży trudność. Będzie chciała wystukać je na tej maszynie. Nie może ryzykować użycia innej albo pisania ręcznie.

— I pan naprawdę wierzy, że ona będzie kontynuowała tę niebezpieczną zabawę? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak. I mogę się z panem założyć o nie wiem co, że jest pewna powodzenia. Tego rodzaju ludzie są zawsze zarozumiali. Zważywszy to wszystko, wyobraziłem sobie, że ktokolwiek by to był, przyjdzie o zmroku do Instytutu, żeby skorzystać z maszyny.

— Panna Ginch...? — podsunąłem.

— Możliwe.

— Jeszcze pan nie wie nic konkretnego?

— Nie.

— Ale ma pan jakieś podejrzenia?

— Owszem, tylko że ten ktoś jest niezmiernie sprytny, proszę pana. Umie przewidzieć świetnie wszelkie ewentualności.

Mogłem sobie doskonale wyobrazić niektóre z zastawionych przez inspektora Nasha pułapek. Byłem pewien, że każdy list napisany i wysłany pocztą, względnie doręczony osobiście, przez jedną z podejrzanych osób, podlega natychmiastowemu skontrolowaniu. Wcześniej czy później zbrodniarz zrobi fałszywy krok, stanie się nieostrożny.

Po raz trzeci przeprosiłem inspektora za moją gorliwość i niepożądaną tutaj obecność.

— Trudno — rzekł inspektor Nash filozoficznie — nie ma już o czym mówić. Może następnym razem powiedzie się nam lepiej.

Wyszedłem w ciemność. Koło mojego wozu stała jakaś niewyraźna postać. Ku memu wielkiemu zdumieniu poznałem w niej Megan.

— Halo! — zawołała. — Domyśliłam się, że to pana wóz. Co pan tu robi?

— Ciekawsze, co pani tu robi o tej porze?

— Wysłałam na spacer. Lubię spacerować po ciemku. Nikt człowieka nie zatrzymuje i nie zadaje głupich pytań, a poza tym lubię gwiazdy. Wszystko tak pięknie w nocy pachnie i każda zwykła rzecz wydaje się dziwna i tajemnicza...

— Wszystko to prawda — powiedziałem. — Ale tylko koty i czarownice spacerują po nocy. W domu będą się dziwić, co się z panią stało.

— Niech się pan nie boi. Nigdy się nie interesują, gdzie jestem i co robię.

— A co u pani słyhać w ogóle? — zapytałem.

— Dziękuję... wszystko w porządku.

— Panna Holland zajmuje się trochę panią?

— Elsie to bardzo porządna dziewczyna. A że jest skończoną idiotką, to nie jej wina.

— Nie bardzo to grzecznie powiedziane, ale zapewne prawdziwie — rzekłem. — Niech pani wsiada, podwiozę panią do domu!

Twierdzenie Megan, że nikt w domu nie zauważy jej nieobecności, okazało się niezupełnie prawdziwe, bo gdy zajechaliśmy pod dom, ujrzałem, że pan Symmington stoi na progu. Wychylił się w naszą stronę.

— Halo, czy to Megan?

— Tak — odpowiedziałem. — Przywiozłem ją do domu.

— Nie powinnaś wychodzić z domu nie opowiedziawszy się — powiedział ostrym tonem pan Symmington. — Panna Holland była bardzo o ciebie niespokojna.

Megan coś mruknęła i precisnęła się obok ojczyma do domu. Pan Symmington westchnął i rzekł:

— Dorosła dziewczyna w domu to wielka odpowiedzialność, jeżeli nie ma matki, która by się nią opiekowała. Na szkołę jest chyba za duża... Przypuszczam, że była z panem na spacerze? — spytał i popatrzył na mnie podejrzliwie.

Uważałem, że najlepiej urwać tu rozmowę, zostawiając go w tym przekonaniu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na drugi dzień napadło mnie jakieś szaleństwo. Patrząc na to teraz z perspektywy nie mogę znaleźć innego wytłumaczenia.

Owego dnia przypadła moja comiesięczna wizyta u doktora Marcusa Kenta. Miałem jechać do Londynu pociągiem. Ku memu wielkiemu zdziwieniu Joanna wolała zostać, chociaż zwykle z prawdziwą przyjemnością towarzyszyła mi w tych wyjazdach i na ogół zostawaliśmy w Londynie na dwa, trzy dni.

Tym razem jednak zaproponowałem, że wrócimy tego samego dnia wieczorem, ale i tak Joanna nie chciała ze mną jechać. Powiedziała tylko zagadkowo, że ma bardzo dużo do roboty i nie ma ochoty dusić się kilka godzin w pociągu, kiedy na wsi taka piękna pogoda.

Nie mogłem temu, oczywista, zaprzeczyć, ale wszystko razem było bardzo niepodobne do Joanny. Ponieważ oświadczyła, że samochód nie będzie jej potrzebny, miałem pojechać na stację i zaparkować tam wóz aż do mego powrotu wieczorem.

Z przyczyn znanych jedynie zarządowi kolei stacja Lymstock położona jest o jakieś pół mili od miasteczka. Mniej więcej w pół drogi spotkałem Megan kroczącą bez celu. Zatrzymałem wóz.

— Dzień dobry, co pani tutaj robi?

— Wyszłam po prostu na spacer.

— Ale nie na taki zdrowy, szybki spacer, jak widzę. Pełza pani jak przygnębiony krab...

— No, cóż? Tak sobie idę bez żadnego określonego celu.

— To niech pani lepiej wsiądzie i odprowadzi mnie na stację. — To mówiąc, otworzyłem drzwiczki i Megan wskoczyła szybko do wozu.

— Dokąd pan jedzie? — zapytała.

— Do Londynu, pokazać się doktorowi.

— Ale chyba nie pogorszyło się panu z plecami?

— Nie! Przeciwnie! Prawdę mówiąc, plecy moje są już w zupełnym porządku. Mam nadzieję, że doktor będzie ze mnie bardzo zadowolony.

Megan kiwnęła z zadowoleniem głową.

Zajechaliśmy przed stację. Zaparkowałem samochód i poszedłem do kasy kupić bilet. Na peronie było bardzo niewiele osób i nie zauważyłem nikogo ze znajomych.

— Nie pożyczylby mi pan pensa? — spytała Megan. — Kupiłabym sobie w automacie batonik czekoladowy.

— Proszę bardzo, dzieciaku! — powiedziałem, wręczając jej żądany pieniądz. — A może jeszcze gumy do żucia albo pastylek na kaszel?

— Nie, najlepiej lubię czekoladę — odpowiedziała Megan, zupełnie nie podejrzewając ironii.

Odeszła w kierunku automatu, ja zaś spoglądałem w ślad za nią ze wzrastającym uczuciem irytacji.

Megan miała przydeptane trzewiki i grube, brzydkie pończochy. Poza tym jakiś specjalnie zniekształcający sweter i niezgrabną spódnicę. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie to wszystko doprowadzało do takiej pasji, fakt jednak, że tak było.

Gdy podeszła do mnie, powiedziałem zirytowany:

— Czemu pani nosi takie ohydne pończochy?

Megan spojrzała na swoje nogi, zdziwiona.

— A cóż im brakuje?

— Wszystkiego im brakuje. Są po prostu ohydne! I po co nosić sweter koloru zgniłej kapusty?

— Przecież jest zupełnie porządny? Noszę go już tyle lat...!

— To widać... I dlaczego...

W tej chwili nadjechał pociąg i przerwał moją indagację. Wszedłem do pustego przedziału pierwszej klasy, opuściłem okno i wychyliłem się, aby kontynuować rozmowę. Stała przy oknie z podniesioną ku mnie twarzą. Zapytała, dlaczego jestem taki wściekły.

— Wcale nie jestem wściekły — skłamałem — tylko po prostu gniewa mnie, że pani jest taka nieporządna i zupełnie nie dba o swój wygląd!

— I tak nigdy nie będę wyglądać ładnie, więc czy to nie wszystko jedno?

— Boże świąty! — wykrzyknąłem. — Marzę o tym, żeby zobaczyć panią porządnie ubraną. Żeby tak zabrać panią do Londynu i ubrać od stóp do głów...?!

— Ja też bym bardzo chciała!

Pociąg już ruszał. Spojrzałem na podniesioną ku mnie smętną twarzą Megan. I wtedy właśnie, jak powiadam, ogarnęło mnie szaleństwo.

Otworzyłem drzwi wagonu, pochwyciłem Megan za ramię i po prostu wciągnąłem do przedziału.

Jakiś bagażowy krzyknął z oburzenia, ale nie mógł nic zrobić, tylko zatrzęsł za nami drzwi. Pomogłem Megan wstać z podłogi, gdzie wylądowała po moim gwałtownym szarpnięciu.

— Po co pan to zrobił, u licha? — spytała, rozcierając sobie stłuczone kolano.

— Niech pani będzie cicho! — zawołałem. — Jedzie pani ze mną do Londynu, a jak wrócimy, to założę się, że pani sama siebie nie pozna. Przekonam panią, jak można wyglądać, jeżeli się tylko chce. Dość już mam patrzenia na pani przydeptane obcasy i... w ogóle!

— Och! — szepnęła Megan jakby w ekstazie. Gdy nadszedł konduktor, wykupiłem dla Megan bilet powrotny. Siedziała w rogu przedziału, spoglądając na mnie od czasu do czasu z rodzajem pełnego grozy uszanowania.

— Wie pan co? — rzekła po wyjściu konduktora. — Z pana musi być porządny raptus...!

— Owszem — odpowiedziałem — to u nas rodzinne.

W jaki sposób wytłumaczyć Megan mój nagły impuls? Tam, na peronie, wyglądała jak smutny psiak, którego się zostawia w domu, a samemu się idzie na spacer. Teraz zasnę twarzą jej malował się pełen niedowierzania zachwyty, jak u psa, którego w końcu jednak zabrano.

— Przypuszczam, że nie zna pani dobrze Londynu? — spytałem.

— Owszem, znam — odpowiedziała. — Jadąc do szkoły zawsze przejeżdżałam przez Londyn. Poza tym bywałam tam u dentysty i czasem na świątecznych pantomimach.

— Ale teraz — szepnąłem tajemniczo — zobaczy pani zupełnie inny Londyn.

Do Londynu przyjechaliśmy pół godziny przed wyznaczoną mi wizytą u doktora na Harley Street.

Wziąłem taksówkę i kazałem się wieźć wprost do firmy Mirotin, gdzie się ubierała Joanna. Firma Mirotin to w rzeczywistości oryginalna i rześka czterdziestopięcioletnia kobieta, Mary Grey. Jest to bardzo inteligentna osoba i świetny kompan. Zawsze ją lubiłem.

— Pani jest moją kuzynką. Proszę pamiętać — powiedziałem w taksówce do Megan.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— Nie sprzeczać się i już! — odpowiedziałem.

Mary Grey zajęta była właśnie jakąś tęgą Żydówką, która upierała się przy obcistej, bladoniebieskiej sukni wieczorowej. Odciągnąłem Mary na bok i powiedziałem cicho:

— Proszę, niech pani posłucha. Przywiozłem z sobą naszą małą kuzyneczkę z prowincji. Miała przyjechać z nią Joanna, ale coś jej przeszkodziło. Zapewniła mnie jednak, że wszystko mogę powierzyć pani. Widzi pani, jak ta dziewczyna wygląda?

— Mój Boże, jasne, że widzę! — rzekła z przejęciem Mary Grey.

— Otóż proszę, aby pani ubrała ją przyzwoicie od stóp do głów. Ma pani całkowite carte blanche. Pończochy, buciki, bielizna, słowem, wszystko! Aha, przy okazji! Gdzieś tu niedaleko jest, zdaje się, fryzjer, u którego się czesze Joanna?

— Antoine? Tuż za rogiem. Zajmę się i tym także.

— Pani jest nieoceniona! — zawołałem z przejęciem.

— Och, sprawi mi to naprawdę ogromną przyjemność, nie mówiąc już o stronie materialnej. Dzisiaj i to także jest nie do pogardzenia, bo połowa moich ukochanych klientek nie płaci rachunków. Ale, jak panu powiedziałam, zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

Obrzuciła krótkim, fachowym spojrzeniem Megan od stóp do głowy.

— Ma doskonałą figurę — orzekła.

— Pani ma chyba rentgen zamiast oczu — powiedziałem — bo dla mnie to ona w ogóle jest jedną bezkształtną masą.

Mary Grey roześmiała się wesoło.

— To te nasze szkoły wszystkiemu winne. Zdają się szczyścić tym, że potrafią zrobić z ładnych, delikatnych dziewcząt kompletne straszydła. Nazywa się to, że dziewczęta wyglądają „słodko i niewinnie”. Niekiedy potrzeba miesięcy, by taka dziewczyna przyszła do normy i zaczęła wyglądać jak człowiek. Ale niech się pan nic nie martwi. Już moja w tym głowa!

— Świetnie! — powiedziałem. — Mniej więcej koło godziny szóstej przyjdę tutaj po moją kuzynkę.

* * *

Doktor Marcus Kent był ze mnie bardzo zadowolony. Powiedział nawet, że przeszedłem wszelkie jego oczekiwania.

— Musi pan chyba mieć konstytucję słonia — powiedział — żeby tak szybko powrócić do formy. To wprost nie do wiary, co może zrobić wiejskie powietrze, wczesne kładzenie się spać i spokój, jeżeli tylko człowiek potrafi w tym wytrwać.

— Zgodzę się na pierwsze dwie rzeczy — odrzekłem — ale niech pan nie myśli, doktorze, że wieś jest pozbawiona silnych wrażeń. W naszych stronach ostatnio mieliśmy nawet ich nadmiar.

— Jakiego rodzaju wrażenia?

— Na przykład morderstwo — powiedziałem. Marcus Kent wyduł wargi i przeciągle gwizdnął.

— Ooo! Jakaś sielska tragedia miłosna? Wiejski chłopiec zamordował z zazdrości niewierną dziewczynę?

— Nic podobnego! Stuprocentowy, zdecydowany szaleniec, zbrodniarz.

— Nic o tym nie czytałem! Kiedy go schwytano?

— Wcale go jeszcze nie schwytano, a poza tym te nie on, a ona!

— Ho, ho! Zaczynam się zastanawiać, czy Lymstock jest dla pana odpowiednim miejscem, mój drogi chłopcze!

— Z pewnością jest odpowiednie — odrzekłem stanowczo. — I za nic mnie pan doktor stamtąd nie wyciągnie.

Doktor Marcus Kent ma zawsze frywolne myśli. Wykrzyknął więc od razu:

— Aha! Tu cię mam! Jakaś blondyneczka!

— Nic podobnego — odpowiedziałem z trochę nieczystym sumieniem, gdyż przypomniała mi się Elsie Holland. — Po prostu bardzo mnie pasjonuje psychologia zbrodni.

— No, dobrze, dobrze! Jak dotychczas, niewiele szkody panu to wyrządziło, niech się pan jednak ma na baczności przed tym mordercą-wariatem.

— Nie ma strachu! — odpowiedziałem wesoło.

— Nie zechciałby pan zjeść ze mną obiadu? Mógłby mi pan wtedy opowiedzieć bardziej szczegółowo o tym waszym morderstwie.

— Niestety, bardzo żałuję, ale jestem zajęty.

— Rendez-vous z jakąś damą, he? Stanowczo twierdzę, że jest pan na najlepszej drodze do całkowitego wyzdrowienia!

— Powiedzmy, że tak — odpowiedziałem, raczej ubawiony na myśl o Megan jako o „damie”.

W firmie Mirotin zjawiłem się o godzinie szóstej, gdy magazyn już był oficjalnie zamknięty. Mary Grey powitała mnie na górze, przy schodach wiodących do salonu pokazowego. Położyła palec na ustach.

— Niech się pan przygotuje na wielki wstrząs. Jeżeli już ja sama tak mówię, to znaczy, że włożyłam w moje dzieło niemało wysiłku.

Wszedłem do salonu. Przed wielkim lustrem stała Megan i oglądała się ze wszystkich stron. Daję słowo, że prawie jej nie poznałem! Przez chwilę zabrakło mi tchu w piersiach. Stała wysoka i smukła jak młoda topola, o delikatnych, cienkich, rasowych nogach, widocznych przez cieniutkie pończoszki, obutych w eleganckie pantofelki. Piękne ręce i nogi, drobne kości, szyk i wytworność w każdym calu. Włosy pięknie ułożone i gładko obejmujące głowę, błyszczały jak dojrzałe złociste kasztany. Mieli na tyle rozumu, żeby zostawić jej twarz w spokoju. Nie była uszminkowana, a jeżeli nawet, to tak subtelnie i nieznacznie, że prawie wcale nie było tego widać. Usta Megan nie potrzebowały szminki.

Ale ponad wszystko było w niej jeszcze coś, czego nigdy dotychczas nie zauważyłem... Jakaś subtelna godność, coś nieuchwytnego w noszeniu głowy, w wygięciu szyi. Spojrzała na mnie poważnie, z lekkim, trochę może zażenowanym uśmiechem.

— Prawda, że ładnie wyglądam? — zapytała.

— Ładnie? — powtórzyłem. — Ładnie to nie jest właściwe słowo! Idziemy na obiad i jestem kiep, jeżeli co drugi mężczyzna nie obejrzy się za panią! Zapędzi pani w kozi róg wszystkie inne dziewczęta!

Megan była nie tyle piękna, co oryginalna i niezmiernie efektowna. Uroda jej miała swoisty, indywidualny charakter.

Weszła do restauracji przede mną, a kiedy starszy kelner podskoczył ku nam, poczułem idiotyczny dreszczyk, jaki odczuwają zwykle mężczyźni, gdy są w towarzystwie niezwyklej, zwracającej uwagę kobiety.

Najpierw podano cocktaile, przy których trochę marudziliśmy. Potem był obiad. Po obiedzie zaś za tańczyliśmy. Megan miała na to wielką ochotę, ja zaś nie chciałem jej rozczarowywać, chociaż, sam nie wiem dlaczego, byłem pewien, że Megan nie umie tańczyć. Tymczasem przeciwnie, płynęła w moich ramionach lekka jak piórko, a nogi i całe jej ciało poddawały się wspaniale rytmowi muzyki.

— Do licha — powiedziałem — ależ pani potrafi tańczyć!

— Naturalnie, że potrafię — Megan zdziwiła się trochę. — W szkole co tydzień miałyśmy lekcję.

— Na to, żeby dobrze tańczyć, potrzeba czegoś więcej aniżeli lekcji w szkole — zauważyłem.

Powróciliśmy do stolika.

— Prawda, jakie pyszne jest tutaj jedzenie? — zawołała z entuzjazmem. — I w ogóle wszystko! — Przy tych słowach głęboko westchnęła z rozkoszy.

— Zupełnie tak samo myślę — zapewniłem ją.

To był jakiś zwariowany wieczór. Ciągle jeszcze nie byłem normalny. Dopiero słowa Megan sprowadziły mnie na ziemię.

— Czy nie powinniśmy już wracać do domu?

Otworzyłem ze zdumienia usta. Tak, na pewno zwariowałem! Zapomniałem o całym świecie! Byłem w jakimś transie, w oderwanym, nierealnym świecie, razem z istotą stworzoną przeze mnie samego.

— Wielki Boże! — zawołałem, zdając sobie sprawę, że ostatni pociąg już odszedł. — Niech pani tutaj zaczeka — powiedziałem — a ja pójdę zatelefonować.

Połączyłem się z firmą Llewellyn, wynajmującą samochody, i zamówiłem natychmiast największy i najszybszy wóz, jaki mają do rozporządzenia. Następnie wróciłem do Megan.

— Ostatni pociąg już odszedł — powiedziałem. — Będziemy musieli jechać samochodem.

— Naprawdę...? To pycha...!

„Cóż to za przemiłe dziecko — pomyślałem.” Ze wszystkiego zadowolona, nie zadręcza człowieka pytaniami, zgadza się na wszystkie propozycje bez kaprysów i nudziarstwa!”

Po chwili nadjechał samochód, wielki i szybki, niemniej było już bardzo późno, gdy dojechaliśmy do Lymstock.

Tknięty nagle wyrzutami sumienia, powiedziałem:

— Jestem pewien, że wysłali po panią ekspedycję ratunkową.

Megan była w zupełnie pogodnym usposobieniu. Powiedziała tylko obojętnie:

— Ech, nie przypuszczam. Bardzo często nie wracam do domu na lunch!

— Tak, moje drogie dziecko, ale pani nie wróciła ani na herbatę, ani na kolację.

Tymczasem okazało się, że Megan urodzona jest pod szczęśliwą gwiazdą, bo dom był pogrążony w ciemnościach. Za jej poradą podeszliśmy do tylnego wejścia i zaczęliśmy rzucać kamyki w okno

Rózi. Po, chwili Rózia obudziła się i wyjrzała przez okno, pokrzykując ze zdziwienia, gdy nas poznała. Wreszcie zeszła na dół i wpuściła nas.

— No, coś podobnego! A ja powiedziałam, że panienka jest u siebie i śpi. Pan i panna Holland — przy wymawianiu tego nazwiska z lekka pociągnęła nosem — zjedli wcześniej kolację i pojechali na spacer. Powiedziałam, że popilnuje chłopców. Zdawało mi się, że słyszę, jak panienka przyszła, podczas gdy byłam w dzieciennym pokoju na górze i starałam się uspokoić Colina, bo okropnie grymasił. Ale kiedy zeszłam na dół, nie zastałam nikogo, byłam więc przekonana, że się panienka już położyła spać. I tak też powiedziałam, kiedy pan wrócił i pytał o panienkę. Przerwałem ten monolog krótką uwagą, że właśnie panna Megan powinna się teraz znajdować w łóżku.

— Dobranoc — rzekła do mnie Megan — i strasznie panu dziękuję! To był najpiękniejszy dzień w moim życiu!

Odjechałem do domu, ciągle jeszcze z lekka nieprzytomny. Obdarzywszy szofera sutym napiwkami, zaproponowałem mu przenocowanie, on jednak wolał wracać do Londynu, chociaż po nocy.

W trakcie mojej rozmowy z szoferem uchyliły się drzwi, a gdy szofer odjechał, otworzyły się szerzej i ukazały stojącą w holu Joannę.

— No, nareszcie!

— Byłaś może o mnie niespokojna? — spytałem, wchodząc do holu i zamykając za sobą drzwi.

Joanna przeszła do saloniku, a ja za nią. Na stolyczku stała przygotowana maszynka do kawy. Joanna naląła sobie kawy, ja zaś whisky z wodą sodową.

— Niespokojna o ciebie? Skądże, nic podobnego! Przypuszczałam nawet, że zostaniesz w Londynie na noc i poszalejesz sobie trochę.

— Owszem, poszalałem trochę. — Uśmiechnąłem się, potem zacząłem śmiać się głośno. Joanna spytała o przyczynę, więc wszystko jej szczegółowo opowiedziałem.

— Ależ, Jerry, chyba zwariowałeś! Nie, naprawdę! Kompletnie zwariowałeś!

— Przypuszczam, że chyba masz rację!

— Ależ, drogi chłopcze, nie wolno ci było robić czegoś podobnego, w każdym razie nie w takiej dziurze, jak ta...! Zobaczysz, że jutro nikt nie będzie o niczym innym mówić!

— Ja też tak myślę, ale przecież Megan to właściwie dziecko...

— Dobre dziecko! Dwudziestoletnie! Nie możesz przecież zabierać dwudziestoletniej pannicy do Londynu i kupować jej tam garderobę. Żeby tylko z tego nie wyniknął jakiś okropny skandal! Na litość boską, Jerry, nie będziesz miał chyba innego wyjścia, jak ożenić się z nią!

Joanna powiedziała to pół żartem, pół serio, a ja w tym samym momencie zrobiłem epokowe

odkrycie.

— A niech to diabli! — powiedziałem. — Wcale bym nie był od tego. Właściwie, to nawet bardzo chętnie bym to zrobił.

Na twarzy Joanny pojawił się bardzo dziwny wyraz. Wstała i poszła w kierunku drzwi, powiedziawszy sucho:

— Oczywiście, wiedziałam o tym już od dłuższego czasu.

Zostawiła mnie w holu samego, ze szklanką whisky w ręku, bardzo zaskoczonego moim nowym odkryciem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się czuje mężczyzna zamierzający się oświadczyć.

W powieściach — to wiem... w gardle zasycha, kołnierzyk dusi i w ogóle stan nerwów jest rozpaczliwy.

Ja zaś zupełnie tego wszystkiego nie odczuwałem. Powziąwszy szczęśliwy pomysł, chciałem po prostu zrealizować go możliwie jak najprędzej. Nie widziałem żadnej specjalnej potrzeby ani powodu do zakłopotania.

Koło godziny jedenastej udałem się w kierunku willi Symmingtonów. Zadzwoiłem, a gdy mi otworzyła Różia, spytałem o pannę Megan. Dopiero porozumiewawcze spojrzenie Rózi trochę mnie speszyciło.

Wprowadziła mnie do małego saloniku na dole; podczas gdy czekałem, myślałem z niepokojem, czy Megan nie dostała bury za wczorajszy dzień.

Gdy drzwi się otworzyły, jedno spojrzenie na Megan od razu mnie uspokoiło. Zupełnie nie wyglądała na zażenowaną czy przygnębioną. Główka jej ciągle jeszcze lśniła jak świeży kasztan i w całej postaci przebijał ten sam wyraz dumy i pewności siebie, co wczoraj. Była w swojej starej sukience, potrafiła jednak wyglądać w niej dzisiaj zupełnie inaczej. Zdumiewające, co może zrobić z młodej dziewczyny świadomość własnej urody. Zdałem sobie sprawę, że Megan stała się nagle dorosła.

Przypuszczam, że musiałem być porządnie zdenerwowany, w przeciwnym bowiem razie nie rozpocząłbym rozmowy od serdecznego powitania:

— Halo! Jak się masz, cudaku!

Nie można powiedzieć, żeby to było odpowiednie przywitanie dla zakochanego. Zdaje się jednak, że Megan zupełnie się nie zdziwiła. Uśmiechnąwszy się bowiem, odpowiedziała serdecznie:

— Dzień dobry!

— Mam nadzieję, że nie miała pani żadnej awantury z powodu wczorajszego dnia!

Megan odpowiedziała z całkowitą pewnością siebie:

— Ach, nie. — Zamrugła powiekami i dodała wymijająco: — Chociaż, owszem, trochę miałam. Nagadali mi masę rzeczy i zdaje się, że uważali to wszystko za bardzo dziwne, ale pan sam wie najlepiej, jacy są ludzie i jak lubią robić z igły widły.

Poczułem ulgę, że pełne zgrozy oburzenie domu spłynęło po Megan jak woda po gęsi.

— Wybrałem się tutaj z samego rana — powiedziałem — gdyż chciałem pani coś zaproponować. Chodzi mi o to, że panią bardzo lubię i przypuszczam, że pani odpłaca mi wzajemnością.

— Szalenie! — zawołała Megan z trochę niepokojącym entuzjazmem.

— I ponieważ się świetnie razem czujemy — brnąłem dalej — przyszło mi do głowy, czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy się pobrali?

— Ooch! — powiedziała przeciągle Megan.

Była najwyraźniej bardzo zdziwiona. Tylko zdziwiona. Nie przejęta ani nie zgorszona, po prostu zdziwiona.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że naprawdę ma pan ochotę się ze mną ożenić? — zapytała jak ktoś, kto chce całkowicie wyjaśnić sytuację.

— Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie! — odpowiedziałem. I tak czułem istotnie.

— Jest pan we mnie zakochany?

— Tak.

Wyraz jej oczu był poważny i nie zmieniony. Odpowiedziała po chwili:

— Uważam pana za najmilszego człowieka pod słońcem, ale ja pana nie kocham.

— Zmuszę panią, żeby mnie pani pokochała!

— To się na nic nie przyda. Nie chcę być przymuszana do kochania!

Przez chwilę panowało milczenie, a potem Megan dodała poważnie:

— Nie jestem odpowiednią żoną dla pana. Ja lepiej potrafię nienawidzić niż kochać.

Słowa te powiedziała dziwnie mocno.

— Nienawiść przemija, a miłość trwa — powiedziałem.

— Czy naprawdę?

— Przynajmniej ja w to wierzę głęboko. Znowu zapanowało milczenie. Po chwili spytałem:

— Więc odpowiedź brzmi: „nie”.

— Nieodwołalnie „nie”.

— I nie pozostawia mi pani żadnej nadziei?

— Na co by się to przydało?

— Na nic, oczywiście — zgodziłem się — po prostu szkoda słów. Bo cokolwiek mi pani powie i tak nie stracę nadziei.

A więc nie. Wyszedłem od Symmingtonów trochę oszołomiony, zdając sobie jednocześnie z irytacją sprawę z tego, że ścigał mnie, gdy odchodziłem, ciekawski wzrok Rózi.

Nim jednak zdołałem uciec, Rózia miała jeszcze dużo do powiedzenia. Że nie może przyjść do siebie od tamtego okropnego dnia! I nie zostałaby tu ani godziny, gdyby nie to, że żal jej dzieci i tego biedaka pana Symmingtona. Nie zostanie tu, jeżeli natychmiast nie przyjmą innej dziewczyny, chociaż to nie będzie łatwa sprawa, zważywszy na morderstwo w domu. To bardzo łatwo było mówić pannie Holland, że zajmie się tymczasem domem. Bardzo jest miła i uprzejma. O tak, ale marzy o tym, żeby zostać pewnego pięknego dnia panią tego domu! Pan Symmington, biedny człowiek, nigdy niczego nie widzi, ale wiadomo przecież, co to jest wdowiec, biedna, bezbronna istota, skazana z góry na łup jakiejś przedsiębiorczej kobiety. I jeżeli panna Holland w końcu jednak nie zajmie miejsca nieboszczki, to wcale nie dlatego, żeby nie robiła starań w tym kierunku...

Potakiwałem machinalnie wszystkiemu, marząc, by się jak najprędzej stąd wyrwać, co jednak nie było możliwe, ponieważ Rózia, wylewając potok swych żalów, mocno trzymała w rękach mój kapelusz.

Zastanawiałem się, czy w tym, co mówi, może być trochę prawdy. Czy istotnie Elsie Holland rozważała możliwość zostania drugą panią Symmington? Czy też była to tylko uczciwa dziewczyna o dobrym sercu, dokładająca wszelkich starań, aby się dobrze opiekować osieroconym domem?

W obydwu wypadkach rezultat byłby ten sam. I dlaczegóż by nie! Małe dzieci Symmingtona potrzebują matki, Elsie to poczciwe stworzenie, pomijając to, że jest wprost nieprzyzwoicie piękna, zaleta nie do pogardzenia dla każdego mężczyzny, nawet dla takiego nudziarza jak Symmington.

Rozmyślałem nad tym wszystkim dlatego, że chciałem odsunąć myśli o Megan.

Mógłby ktoś powiedzieć, że poszedłem oświadczyć się w absurdalnie pewnym sobie nastroju i że zasłużyłem na nauczkę. Ale naprawdę, to niezupełnie tak było. Po prostu byłem tak przekonany, tak pewien, że Megan należy do mnie, że jest wyłącznie moja, że uważałem opiekowanie sienią i staranie się o jej szczęście, chronienie przed wszelką krzywdą — za moje jedyne ważne zadanie w życiu, spodziewając się zresztą podobnych uczuć u niej.

Nie miałem jednak zamiaru ustępować. O nie! Megan jest moja i muszę ją zdobyć!

Po chwilowym namyśle udałem się do kancelarii Symmingtona. Megan mogła sobie gwizdać na krytykę, ja jednak wolałem być w porządku.

W biurze powiedziano mi, że pan Symmington jest wolny, i wprowadzono mnie od razu do gabinetu. Sądząc po zaciśniętych ustach i większej niż zwykle sztywności, domyśliłem się, że nie cieszę się u niego zbyt dużą popularnością.

— Dzień dobry — powiedziałem. — Pragnę od razu zaznaczyć, że nie jest to wizyta urzędowa, lecz czysto osobista. Postaram się być zwięzły. Zauważył pan może, że kocham Megan. Oświadczyłem się jej dzisiaj, ale mi odmówiła. Decyzji tej jednak nie chcę uważać za ostateczną.

Spostrzegłem, jak wyraz twarzy pana Symmingtona się zmienił, i śmiesznie łatwo odgadłem tok jego myśli. Megan była jedynym elementem zakłócającym harmonię jego domu. Byłem przekonany, że jako sprawiedliwy i uczciwy człowiek będzie starał się zapewnić córce swej zmarłej żony dom i opiekę, ale małżeństwo Megan ze mną byłoby dla niego wielką ulgą. Widziałem, jak ten sopel lodu taje. Nawet się do mnie blado, niepewnie uśmiechnął.

— Szczerze mówiąc, drogi panie, nie miałem o niczym najłżejszego pojęcia. Wiedziałem, że pan poświęca jej dużo uwagi, ale zawsze uważałem ją za dziecko jeszcze.

— Megan już nie jest dzieckiem — rzekłem krótko.

— No, nie, oczywiście, że nie, jeżeli chodzi o wiek.

— Zapewniam pana, że Megan potrafi postępować odpowiednio do swoich lat, ilekroć się jej na to pozwoli — powiedziałem, ciągle trochę poirytowany. — Wiem, że nie jest jeszcze pełnoletnia, ale będzie nią za miesiąc czy dwa. Poza tym, jeżeli idzie o mnie, to mogę służyć panu wszelkimi potrzebnymi informacjami. Jestem raczej zamożny i prowadziłem uczciwy tryb życia. Będę się opiekował Megan i zrobię wszystko, aby ją uczynić szczęśliwą.

— Oczywiście, oczywiście... Jednak to wszystko zależy wyłącznie od niej samej.

— Opamięta się w swoim czasie — rzekłem. — Chciałem tylko wyjaśnić sprawę uczciwie z panem.

Odpowiedział, że ogromnie to sobie ceni, i z tym się rozstaliśmy.

Po wyjściu od Symmingtonów natknąłem się na pannę Emilię Barton, która szła z koszyczkiem na sprawunki.

— Dzień dobry panu. Słyszałam, że był pan wczoraj w Londynie?

— Tak, pani informacje są ścisłe.

Widziałem, że jej łagodne zazwyczaj oczy są pełne zaciekawienia.

— Byłem u lekarza — dodałem po chwili.

Panna Emilia uśmiechnęła się. W uśmiechu tym dojrzałem, jak mało sobie robi z Marcusa Kenta. Potem szepnęła cicho:

— Słyszałam też, że Megan omal nie spóźniła się na pociąg... że wskoczyła, gdy już ruszał.

— Przy mojej pomocy — dodałem. — Wciągnąłem ją wprost do wagonu.

— Jak to szczęśliwie, że pan się tak znalazł pod ręką. W przeciwnym razie mogło dojść do wypadku.

Zadziwiające, jak taka łagodna, ciekawa stara panna może z człowieka zrobić wariata! Od dalszych indagacji wybawił mnie atak pani Dane-Calthrop. Holowała inną łagodną starą pannę i, jak zwykle, pełna była bezpośredniości.

— Dzień dobry panu — powiedziała. — Słyszałam, że namówił pan Megan, żeby sobie kupiła jakieś przyzwoitsze ubranie? Bardzo rozsądnie z pańskiej strony! Rzadko się zdarza, aby mężczyzna wykazywał tyle praktycznego rozsądku! Od dłuższego czasu ta dziewczyna mnie martwiła, bo nierzadko wybitnie inteligentne dziewczęta zmieniają się w zupełnie dziwaczki. Nie uważa pan?

I z tą interesującą uwagą wpadła do sklepu rybnego. Panna Marple, stojąc przy mnie, mrugnęła znacząco i powiedziała:

— Wie pan, pani Dane-Calthrop to bardzo wybitna kobieta. Prawie zawsze miewa rację.

— I dlatego też ludzie się jej boją.

— Szczerłość zawsze budzi strach — rzekła panna Marple.

Pani Dane-Calthrop znowu wypadła ze sklepu jak strzała i przyłączyła się do nas. Trzymała w ręce dużego, czerwonego homara.

— Czy widział pan kiedy w życiu coś równie mało podobnego do pana Pye? — zapytała. — Homar jest taki męski i przystojny, prawda?

Trochę mnie denerwowała myśl o spotkaniu z Joanną; przyszedłszy jednak do domu, przekonałem się, że niepotrzebnie się martwiłem. Nie było jej w domu i nie wróciła na lunch. Fakt ten niezmiernie zasmucił panią Partridge, która powiedziała kwaśno, podając mi cynaderki:

— Panna Burton specjalnie zapowiedziała, że na pewno wróci na lunch.

Zjadłem obydwie cynaderki, żeby trochę złagodzić niesłowność Joanny. Niemniej zastanawiałem się, gdzie też może być moja siostra. Ostatnio otaczała swoje kroki wielką tajemniczością.

Była już trzecia trzydzieści, kiedy Joanna wpadła do saloniku. Usłyszałem, jak przed domem zatrzymało się auto, i oczekiwałem, że zobaczę doktora Griffitha. Tymczasem auto odjechało, a Joanna weszła sama. Na twarzy miała mocne rumieńce i zdawała się przygnębiona. Przeczynałem, że

coś się stało.

— Co się stało? — zapytałem.

Joanna otworzyła usta, znowu je zamknęła, westchnęła, upadła na krzesło i wpatrywała się w milczeniu przed siebie. Wreszcie powiedziała:

— Przeżyłam okropny dzień!

— Ale, na litość boską, co się stało?

— Robiłam rzeczy zupełnie nieprawdopodobne! To było po prostu okropne!

— Ale co...?

— Wyszłam rano na spacer, na zwyczajny sobie spacer... Poszłam na górkę, a potem na wrzosowisko. Zrobiłam ileś tam kilometrów, bo byłam w nastroju do chodzenia. Wreszcie zesłam w dół, chciało mi się pić, a tam jest jakaś samotna, zapomniana przez wszystkich zagroda. Myślałam, że dadzą mi trochę mleka albo w ogóle coś do picia. Zawędrowałam więc na dziedziniec. Raptem drzwi się otwierają i... wychodzi Owen!

— No i co?

— Przypuszczał, że może przyszła okręgowa pielęgniarka. W tym domu właśnie rodziła kobieta. Czekał na pielęgniarkę, której polecił sprowadzić drugiego lekarza. Bo okazało się, że są jakieś komplikacje.

— No i co dalej?

— Więc powiedział do mnie: „Niech pani wejdzie, muszę się zadowolić panią — to lepsze niż nic...!” Mówię, że absolutnie nie mogę, a on na to jak nie huknie, że co ja sobie wyobrażam. Tłumaczyłam, że nigdy w życiu nie miałam z tym do czynienia, że nie mam o niczym zielonego pojęcia. Wtedy on krzyknął, że co to, do diabła, ma do rzeczy? A potem... potem był okropny! Wpadł na mnie. Powiedział: „Przecież pani też jest kobietą, nie? Przypuszczam, że potrafi się pani na coś zdobyć, żeby pomóc innej kobiecie?” I znowu na mnie, że ciągle opowiadam, że się interesuję medycyną i że chciałabym zostać pielęgniarką. „To wszystko tylko taka czcza gadanina — powiada — wcale pani tego nie myślała na serio. Ale teraz chodzi o rzecz serio i ma się pani zachować jak uczciwy człowiek, a nie jak nikomu niepotrzebna malowana lala!” Jerry! Robiłam najbardziej nieprawdopodobne rzeczy! Trzymałam narzędzia, wygotowywałam je i podawałam Owenowi. Jestem tak wykończona, że ledwie się trzymam na nogach. To było po prostu okropne! Ale uratował ją! I dziecko także... Urodziło się żywe, a był taki moment, że przypuszczał, że nie uda mu się uratować dziecka. Boże! Boże drogi! — mówiąc to, Joanna zakryła twarz rękami.

Patrzyłam na nią z pewnego rodzaju przyjemnością i w duchu uchylałem kapelusza przed Owenem Griffithem. Raz wreszcie skonfrontował Joannę z rzeczywistością.

— W holu leży list do ciebie. Zdaje mi się, że to od Pawła — powiedziałem.

— Co? — Chwilę milczała, a potem rzekła: — Zupełnie sobie nie wyobrażałam, Jerry, do czego zdolni są lekarze. Jakież oni muszą mieć nerwy!

Wyszedłem do holu i przyniosłem Joannie list. Otworzyła, przeczytała obojętnie i upuściła na ziemię.

— Wiesz... naprawdę, on był wprost cudowny! Ta pasja, z jaką walczył, jak się nie chciał poddać ani na chwilę...! W stosunku do mnie zachował się ordynarnie, okropnie... Ale był wspaniały...!

Popatrzyłem z przyjemnością na pogardzony list. Tak, Joanna była całkowicie wyleczona z Pawła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nigdy nie dzieje się w życiu tak, jak się człowiek spodziewa.

Byłem ogromnie przejęty osobistymi sprawami moimi i Joanny, toteż z ogromnym zdumieniem usłyszałem na drugi dzień rano w telefonie głos inspektora Nasha: „Drogi panie Burton, mamy ją!”

Byłem tak zaskoczony, iż nieomal wypuściłem słuchawkę z rąk.

— Czy chce pan powiedzieć, że... Przerwał mi:

— Może pan mówić swobodnie? Nikt nie podsłuchuje?

— Nie przypuszczam. Chociaż może... — Zdawało mi się, że drzwi prowadzące do kuchni lekko się uchylły.

— Może by pan zechciał zajść na posterunek?

— Zaraz przyjdę.

W mgnieniu oka znalazłem się na posterunku. W jednym z pokojów siedział inspektor Nash i sierżant Parkins. Twarz inspektora była rozpromieniona.

— Polowanie trwało bardzo długo — powiedział — ale nareszcie mamy naszą zdobycz!

Mówiąc to, rzucił na stół list. Tym razem cały anonim napisano na maszynie. Treść była bardzo łagodna:

Na nic się nie zdadzą twoje wysiłki, żeby zająć miejsce nieboszczki. Cale miasto się z ciebie śmieje. Wynoś się stąd, bo niebawem będzie za późno. To jest ostrzeżenie. Pamiętaj, co się stało z tamtą dziewczyną! Wynoś się stąd i nie waż się wracać!

List kończył się jakimś umiarkowanie ordynarnym zwrotem.

— Panna Holland dostała list dzisiaj rano — powiedział Nash. — Od razu wydało mi się dziwne, że dotychczas nie otrzymała żadnego anonimu.

— I kto napisał ten list? — spytałem.

Twarz Nasha trochę przygasła. Wyglądało, że jest bardzo zmęczony i zatroskany. Potem powiedział spokojnie:

— Bardzo jestem tym wszystkim zmartwiony, ponieważ to będzie duży cios dla porządnego człowieka. Może sam to podejrzewał już od jakiegoś czasu.

— Więc kto napisał list? — powtórzyłem gorączkowo.

— Panna Aimée Griffith.

Po obiedzie inspektor Nash i sierżant Parkins udali się do Griffithów z nakazem aresztowania. Na prośbę inspektora poszedłem razem z nimi.

— Doktor bardzo pana lubi — powiedział — a nie ma tutaj wielu przyjaciół. Jeżeli to nie sprawi panu zbyt wielkiej przykrości, może pan będzie chciał mu pomóc, podtrzymać go na duchu w tej ciężkiej chwili.

Wyraziłem gotowość pójścia z nimi. Nie była to przyjemna misja, niemniej jednak pomyślałem, że może rzeczywiście na coś się przydam.

Zadzwoniliśmy i spytaliśmy o pannę Griffith, po czym wprowadzono nas do salonu. Siedzieli tam: Elsie Holland, Megan i pan Symmington i pili herbatę.

Nash zachował się bardzo oględnie, poprosił bowiem tylko pannę Griffith o kilka słów rozmowy na osobności.

Panna Aimée wstała i skierowała się w naszą stronę. Zdawało mi się, że dostrzegłem w jej oczach leciutki błysk niepokoju. Jeżeli tak było w istocie, to wyraz ten natychmiast znikł. Panna Griffith była jak zwykle miła i serdeczna.

— Chodzi o mnie? Mam nadzieję, że to nie światło w samochodzie?

Przeprowadziła nas przez hol do małego gabineczku. Kiedy zamykałem drzwi salonu, zauważyłem, że Symmington szarpnął gwałtownie głową. Przypuszczałem, że jego długa prawnicza praktyka zmuszała go do częstego kontaktu z policją i że w zachowaniu Nasha zauważył coś podejrzanego. Uniósł się trochę na krześle.

To wszystko, co zdołałem zauważyć, nim zamknąłem drzwi i poszedłem za innymi.

Inspektor Nash powiedział, o co chodzi, w sposób zresztą bardzo oględny i spokojny. Ostrzegł ją, a potem poprosił, aby mu towarzyszyła na posterunek. Następnie odczytał jej nakaz aresztowania.

W tej chwili już nie pamiętam dokładnie tych wszystkich zwrotów prawniczych. Ale ciągle jeszcze była mowa tylko o listach, nie o morderstwie.

Aimée Griffith odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem, wołając gromko:

— Co za idiotyczny nonsens! Jakbym w ogóle mogła wypisywać tego rodzaju bzdury! Musicie chyba być niespełna rozumu. Rzecz prosta, że ani jedno słowo nie wyszło spod mojej ręki.

Inspektor Nash wyjął list pisany do Elsie Holland i rzekł:

— Czy może pani zaprzeczyć, że to pani pisała? Jeżeli się zawahała, to nie dłużej niż sekundę.

— Oczywiście, że zaprzeczam! Nigdy w życiu tego nie widziałam.

Nash odrzekł spokojnie:

— Muszę wobec tego pani powiedzieć, że widziano panią piszącą ten list na maszynie w Instytucie Kobiet między jedenastą a jedenastą trzydzieści przedwczoraj. Wczoraj weszła pani do urzędu pocztowego, trzymając w ręce plik listów.

— Ależ ja nie wysłałam tego listu!

— Nie, pani tego listu nie wysłała. Ale czekając przy okienku na znaczki, upuściła go pani nieznacznie na ziemię, tak że każdy mógł go podnieść nie wzbudzając żadnych podejrzeń i wysłać.

— Ależ ja...

Drzwi się otworzyły i wszedł pan Symmington.

— Co się dzieje? — spytał ostro. — Aimée, jeżeli to coś poważnego, to powinnaś mieć adwokata. Gdybyś sobie życzyła, żebym ja...

Wówczas Aimée zupełnie się załamała. Zakryła twarz rękami i upadła na krzesło.

— Odejdź, Dick, odejdź, błagam cię... Nie ty! Tylko nie ty...!

— Ależ, moja droga, musisz mieć adwokata!

— Ale nie ciebie. Ja... ja nie mogłabym tego znieść. Nie chcę, abyś dowiedział się... o wszystkim...

Możliwe, że zrozumiał, o co chodzi. Powiedział jednak spokojnie:

— Porozumiem się z Mildmayem z Exhampton. Zgadzasz się?

Skinęła potakująco głową i zaczęła szlochać. Symmington wyszedł z pokoju. W drzwiach zetknął się z Owenem Griffithem.

— Co to wszystko znaczy? — spytał Owen gwałtownie. — Moja siostra...?

— Niezmiernie mi przykro, doktorze, doprawdy bardzo mi przykro. Niestety, nie mamy innego wyjścia — wyjaśnił inspektor.

— Czy podejrzewacie, że to ona... że ona pisała listy?

— Obawiam się, że nie może tu być żadnej wątpliwości — rzekł Nash, po czym zwrócił się do Aimée:

— Poproszę panią teraz z nami. Jeżeli chodzi o adwokata, to nie będzie pani miała z naszej strony żadnych trudności.

— Aimée! — wykrzyknął Owen.

Ale ona przeszła obok niego, nawet nie spojrzawszy.

— Nie mów do mnie — rzekła cicho. — Nic nie mów... i na litość boską, nie patrz na mnie!

Wyszli z pokoju, a Owen stał w miejscu, jak rażony piorunem. Chwilę przeczekałem, a potem podszedłem do niego.

— Jeżeli mogę coś dla pana zrobić, to proszę mi szczerze powiedzieć.

Doktor odpowiedział jak we śnie:

— Aimée? Nie, nie! Nigdy w to nie uwierzę!

— Może to po prostu jakaś pomyłka — podsunąłem niepewnie.

— Gdyby to była pomyłka, to Aimée nie zareagowałaby w ten sposób — rzekł powoli. — Ale ja... nigdy bym nie uwierzył... Ja nie mogę uwierzyć!

Usiadł ciężko na krześle. Przyniosłem mu kieliszek mocnej whisky. Przełknął i poczuł się nieco lepiej.

— W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, o co w ogóle chodzi — rzekł. — Tak, już mi lepiej. Dziękuję panu, ale pan mi nie może nic pomóc. Nikt mi nie może pomóc...

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Joanna. Była bardzo blada. Podeszła do Owena i rzekła, spojrzawszy na mnie:

— Proszę cię, Jerry, zostaw nas samych. To moja sprawa...

Kiedy już byłem przy drzwiach, zobaczyłem, że klękała przy jego krześle.

Trudno mi opowiedzieć z sensem wypadki następnych dwudziestu czterech godzin. Przypominają mi się najróżniejsze incydenty nie mające żadnego między sobą związku.

Pamiętam, że Joanna wróciła do domu bardzo blada i wyczerpana i że starałem się ją rozerwać mówiąc:

. — No i kto był teraz aniołem opiekuńczym?

Pamiętam, że uśmiechnęła się smutno z przymusem i szepnęła:

— Powiedział, że mnie nie potrzebuje, Jerry... Jest taki okropnie dumny i uparty!

— Moja dziewczyna także mnie nie chce — powiedziałem.

Chwilę siedzieliśmy pogrążeni w milczeniu, wreszcie Joanna rzekła:

— Jak widać, nie ma w tej chwili zapotrzebowania na rodzinę Burtonów!

— Nie martw się, kochanie... Mamy przecież siebie.

— Jakoś nie bardzo mnie to pociesza.

Na drugi dzień przyszedł Owen i obrzydliwie unosił się nad Joanną. Że jest cudowna, wspaniała! Sposób w jaki do niego podeszła, jak wyraziła gotowość wyjścia za niego za mąż, natychmiast jeżeli tylko zechce. Nie mógł się jednak na to zgodzić. Nie, Joanna była za dobra, za czysta, żeby ją wciągać w to wszystko, co się rozpęta, skoro tylko gazety dowiedzą się o aresztowaniu.

Byłem bardzo przywiązany do Joanny i wiedziałem, że będzie stać murem przy człowieku w potrzebie, ale jakoś te górnolotne bzdury mnie nudziły. Powiedziałem też Owenowi lekko zirytowany, żeby nie był znowu taki strasznie szlachetny.

Wyszedłem na ulicę Główną i zobaczyłem, że wszystkie języki miały jak najęte. Panna Emilia Barton twierdziła, że nigdy nie miała specjalnego zaufania do Aimée Griffith. Żona kupca kolonialnego mówiła z przejęciem, iż zawsze uważała, że panna Griffith ma taki jakiś dziwny wyraz oczu.

Jak się dowiedziałem od Nasha, dochodzenie przeciwko Aimée było już zakończone. Rewizja przeprowadzona w domu ujawniła w szafie pod schodami owinięte w starą tapetę kartki wycięte z książki panny Emilii Barton.

— Świetne do tego miejsce — zauważył z uznaniem Nash. — Nigdy nie jest się pewnym, czy służąca nie będzie grzebać w biurku lub szufladach, ale takie szafy na rupiecie, pełne starych piłek tenisowych, odwiecznych papierów i tapet, nigdy nie są otwierane, chyba tylko po to, aby coś dorzucić.

— Jak widać ta dama ma specjalne upodobanie do tego rodzaju schowków — powiedziałem.

— Tak. Mózgi kryminalistów rzadko kiedy lubią odmianę. Aha, a propos! Jeżeli mówimy o zamordowanej dziewczynie, to wykryliśmy jeszcze coś ciekawego. Z ambulatorium doktora znikł duży, ciężki tłuczek do mózdzierza. Gotów jestem założyć się o nie wiem co, że tym właśnie tłuczkiem uderzono dziewczynę w głowę.

— Powiedziałbym, że to raczej niezwykle przedmiot do noszenia z sobą — zauważyłem.

— Ale nie dla panny Griffith. Owego popołudnia miała iść na zebranie drużyny harcerskiej, ale po drodze zostawiła kwiaty i jarzyny na stoisku Czerwonego Krzyża. Mogła więc doskonale ukryć tłuczek w dużym koszyku.

— A nie znalazł pan szpikulca do mięsa?

— Nie, i z pewnością go nie znajdę. Może biedaczka jest wariatką, ale nie na tyle, żeby przechowywać pokrwawiony szpikulec jako nieomylny ślad dla nas, gdy nie było przecież nic prostszego, jak umyć go i włożyć z powrotem do szuflady kuchennej.

Jednym z ostatnich miejsc, gdzie usłyszano smutną nowinę, była plebania. Stara panna Marple była niesłychanie przygnębiona i mówiła ze mną na ten temat bardzo poważnie.

— To nieprawda, proszę pana! Jestem najmocniej przekonana, że to nieprawda!

— Boję się jednak, że niestety prawda. Policja czatowała tam na nią. Po prostu widzieli ją, jak pisała list na maszynie.

— Tak, możliwe, że ją widzieli, owszem, to mogę zrozumieć...

— A poza tym znaleziono schowane w domu te stroniczki książki, z których wycinano litery...

Panna Marple popatrzyła na mnie, zaskoczona. Po chwili powiedziała bardzo cicho:

— No, wie pan, że to okropne... to doprawdy podłe...

Na to wpadła pani Dane-Calthrop, podeszła do nas i spytała:

— Co się tu dzieje, Jane?

Panna Marple powtarzała w zamyśleniu bezradnie:

— No, tak... tak... Co by tu można zrobić?

— Co cię tak martwi, Jane? — dopytywała się pani Dane-Calthrop.

— Musi być na to jakaś rada. Ale jestem już taka stara i niezaradna... a obawiam się, że i trochę głupia...

Czułem się nieco zakłopotany, toteż ucieszyłem się, gdy pani Dane-Calthrop zabrała swoją przyjaciółkę.

Miałem jednakże zobaczyć pannę Marple jeszcze raz tego dnia, znacznie później, w mojej drodze powrotnej do domu. Stała w pobliżu małego mostku na końcu miasteczka w sąsiedztwie domu pani Cleat i rozmawiała z... Megan, czego mogłem się najmniej spodziewać.

Bardzo pragnąłem zobaczyć Megan, tęskniłem za nią cały dzień. Przyśpieszyłem więc kroku, ale

kiedy już byłem blisko, Megan zawróciła na pięcie i odeszła w przeciwnym kierunku. Rozgniewało mnie to i byłbym za nią poszedł, gdyby panna Marple nie zagroziła mi drogi.

— Chciałam z panem porozmawiać — rzekła. — Nie, niech pan — teraz nie idzie za Megan, to byłoby nierozsądne.

Miałem jej właśnie coś odpowiedzieć ostro, gdy rozbroiła mnie swymi dalszymi słowami.

— Ta dziewczyna jest bardzo odważna, po prostu niesłychanie odważna...!

Mimo to ciągle jeszcze miałem zamiar podążyć za Megan, ale panna Marple powtórzyła po raz drugi:

— Niech pan nie stara się teraz z nią zobaczyć.

Wiem, co mówię, proszę mi wierzyć. Megan musi zebrać teraz całą swoją odwagę.

Coś w słowach starszej damy zmroziło mnie. Wyglądało, że coś wie, o czym ja nie mam pojęcia. Bałem się, chociaż nie wiedziałem konkretnie czego.

Nie poszedłem do domu, udałem się natomiast z powrotem na ulicę Główną. Nie mam pojęcia, na co czekałem albo o czym myślałem, przechadzając się tam bez celu.

W pewnej chwili dopadł mnie ten nudziarz, pułkownik Appleton. Najpierw, jak zwykle, spytał o moją piękną siostrę, a potem dodał:

— Co to za plotki o tej siostrze doktora Griffitha? Podobno to skończona wariatka? Opowiadają, że to ona jest autorką tych wszystkich anonimów, które tyle krwi napsuły w Lymstock! Nie chciałem na razie w to uwierzyć, ale powiadają, że to absolutnie pewne?

Odpowiedziałem, że niestety pewne.

— No, no... Trzeba przyznać, że nasza policja dobrze się spisła. Należy im tylko dać trochę czasu, tylko troszkę czasu... Dziki pomysł z tymi anonimowymi listami. Przeważnie coś takiego przychodzi do głowy wysuszonym starym pannom, chociaż muszę przyznać, że panna Griffith jest zupełnie niebrzydka, mimo trochę przydługich zębów. Całkiem niebrzydka! Prawdę mówiąc, to tu, w tej naszej kochanej dziurze, mało jest ładnych kobiet, z wyjątkiem tej guwernantki od Symmingtonów. O, na tę dziewczynę warto patrzeć! I do tego bardzo sympatyczna. Wdzięczna za każdą najdrobniejszą przysługę. Nie tak dawno spotkałem ją na jakiejś wycieczce z chłopcami Symmingtona. Dzieci skakały gdzieś po wrzosowisku, a ona robiła na drutach i taka była zmartwiona, bo zabrakło jej włóczki. „No, chce pani, to zawiozę panią do Lymstock — powiedziałem. — Muszę i tak odebrać wędkę w miasteczku, nie zajmie mi to więcej jak dziesięć minut, a potem przywiozę panią z powrotem”. Trochę się bała zostawić chłopców samych. „Nic im się nie stanie — zapewniłem ją — kto by mógł im tu zrobić krzywdę?” Nie miałem najmniejszej ochoty brać sobie jeszcze na kark tych smarkaczy, o nie! Podwiozłem ją więc do Lymstock do sklepu z włóczką, a potem znowu wróciłem, żeby ją zabrać. Ślicznie mi podziękowała, że taka wdzięczna i tak dalej, i tak dalej... Bardzo miła dziewczyna...

Wreszcie udało mi się go pozbyć.

I w tym właśnie momencie zobaczyłem pannę Marple po raz trzeci tego dnia. Wychodziła z posterunku policji.

Skąd naraz ogarnia człowieka strach? W jaki sposób przybiera konkretny kształt? Gdzie ten strach się ukrywa, nim się ujawni?

Po prostu jedno krótkie zdanie. Usłyszane i zapamiętane, nigdy prawie nie zapomniane całkowicie.

„Och, proszę mnie zabrać! Proszę! Tutaj tak jest strasznie i taka się czuję podła...”

Czemu Megan to powiedziała? Z jakiego powodu czuła się podła? Przecież w śmierci pani Symmington nie było nic takiego, co by mogło wywołać w Megan uczucie, że jest podła?

Czyżby poczuwała się do jakiejś winy?

Megan? Niemożliwe! Megan nie mogła mieć nic do czynienia z tymi plugawymi, sprośnymi listami!

Owen Griffith znał pewien przypadek tam na północy... pensjonarka...

A co powiedział inspektor Graves?

Coś o młodocianym umyśle...

Niewinne damy w średnim wieku, bełkoczące na stole operacyjnym wyrazy, które zaledwie im mogły być znane. Mali chłopcy piszący kredą na parkanie...

Nie, nie, ale nie Megan!

Dziedziczność? Zła krew? Dziedzictwo jakiejś anomalii, zwyrodnienia? Jej nieszczęście, chociaż nie jej wina, przekleństwo jakiegoś wcześniejszego pokolenia? „Nie jestem odpowiednią żoną dla pana... ja lepiej potrafię nienawidzić niż kochać...”

O, moja Megan, moje drogie dziecko! Tylko nie to! I ta stara plotkarka podejrzewa cię. Powiedziała, że jesteś bardzo odważna. Odważna... żeby co zrobić?

Było to u mnie tylko chwilowe oszołomienie. Przeszło szybko, natomiast pozostało pragnienie ujrzenia natychmiast Megan. Nieprzeparte pragnienie!

O pół do dziesiątej wieczorem wyszedłem z domu i udałem się do miasteczka. Skierowałem swe kroki do willi Symmingtonów. I nagle przysłała mi do głowy nowa myśl... Myśl o pewnej kobiecie, której dotychczas nikt nie brał pod uwagę.

(A może inspektor Nash ją podejrzewał?)

Najzupełniej nieprawdopodobne i — do dzisiejszego dnia uważałbym to za zupełnie niemożliwe.

Nie, myślę się... nie, nie... niemożliwe!

Przyśpieszyłem kroku. Bo jeszcze silniej poczułem konieczność zobaczenia Megan, i to jak najszybciej.

Wszedłszy w furtkę Symmingtonów, udałem się w kierunku domu. Była ciemna, pochmurna noc. Zaczynał kropić drobny deszczyk. Widoczność była bardzo zła.

Z jednego z okien padała smuga światła. Czy to mały salonik na dole?

Wahałem się kilka chwil, a potem zamiast iść do drzwi wejściowych, zawróciłem i bardzo ostrożnie zbliżyłem się do okna. Obszedłszy jakiś duży krzew, przycupnąłem. Światło przesączało się przez szpary w portierach nie zasuniętych szczelnie. Z łatwością można było zajrzeć do środka.

Zobaczyłem spokojną, domową scenę. Pan Symmington siedział w głębokim fotelu, a obok Elsie Holland ze schyloną głową przyszywała łątę do sportowej chłopięcej koszulki. Mogłem równie dobrze słyszeć, jak widzieć, bo górna część okna była otwarta.

— Zdaje mi się, proszę pana, że chłopcy są już w tym wieku, że można ich wysłać do szkoły. Wprawdzie byłoby mi ogromnie ciężko rozstać się z nimi, bo przywiązałam się do nich bardzo... — mówiła Elsie Holland.

— Może pani ma i rację, panno Elsie, jeżeli chodzi o Briana. Postanowiłem, że wyślę go od nowego roku szkolnego do Winhays, mojej dawnej szkoły. Ale Colin jest może za mały. Wolałbym poczekać jeszcze rok.

— Tak, rozumiem. A w dodatku Colin jest jak na swoje lata bardzo dziecinny.

Ot, spokojna, domowa rozmowa, spokojna, domowa scena i złota główka pochylona nad igłą.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Megan.

Stała w drzwiach wyprostowana i od razu zauważyłem w niej jakieś napięcie, natężenie. Skóra na policzkach była mocno obciągnięta, a oczy błyszczały zdeterminowaniem. Tego wieczora nie było w niej nic naiwnie dziewczęcego.

Zwróciła się do Symmingtona nie tytułując go jednak zupełnie. (Nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy nie słyszałem, w jaki sposób Megan zwraca się do swego ojczyma. Czy mówi do niego „ojcze”, czy „Dick”, czy jeszcze inaczej?)

— Czy moglibyśmy porozmawiać sam na sam... Tylko kilka słów...

Symmington wyglądał na zdziwionego i — jak mi się zdaje — trochę niezadowolonego. Zmarszczył brwi, ale Megan nie ustępowała.

— Nie masz nic przeciwko temu, Elsie? — zwróciła się do Elsie Holland.

— Oczywiście, że nie — to powiedziawszy, panna Holland zerwała się z krzesła. Była zaskoczona i trochę zmieszana. Skierowała się ku drzwiom. Megan zaś podeszła bliżej, tak że Elsie musiała przejść obok niej. W drzwiach zatrzymała się chwilę nieruchomo i spojrzała przez ramię na Megan i Symmingtona. Usta miała zaciśnięte, stała bez ruchu z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, drugą przyciskając do piersi robotę. Była tak piękna, że zabrakło mi tchu na ten widok. Kiedy teraz o niej myślę, zawsze widzę ją taką... zamarłą w bezruchu, z tą nie dającą się z niczym porównać nieśmiertelną doskonałością, spotykaną jedynie w starożytnej Grecji. Po chwili wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

— No i co, Megan? O co ci chodzi? Czego sobie życzysz! — spytał Symmington lekko podrażnionym tonem.

Megan podeszła do samego stołu. Gdy stanęła tuż obok Symmingtona, spojrzała na niego z góry. I znowu uderzył mnie wyraz jej twarzy. Silne postanowienie i... coś jeszcze... Jakaś nie znana mi twardość. Po chwili otworzyła usta i powiedziała coś, co mnie raziło jak piorun.

— Chcę pieniędzy! — powiedziała spokojnie. Prośba ta nie przyczyniła się do poprawienia humoru Symmingtona.

— Nie mogłaś poczekać z tym do jutra? — spytał ostro. — Ale o co właściwie chodzi? Uważasz, że twoja miesięczna pensja ci nie wystarcza?

„Porządny człowiek — pomyślałem w duchu — rozsądny, chociaż mało sentymentalny”. Megan rzekła znowu:

— Aleja chcę dużo pieniędzy! Symmington wyprostował się nagle w fotelu. Po chwili zauważył chłodno:

— Za kilka miesięcy będziesz pełnoletnia. Wtedy wejdiesz w posiadanie spadku po twojej babce.

— Pan mnie nie zrozumiał... Ja chcę tych pieniędzy od pana. — Ciągnęła dalej szybko: — Nikt nigdy nie opowiadał mi o moim ojcu. Nie chciano, abym o nim wiedziała za wiele. Wiem jednak, że siedział w więzieniu, wiem także za co. Siedział... za szantaż! — tu przerwała. — No cóż? Ja jestem jego córką... I zapewne odziedziczyłam jego skłonności. Tak czy owak, chcę od pana pieniędzy... A jeżeli nie...

Znowu przerwała, po czym zaczęła mówić wolno i wyraźnie:

— ... jeżeli nie, powiem, co pan robił z proszkami w pokoju mojej matki w dniu jej śmierci...

Tu nastąpiła długa pauza. Po chwili Symmington rzekł bezbarwnym głosem:

— Nie rozumiem, o czym mówisz?

— A mnie się zdaje, że pan bardzo dobrze rozumie — odpowiedziała, uśmiechając się przy tym. Nie był to wcale przyjemny uśmiech.

Symmington wstał i podszedł do biurka. Wyjął z kieszeni książeczkę i wypełnił czek. Starannie osuszył go bibułą, a potem wrócił do stołu i wyciągnął rękę z czekiem w kierunku Megan.

— Jesteś już dorosła — powiedział. — Rozumiem, że masz czasem ochotę na coś szczególnie ładnego z ubrania czy na inne przyjemności. Natomiast zupełnie nie wiem, o czym mówisz. Nie zwracałem zresztą na to specjalnej uwagi. A oto. czek.

Megan spojrzała na czek i powiedziała:

— Dziękuję. To wystarczy... na razie. Zawróciła i wyszła z pokoju. Symmington patrzył za nią na zamknięte drzwi, potem odwrócił się, a kiedy ujrzał jego twarz, zrobiłem instynktownie krok naprzód. Nagle zostałem zatrzymany w najbardziej nieoczekiwany sposób. Wielki krzew, który widziałem pod murem, przestał być krzewem, a okazał się inspektorem Nashem. Poczułem, że obejmują mnie jego silne ramiona i usłyszałem tuż na uchem szept:

— Spokojnie, panie Burton! Na litość boską, spokojnie!

Następnie z największą ostrożnością zaczął się wycofywać, zmuszając mnie do pójścia za nim. Gdy już doszliśmy za róg domu, wyprostował się i wytarł spocone czoło.

— Nie powinien się pan tak ciągle wtrącać — powiedział.

— Ależ ta dziewczyna nie jest tu bezpieczna! — zawołałem gwałtownie. — Widział pan jego twarz? Musimy ją stąd czym prędzej wydostać!

— Drogi panie Burton, niechże mnie pan teraz posłucha...

Wysłuchałem więc opowiadania inspektora. Potem, niechętnie wprawdzie, ale zgodziłem się. Wymogłem jednak zezwolenie na pozostanie tutaj w zamian za obietnicę zastosowania się do wszelkich jego rozkazów.

Tak więc weszliśmy z Nashem i Parkinsem do domu tylnym wejściem, które było już otwarte i czekaliśmy z inspektorem na podeście schodów. Staliśmy ukryci za kotarą maskującą wnękę okienną. Dopiero o drugiej w nocy otworzyły się drzwi pokoju Symmingtona i on sam przeszedł przez korytarz i wszedł do pokoju Megan. Nie poruszyłem się ani nie drgnąłem; wiedziałem, że sierżant Parkins jest w pokoju Megan, ukryty za otwartymi drzwiami, że jest on pewnym człowiekiem i zna swoje obowiązki, a poza tym zdawałem sobie sprawę, jak zupełnie nie mogę zaufać sobie, że będę się zachowywał spokojnie i nie wybuchnę.

Stojąc z mocno bijącym sercem za portierą, zobaczyłem, że Symmington wychodzi z pokoju na korytarz z Megan na rękach. Cicho, w bliskiej odległości, razem z inspektorem Nashem postępowaliśmy za nim trop w trop.

Zaniósł ją prosto do kuchni i włożywszy jej bezwładnie zwisającą głowę do gazowego piecyka, odkręcił gaz, kiedy inspektor Nash i ja weszliśmy do kuchni i zapaliliśmy światło.

I to był koniec Ryszarda Symmingtona. Chociaż byłem zajęty zakręcaniem, kurka od gazu i

ratowaniem Megan, widziałem, jak kompletnie się załamał. Nie próbował nawet uciekać. Zdał sobie sprawę, że grał — i przegrał.

Siedziałem na górze przy łóżku Megan, czekając, aż odzyska przytomność. Przy tej okazji kląłem w duchu Nasha.

— Skąd pan wie, że jej się nic nie stało? To wszystko było zbyt ryzykowne!

Nash uspokajał mnie, jak mógł.

— To tylko środek nasenny, który jej zaaplikował w mleku, stojącym zawsze wieczorem przy jej łóżku. Nic więcej... Niechże pan zrozumie, że nie mógł zaryzykować otrucia dziewczyny. Jeśli chodziło o niego, to z chwilą aresztowania Aimée Griffith sprawa została zakończona. Nie mógł ryzykować jeszcze jednej tajemniczej śmierci w tym domu. Żadnego gwałtu, żadnej trucizny. Ale jeżeli młoda, raczej smutnego usposobienia dziewczyna dręczy się samobójstwem matki do tego stopnia, że wreszcie sama wkłada głowę do piecyka gazowego, to zupełnie co innego... Ludzie powiedzą po prostu, że nigdy nie była całkowicie normalna i że wstrząs spowodowany śmiercią matki dopełnił miary.

— Ona jakoś bardzo długo nie może odzyskać przytomności — powiedziałem, patrząc niespokojnie na Megan.

— Przecież pan słyszał, co mówił doktor Griffith. Serce i puls zupełnie normalne. Po prostu będzie spała tak długo, aż się sama nie obudzi. To środek, który, jak sam twierdzi, często stosuje u swoich pacjentów.

Megan poruszyła się i szepnęła coś niewyraźnie przez sen. Inspektor Nash dyskretnie wysunął się z pokoju. Po chwili otworzyła oczy.

— Jerry... — powiedziała cicho.

— Co, kochanie!

— Czy dobrze to wszystko zrobiłam?

— Jakbyś nie robiła od kołyski nic innego poza szantażem!

Megan znowu zamknęła oczy. Potem powiedziała cichutko:

— Dziś wieczorem... pisałam do ciebie... na wypadek, gdyby... gdyby coś się stało. Ale byłam za bardzo śpiąca, żeby skończyć. O... tam leży list!

Podszedłem do biurka. W małej, wytartej teczce znalazłem nie dokończony list Megan. Zaczynał się od słów:

Mój kochany Jerry!

Czytałam wiośnie mego szkolnego Szekspira, a zwłaszcza sonet zaczynający się od słów: „Więc jesteś dla mych myśli jak pokarm dla życia lub jak deszczyk wiosenny dla gleby” — i widzę, że jednak cię kocham, ponieważ to właśnie do ciebie czuję...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— Więc widzi pan, że dobrze zrobiłam, wzywając eksperta — powiedziała pani Dane–Calthrop.

Patrzyłem na nią zdumiony. Znajdowaliśmy się wszyscy na plebanii. Na dworze lał strumieniami deszcz, a w pokoju na kominku płonął wesoły ogień. Pani Dane–Calthrop chodziła po całym pokoju, wreszcie zaczęła trzepać rękami poduszkę na sofie i dla jakiegoś sobie jedynie znanego powodu zaniósła ją na fortepian.

— Naprawdę go pani wezwała? — spytałem zdziwiony. — A kto to jest? I co robi?

— To nie jest żaden „on” — odpowiedziała pani Dane–Calthrop i wskazała okrągłym gestem na pannę Marple. Panna Marple skończyła właśnie robotę na drutach i była teraz zajęta szydełkiem i kłębkami bawełny.

— To właśnie jest mój ekspert — rzekła pani Dane–Calthrop — panna Jane Marple. Niech się jej pan dobrze przyjrzy. Powiadam panu, że ta kobieta bardziej się zna na ludziach niż ktokolwiek inny z moich znajomych.

— Nie powinnaś tak mówić, kochanie — szepnęła panna Marple.

— Ale kiedy to prawda!

— Mieszkając stale na prowincji można wiele się nauczyć, jeżeli idzie o ludzki charakter — rzekła spokojnie panna Marple. Następnie, widząc, że wszyscy czekamy na jej słowa, złożyła robótkę i zaczęła mówić: — Najważniejszą rzeczą w takich wypadkach jest zachowanie przytomności umysłu. Zbrodnie są przeważnie bardzo proste. I ta także nie różniła się wiele od innych. Normalna, nieskomplikowana chociaż, rzecz jasna, nieprzyjemna...

— Nawet bardzo nieprzyjemna — wtrąciłem.

— A prawda była przecież tak prosta, tak oczywista... Ot, na przykład pan, panie Burton, od razu ją dojrzał!

— Absolutnie nie mogę się z tym zgodzić...

— Ależ z pewnością mam rację! To pan właśnie wskazał mi drogę i doskonale powiązał jedno z drugim, chociaż nie wystarczyło panu pewności siebie na tyle, żeby się zorientować w całości. Weźmy chociażby na początek to natrętne zdanie, które pana stale prześladowało: „Nie ma dymu bez ognia”. Dręczyło ono pana, aż wreszcie wpadł pan na właściwe znaczenie: zasłona dymna... zmylenie śladów po to, ażeby każdy patrzył w fałszywym kierunku, żeby patrzył na listy anonimowe, podczas gdy sedno sprawy leżało w tym, że właściwie żadnych listów anonimowych nie było.

— Ależ co pani mówi, droga pani! — wykrzyknąłem z przejęciem. — Jak to nie było? Przecież ja sam otrzymałem anonim!

— Tak, wiem! Ale te listy nie były istotne, już nasza kochana Maud na to wpadła. Bo przecież nawet w tym cichym Lymstock jest sporo skandalików i jestem pewna, że każda kobieta, mieszkająca tutaj, wiedziałaby o nich i wykorzystałaby je od razu. Natomiast mężczyzna, widzi pan, a zwłaszcza ktoś o tak ścisłym i logicznym umyśle, jak Symmington, nie interesuje się plotkami. Gdyby autorka listów była rzeczywiście kobietą, to z pewnością wykorzystałaby lokalne stosunki i plotki. Tak więc widzą państwo, że jeżeli zlekceważymy dym i przejdziemy od razu do ognia, to znajdziemy się na właściwym tropie. A dalej, jeżeli pominiemy anonimy, to zdarzyło się właściwie tylko jedno: śmierć pani Symmington. Należało się więc zastanowić, kto mógł pragnąć jej śmierci? I w takich wypadkach pierwszą osobą, która przychodzi nam na myśl, jest zwykle mąż. Następnym pytaniem jest: jaki motyw? Co za przyczyna? Czy nie inna kobieta? Kiedy tu przyjechałam, pierwsze, co mi powiedziano w związku z samobójstwem, było to, że w domu Symmingtonów pracuje wyjątkowo ładna guwernantka. No więc, już jasne, prawda? Symmington, raczej oschły, mało uczuciowy człowiek, związany dożgonnym węzłem z neurasteniczką, kobietą kłótliwą, spotyka promienną, młodą dziewczynę. A trzeba wiedzieć, że mężczyźni w pewnym wieku, jeżeli się zakochują, to przechodzą to bardzo ciężko, jak chorobę, jak szal. O ile wiem, Symmington nigdy nie był specjalnie dobry ani czuły, ani sympatyczny. Przeważały w nim raczej cechy ujemne, stąd też brak mu było siły w zwalczaniu szaleństwa. W takiej zaś miejscowości jak Lymstock, jedynie śmierć żony mogła rozwiązać problem. Bo on chciał poślubić dziewczynę. Poza tym jest bardzo przywiązany do dzieci i nie zamierzał ich tracić... Chciał mieć wszystko: dom, dzieci, szacunek ludzi i... Elsie. Ceną, którą musiał za to wszystko zapłacić, było morderstwo. Uważam zresztą, że wybrał do osiągnięcia celu wcale sprytną drogę... Na podstawie swej długoletniej praktyki kryminalnej doskonale sobie zdawał sprawę, jak łatwo podejrzenie pada na męża, jeżeli żona umiera niespodziewanie, i że należy się liczyć z ekshumacją. Tak więc zaaranżował tę śmierć, żeby wyglądała jak incydent w związku z inną sprawą. Wymyślił więc przede wszystkim anonimy, co było bardzo sprytnie, ponieważ przez to podejrzenia policji skierowały się na kobietę i poniekąd słusznie, bo to były listy kobiece. Wzorował ich treść bardzo sprytnie na listach krążących tu w ubiegłym roku, a poza tym na pewnym przypadku, o którym słyszał od doktora Griffitha. Nie był, oczywiście, na tyle bezczelny, żeby przepisywać jakiś list dosłownie, posługiwał się jedynie zwrotami i całymi zdaniem z tamtych listów: pomieszał wszystko razem, w wyniku czego listy były rzeczywiście jak gdyby odbiciem umysłu trochę nienormalnej, zwariowanej, niewyżytej kobiety. Znał też doskonale wszelkie sztuczki policyjne: badanie charakteru pisma, odcisków palców, próbek pisma maszynowego itp. Zbrodnie swoją przygotowywał już od dłuższego czasu. Nim ofiarował maszynę do pisania Instytutowi Kobiet, poadresował wszystkie koperty, a kartki powycinał z książki zapewne już dawno, gdy któregoś dnia był w Jałowcowym Dworku i czekał w saloniku panny Emilii. Ludzie nie zaglądają przecież zbyt często do ksiąg z kazaniem! I wreszcie, zaaranżowawszy już należycie aferę „Zatrutego Pióra”, przystąpił do realizacji swego właściwego zamierzenia. Nadarzyło się piękne popołudnie, guwernantka z chłopcami i Megan wychodzą na spacer. Służba ma wolny dzień j w tygodniu. Nie mógł tylko przewidzieć, że pokojówka Agnieszka pokłóci się ze swoim chłopakiem i wróci do domu.

— Ale co Agnieszka widziała? Czy pani wie? — spytała Joanna.

— Nie, konkretnie nic nie wiem i prawdę mówiąc, tylko się domyślam... Agnieszka właśnie nic nie

widziała...!

— Więc to wszystko były tylko jakieś jej wrażenia, przeczucia?

— Ależ nie, nie, kochanie! Przypuszczam, że przez całe popołudnie stała przy oknie w spiżarni, czekając na swego chłopca, by przyszedł ją przeprosić i... dosłownie nikogo nie widziała. Nikt nie wszedł do domu, ani listonosz, ani gość, ani w ogóle nikt! Ponieważ Agnieszka nie była z natury bystra, więc potrzebowała trochę czasu, ażeby zdać sobie sprawę, jakie to jednak dziwne, jeżeli wszyscy mówią, że pani Symmington otrzymała list pocztą popołudniową, a ona nikogo nie widziała.

— Więc pani sądzi, że pani Symmington w ogóle żadnego listu nie dostała? — spytałem zaskoczony.

— Oczywiście, że nie dostała! Jak już na początku wspomniałam, ta zbrodnia jest przecież niesłychanie prosta. Symmington po prostu położył na wierzchu w jej pudełku z proszkami, które zażywała na ischias zazwyczaj po obiedzie, jeden proszek zawierający cyjanek. Jedyne, co musiał zrobić, to wrócić u domu przed albo równocześnie z Elsie Holland, zawołać żonę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, pójść na górę do jej pokoju, wpuścić trochę cyjanku do szklanki z wodą, którą jego żona popiła proszek, wrzucić zmięty anonim do kominka i położyć obok ręki zmarłej kartkę ze słowami: „Już dłużej nie mogę”. I w tym wypadku miał pan także zupełną rację — zwróciła się ku mnie panna Marple. — „Świstek papieru” był błędem nie do darowania. Samobójcy nie zostawiają małych świstków papieru... Używają raczej całego arkusza, a nierzadko nawet i koperty. Tak, tak... ten skrawek papieru był błędem i pan to spostrzegł...

— Pani mnie za wysoko ceni — odpowiedziałem bo ja przecież niczego nie spostrzegłem!

— Ależ przeciwnie! Widział pan, naprawdę pan widział! W przeciwnym bowiem razie, dlaczego zrobiłaby na panu takie wrażenie karteczka pozostawiona przez pana siostrę w holu przy telefonie?

Powtórzyłem powoli, głośno: „Powiedźcie, że dłużej nie mogę czekać...!” Rozumiem...! „Już dłużej nie mogę...!”

Panna Marple uśmiechnęła się do mnie.

— Otóż właśnie — rzekła. — Pan Symmington znalazł kiedyś taką notatkę pisaną ręką swojej żony i to mu nasunęło pewne możliwości... Kiedy nadeszła właściwa pora, oddarł słowa niepotrzebne i zostało tylko „już dłużej nie mogę...!”

— A czy miałem jeszcze jakieś genialne pomysły?

— No więc, przede wszystkim naprowadził mnie pan na ślad. Zebrał pan dla mnie wszystkie materiały, o których już powiedziałam przedtem, a przypieczętował pan najważniejszym, a mianowicie faktem, że Elsie Holland była jedyną osobą, która nie otrzymała anonimu...

— A czy pani wie — spytałem — iż wczoraj wieczorem skłonny byłem podejrzewać, że autorką anonimów jest właśnie Elsie Holland i że to dlatego sama nie otrzymała żadnego?

— Ach, Boże, skądże?! Nic podobnego! Autorzy listów anonimowych z reguły wysyłają je także do

siebie. Jest to integralna część tego... tego... no, tego, co bym nazwała elementem podniecającym. Nie, nie! Ta okoliczność zainteresowała mnie z zupełnie innego powodu. Mianowicie Symmington zdradził się, ujawniając swą jedyną słabość, że nie potrafi napisać plugawego listu do kobiety, którą kocha. To bardzo ciekawa cecha ludzkiej natury i do pewnego stopnia przemawia na jego korzyść. Ale właśnie tym się mimo woli zdradził.

— I pani przypuszcza, że to Symmington zamordował Agnieszkę? Ale przecież to było zupełnie zbyteczne — wtrąciła Joanna.

— Możliwe, że zbyteczne, ale pani nie potrafi wczuć się w mentalność takiego człowieka, ponieważ pani sama nikogo nie zamordowała. Cały jego światopogląd ulega spaczeniu, wszystko się jakoś wykrzywia, wyolbrzymia. Symmington na pewno słyszał, jak Agnieszka telefonowała do Partridge i powiedziała jej, że od dnia śmierci pani Symmington czuje się nieswojo i dręczy ją coś, czego nie może zrozumieć Symmington nie mógł sobie pozwolić na żadne ryzyko. Ta dziewczyna najwidoczniej o czymś wiedziała, może coś zobaczyła...

— Ale przecież wszyscy wiedzieli, że Symmington całe popołudnie spędził w swej kancelarii!

— Przypuszczam, że zamordował Agnieszkę, zanim wyszedł z domu. Panna Holland była w stołowym pokoju, a potem w kuchni. Symmington po prostu wyszedł do holu, otworzył i zamknął głośno drzwi frontowe, jak gdyby naprawdę wyszedł, a potem cicho wślizgnął się do garderoby. Skoro tył w domu została sama Agnieszka, zadzwonił drzwi frontowych, a sam ukrył się z powrotem w garderobie. Następnie stanął za Agnieszką i gdy otwierała drzwi, zadał jej cios w głowę. Po ukryciu ciała w szafie poszedł szybko do kancelarii, tak że spóźnił się zaledwie kilka minut, czego z pewnością nikt nie zauważył. Bo pamiętajcie, moi drodzy, przecież nikt nie podejrzewał mężczyzny!

— Cóż to za potworna bestia! — rzekła pani Dane-Calthrop.

— I wcale go pani nie żałuje? — spytałem złośliwie.

— Ani trochę, dlaczego miałabym żałować?

— Nic, nic...! Bardzo się cieszę, że słyszę to z pani ust.

— Ale co ma wspólnego z tym wszystkim Aimée Griffith? — spytała Joanna. — Wiemy przecież, że policja znalazła tłuczek zabrany z ambulatorium doktora Griffitha, zresztą i szpikulec do mięsa także. Wiemy też, że mężczyźnie nie jest łatwo podrzucić te przedmioty nieznaczenie do szuflady kuchennej. I zgadnijcie państwo, gdzie te rzeczy były? Przed chwilą właśnie dowiedziałam się od inspektora Nasha, którego spotkałam idąc tutaj. W jednym z tych odwiecznych segregatorów w kancelarii, z napisem: „Akty dotyczące spraw majątkowych spadkobierców sir Jasperra Harringtona”.

— Biedny Jasper — westchnęła pani Dane-Calthrop — to mój kuzyn. To był bardzo porządny człowiek...! Na pewno się teraz w grobie przewraca!

— No, czy nie było szaleństwem trzymać to w segregatorze? — spytałem.

— Jeszcze większym szaleństwem byłoby wyrzucić je gdzie indziej. Przecież nikt ani na chwilę nie

podejrzał Symmingtona — powiedziała pani Dane–Calthrop.

— Ale on nie zabił Agnieszki tłuczkiem od moździerza — powiedziała Joanna. — Znaleziono także wahadło od ściennego zegara, na którym były ślady krwi i przylepione włosy. Policja przypuszcza, że Symmington zabrał tłuczek tego dnia, kiedy została aresztowana Aimée, a kartki wycięte z książki ukrył w domu doktora. I to sprowadza nas znowu do mego pierwotnego pytania: skąd tutaj Aimée Griffith? Policja twierdzi, że złapano ją na gorącym uczynku pisania anonimu.

— Bo ten ostatni anonim rzeczywiście pisała Aimée — wyjaśniła panna Marple.

— Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego?

— Drogie dziecko, chyba pani się domyśla, że panna Griffith całe życie kochała Symmingtona...

— Biedactwo! — rzekła odruchowo pani Dane–Calthrop.

— Zawsze bardzo się z sobą przyjaźnili — ciągnęła panna Marple — i po śmierci pani Symmington Aimée miała prawdopodobnie nadzieję, że kiedyś może w bliskiej przyszłości... No, cóż? — Tu panna Marple delikatnie zakaszła. — Potem zaczęły nagle krążyć plotki o Elsie Holland, co podziałało ogromnie przygnębiająco na biedną Aimée. Uważała guwernantkę za wyrafinowaną kokietkę, zupełnie niegodną Symmingtona, za intrygantkę, która usiłuje wkraść się do jego serca i zająć miejsce prawowitej małżonki. Dlatego zapewne uległa pokusie. Dlaczegooby nie dodać jeszcze jednego listu do tyłu poprzednich i nie wystraszyć stąd dziewczyny? Posunięcie zdawało się jej zupełnie bezpieczne, a zresztą, w swoim przekonaniu, podjęła wszelkie środki ostrożności.

— No i co, i co dalej? — pytała rozgorączkowana Joanna. — I jak się skończyło?

— Przypuszczam — ciągnęła panna Marple powoli — że kiedy Elsie Holland pokazała Symmingtonowi anonim, ten od razu domyślił się wszystkiego i zdał sobie sprawę, że oto nadarza mu się doskonała okazja do definitywnego zakończenia całej afery, a zarazem zabezpieczenia swojej osoby. Nie było to z jego strony bardzo pięknie, ale widzicie państwo, on się bał! Wiedział, że policja nie zaprzestanie poszukiwań, póki nie ujawni autora. Gdy zatem zaniósł list na posterunek i dowiedział się, że widziano, jak Aimée ten list pisała, zrozumiał, iż oto trafia mu się szansa jedna na tysiąc. Udał się więc z całym domem na herbatkę do Griffithów, a ponieważ szedł wprost z kancelarii i miał z sobą teczkę, łatwo mógł w niej przynieść wydarte kartki i schować pod schodami. Ukrycie kartek pod schodami było drugim fałszywym krokiem, skojarzyło się bowiem z ukryciem w podobny sposób ciała Agnieszki. Praktycznie rzecz biorąc, mógł te kartki z zupełną łatwością schować, podczas gdy policja prowadziła Aimée, a on szedł za nimi z tyłu przez cały hol. Wystarczała na to minuta, a najwyżej dwie.

— Obojętne, jak było — powiedziałem — ale o jedno mam do pani wielki żal... O to mianowicie, że pani wciągnęła Megan w tę niebezpieczną grę.

Panna Marple odłożyła szydełkową robótkę i spojrzała na mnie surowo sponad okularów.

— Drogie panie! Coś trzeba było zrobić. Nie mieliśmy żadnego konkretnego dowodu przeciw temu

mądrym, pozbawionemu skrupułów człowiekowi. Potrzebowałam kogoś do pomocy, kogoś bardzo odważnego i inteligentnego. W Megan znalazłam te cechy.

— Ale to było dla Megan szalenie niebezpieczne! — zawołałam.

— Owszem, było niebezpieczne, nie przeczę... ale nie po to żyjemy na tym świecie, drogi młodzieńcze, aby unikać niebezpieczeństw, gdy stawką jest życie człowieka niewinnego... Czy nie mam racji?

— Tak — przyznałam jej rację.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Poranek na ulicy Głównej.

Panna Emilia Barton wychodzi ze sklepu kolonialnego z torbą na zakupy. Policzki ma mocno zaróżowione, a oczy błyszczące z podniecenia.

— Ach, oto i kochany pan Burton! Nie ma pan pojęcia, jaka jestem podniecona! Pomyśleć, że naprawdę wybieram się w podróż zamorską!

— Jestem pewien, że będzie pani miała mnóstwo przyjemności! — zapewniłam pannę Emilię.

— O, na pewno! Nigdy bym się nie odważyła na coś podobnego sama, ale teraz, kiedy wszystko tak się doskonale ułożyło! Już od dłuższego czasu czułam potrzebę rozstania się z Jałowcowym Dworkiem, ale chociaż moje środki finansowe są bardzo ograniczone, nie mogłam znieść myśli, że będzie tam mieszkał ktoś obcy. Teraz jednak, skoro pan kupił dom i zamieszka w nim z Megan, to co innego! A poza tym droga Aimée po tym okropnym przeżyciu, która właściwie nie wie, co z sobą zrobić, bo jej brat także się żeni (jak to przyjemnie pomyśleć, że państwo oboje osiedlą się tutaj wśród nas), zgodziła się towarzyszyć mi w podróży... Zamierzamy pozostać za granicą dość długo, może nawet... — tu panna Emilia tajemniczo zniżyła głos — odbędziemy podróż dookoła świata! A Aimée jest taka praktyczna i w ogóle wspaniała! Naprawdę muszę powiedzieć, że wszystko układa się jak najszczęśliwiej... Nie uważa pan?

Przez krótką chwilę pomyślałam o pani Symmington i o Agnieszce spoczywających na cmentarzu i zastanawiałam się, czy one by się z tym zapatrywaniem zgodziły... Potem jednak przypomniałam sobie, że o ile mi wiadomo, chłopiec Agnieszki nie był tak bardzo w niej zakochany, a pani Symmington troszczyła się bardzo mało o Megan. A zresztą... cóż, u diabła! Wszyscy przecież kiedyś umrzemy! W rezultacie więc zgodziłam się ze zdaniem panny Emilii, że wszystko układa się jak najlepiej na tym najlepszym ze światów!

Ruszyłam dalej ulicą Główną aż do furtki Symmingtonów. Megan otworzyła mi furtkę i wyszła ku mnie.

Nie było to specjalnie romantyczne spotkanie, ponieważ w ślad za nią wyskoczył olbrzymi angielski owczarek i omal mnie nie przewrócił w napadzie radosnego entuzjazmu.

- Czy nie чудо? Popatrz! — wykrzyknęła Megan.
- Może tylko troszeczkę za bardzo żywiołowy. Czy to nasz?
- Całkowicie nasz! To ślubny prezent od Joanny. Wiesz? Dostaliśmy piękne prezenty! Od panny Marple takie puszyste wełniane coś, co to właściwie nikt nie wie, do czego ma służyć. Potem od pana Pye piękny serwis do herbaty Crown Derby, a od Elsie maszynkę do tortów...
- To dla niej bardzo typowe — zauważyłem.
- A poza tym Elsie dostała posadę u dentysty i jest zachwycona! Aha, co to ja jeszcze chciałam powiedzieć?
- Wyliczałaś nasze ślubne prezenty. Pamiętaj, Megan, że gdybyś się rozmyśliła, to musisz te wszystkie prezenty zwrócić ofiarodawcom!
- Nie bój się, nie rozmyślę się! I co to jeszcze dostaliśmy? A, prawda! Pani Dane–Calthrop przysłała egipskiego skarabeusza!
- Bardzo oryginalna kobieta — powiedziałem.
- Ale jeszcze nie wiesz najważniejszego! Wyobraź sobie, że pani Partridge też przysłała prezent! Najobrzydliwsza serweta, jaką sobie można wyobrazić... Podejrzewam jednak, że musiała mnie trochę polubić, bo jak mnie zapewniała, cały haft to dzieło jej własnych rąk!
- A jako motyw na pewno zielone winogrona i osty, tak?
- Nic podobnego! Najprawdziwsze niezapominajki i pąki róż!
- No, no, po prostu nie poznaję naszej Partridge! Megan pociągnęła mnie do domu, a po drodze powiedziała nagle:
- Ach, i jeszcze jedna rzecz, której przeznaczenie nie bardzo rozumiem... Oprócz normalnej obroży i smyczy dla psa Joanna przysłała drugą, dodatkową obrożę ze smyczą. Nie mam pojęcia, do czego to ma służyć, jak myślisz...?
- Eeee...! — rzekłem. — To taki niewinny żarcik Joanny...!